GAZETAPOLSKA.PL

Ataki na mieszkania dziennikarzy. Kto się bawi polskimi organami ścigania?

Europa płonie. Ostatnie ostrzeżenie dla Brukseli

Od „gigachada” i „sejmflixa” po ratowanie stołków. Kronika upadku Hołowni

Kolejny numer „GP” 10 listopada

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU







ZBROJNY NAPAD NA TRYBUNAŁ

30.10.2026





CENA 10,90 PLN (w tym 8% VAT) #45 (1730) 04.11.2026 indeks 320919

ISSN 1020-4881

Numer w sprzedaży do 09.11.2026

fot. Jacek Szydłowski / Forum (5)

WYDANIE KOLEKCJONERSKIE

Bajki dla moich dzieci

Tomasz Sakiewicz

Bajki powstają z potrzeby opowiadania. Czasem z dziecięcego pytania, czasem z marzenia, a czasem z próby wyjaśnienia spraw, których nawet dorosłym niełatwo zrozumieć.

Tylko **1000** egzemplarzy
z autografem **Tomasza Sakiewicz**

PRZEDSPRZEDAŻ
Wysyłka od 30.11



139 zł
+ koszt wysyłki

ZESKANUJ KOD I ZAMÓW

448 stron | ponad **90** ilustracji | **72** bajki

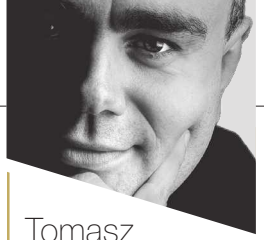
twarda oprawa • papier ecru • złote tłoczenie

Część dochodu ze sprzedaży książki zostanie przeznaczona na fundusz osób represjonowanych przez reżim Donalda Tuska!

Wejdź na **sklep.GazetaPolska.pl** Zamów już dziś **22 232 37 70**

Dane do przelewu lub wpłaty na poczcie: Niezależne Wydawnictwo Polskie sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa.
Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807** W tytule przelewu prosimy wpisać: Tytuł książki, imię i nazwisko oraz adres wysyłki.

SKLEP GAZETY POLSKIEJ



Tomasz **Sakiewicz**

TONĄ

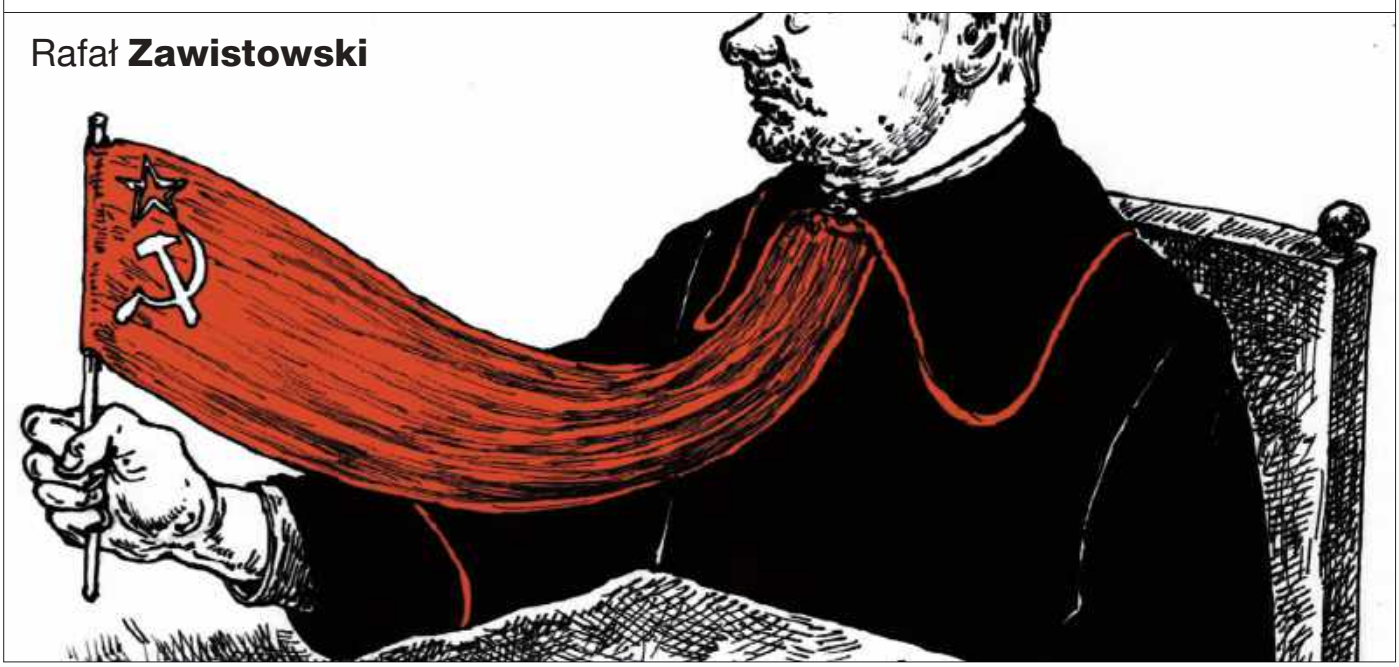
W chwili, gdy piszę ten komentarz, wielu moich kolegów dostaje wezwania do prokuratur w celu postawienia im zarzutów. Sprawy są totalnie kuriozalne, bo na przykład Miłosz Kłeczek ma dostać zarzuty za to, że wszedł do Prokuratury Krajowej w czasie mojego przesłuchania w sprawie wyjazdu do USA Zbigniewa Ziobry. Do prokuratury w godzinach urzędowania może wejść każdy. W dodatku jego i innych kolegów zaprosił tam oficjalnie urzędujący w tym budynku zastępca prokuratora generalnego Tomasz Janeczek. Takie zarzuty mają być też postawione innym kolegom. Szefowa Fundacji Niezależne Media Joanna Jenerowicz ma zostać oskarżona o to, że wyłudziła dotację na projekt kampanii informacyjnej w sprawie referendum dotyczącego nielegalnej migracji do Polski. Problem w tym, że kampania nie tylko została zrealizowana, lecz także w całości rozliczona. Zalew tego typu wezwań zaczął się po rozpoczęciu protestu w miasteczku namiotowym pod Trybunałem Konstytucyjnym. Wyciągnęli, co mogli, wiedząc, że bez zniszczenia naszego środowiska, wyłączenia Republiki nie dadzą rady utrzymać władzy. Ale mam bardzo nieprzyjemną informację dla Donalda Tuska i jego przybocznych – prawdopodobnie nie utrzymają władzy, nawet gdyby udało im się zrobić nam krzywdę. Już jest dla nich z późno. Pod TK udało się zjednoczyć wszystkie istotne w Polsce siły społeczne, które są niezależne od reżimu Donalda Tuska. Protest zaczęły Kluby „Gazety Polskiej" z Adamem Borowskim na czele, natychmiast dołączył Ruch Obrony Granic z Robertem Bąkiewiczem, po kilku tygodniach oficjalnie przyłączyły się Solidarność pracownicza z Piotrem Dudą i rolnicza z Tomaszem Obszańskim. W ostatnich dniach przed Trybunałem Konstytucyjnym pojawił się ojciec dyrektor Tadeusz Rydzyk, założyciel i szef Radia Maryja. Ludzi protestujących – mimo upływu tygodni, coraz gorszej pogody – cały czas przybywało. Z protestu pod TK zrobił się ruch społeczny, który koncentruje opór przeciw władzy. Notowania rządu lecą na łeb, na szyję. Sytuacja finansów publicznych powoli staje się krytyczna.

Wiedzą, że zaraz ich nie będzie, ale głupsi z nich chcą jeszcze represjami zatrzymać lawinę. Niczego już nie powstrzymają. Pytanie jedynie, ile to jeszcze potrwa i kto będzie ofiarą tej szajki. Musimy się uzbroić w cierpliwość i wzajemnie wspierać. Ich dni są już naprawdę policzone. Ważne, by nie rozpraszać sił, iść razem i wspierać prześladowanych. Każdy musi dorzucić swoją cegiełkę. Na tym polegała kiedyś Solidarność.

Postanowiłem część dochodu z najnowszego wydania swoich bajek (tym razem ukażą się w całości) przeznaczyć na fundusz osób represjonowanych przez władzę. Przedsprzedaż już ruszyła – można zamówić je w sklepie Telewizji Republika i „Gazety Polskiej".

GP

Rafał **Zawistowski**



W numerze

TEMAT NUMERU

6 Zbrojny napad na Trybunał
 # Piotr Lisiewicz

KRAJ

16 Ataki na mieszkania dziennikarzy. Kto się bawi polskimi organami ścigania?
 # Grzegorz Broński

22 Jak państwo pomogło Holendrom ukraść tygrysa
 # Jacek Liziniewicz

25 Tak, to była samowolka. Sąd po stronie twórcy Muzeum Historii Polski
 # Krzysztof Wołodźko

PUBLICYSTYKA

31 Uśmiechnięte piekło kobiet, czyli jak Tusk gra aborcją
 # Dawid Wildstein

34 Efekt domina czy wyjątki od reguł. Czy „efekt Gibały" zmieni polski samorząd?
 # Wojciech Mucha



38 Putin w teatrze
 # Mateusz Matyszkowicz

ŚWIAT

40 Izraelski klincz wyborczy
 # Maciej Kożuszek

44 Brazylijska porażka Trumpa
 # Antoni Rybczyński

HISTORIA

64 Węgierska irredenta '56
 # Sebastian Reńca

ŚRODOWISKO

70 Ptak z godła. Tysiąc lat historii
 # Jacek Liziniewicz



GORĄCY TEMAT



10

Europa płonie. Ostatnie ostrzeżenie dla Brukseli
Piotr Grochmalski

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
15 Jacek Liziniewicz
15 Krzysztof Karnkowski
19 Marcin Wolski
19 Tomasz Łysiak
37 Tadeusz M. Płużański
37 Józef Wieczorek
43 WIEŚCI Z UE
47 ROSJA ABSURDEM STOI
56 OBRONNOŚĆ
58 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ"
63 ks. Jarosław Wąsowicz SDB
74 PODRÓŻE
78 KULINARIA



79 NAUKA
80 LISTY
81 Katarzyna Gójska

KRAJ



20

Pilne skierowanie nie przyspiesza kolejki. Za szybszą pomoc trzeba zapłacić
Hubert Kowalski

KRAJ



28

Od „gigachada" i „sejmflixa" po ratowanie stołków. Kronika upadku Hołowni
Grzegorz Wszołek

HISTORIA



60

„Wskrzeszenie i rozkwit"
Tomasz Panfil

Wspieraj nasze media

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

GAZETA POLSKA

Numer konta: **81 1240 6003 1111 0010 3126 1695**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Gazety Polskiej**

Konto do wpłat w euro: **PL 15 1240 1040 1978 0010 8426 7594**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Gazeta Polska ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**

Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa





Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Powody postawy różnych osób wobec historycznych wydarzeń bywają aż do bólu banalne. Sędzia Anna Korwin-Piotrowska według naszych informatorów podjęła się udziału w zamachu stanu, bo… nie ma dodatkowych źródeł dochodu i musi mieć kaskę z Trybunału. Inni „sędziowie" dostają pieniądze albo od Żurka, albo zarabiają na uczelniach. O losach Rzeczypospolitej może zdecydować desperacja finansowa paskudnego babska. Karol Zbyszewski pisał o trybunale przedrozbiorowym: „Pierwszy raz ujrzał Niemcewicz ten najwyższy sąd Rzeczypospolitej, od którego nominalnie nie było apelacji. Składał się on z 20 szlacheckich deputatów i 10 duchownych; bardzo rzadko obradowano w pełnym komplecie, bo rzadko stronom starczyło pieniędzy na obdarowanie wszystkich sędziów, a deputat co nie otrzymał znikąd łapówki, nie interesował się sprawą i wolał spać w domu. Wobec sknerstwa stron po kilkanaście dni nie dochodziło do sesji z braku kompletu. Musiał marszałek objeżdżać deputatów i prosić jak o łaskę, by raczyli się zejść. Deputaci stali bardzo wysoko etycznie: wziąć kozubalca od więcej dającej strony było rzeczą godziwą i zgodną z dobrymi obyczajami, ale wziąć cichcem od obu stron było świństwem i wszyscy takim gardzili. Nie brać wcale było najgorzej – zyskiwało się dozgonną opinię skończonego durnia". Co Wam to przypomina?







Komendant Boroń stanie się w historii Polski postacią kuriozalną. Taką rodem z kawałów o milicjantach, chociaż ponoć umie zarówno pisać, jak i czytać. Zapewniał prezydenta Karola Nawrockiego, że policja nie wejdzie do Trybunału. Komendant milicji.

Boroń urządził protestującym pod Trybunałem na postrach tak zwaną dyskotekę, czyli niebieskie, mrugające światła radiowozów. Dyskotekę na taką skalę ostatni raz widziałem w wykonaniu ZOMO.

„Psy", „gestapo", „HWDP", „białe kaski robią laski" – tak moje pokolenie mówiło o milicji i policji, która milicją być nie przestała. Patrzę na twarze młodych po-



III Rzeczpospolita cierpiała zawsze na brak liderów z charakterem. Prezes Bogdan Święczkowski swoją twardą postawą zasłużył na najwyższe honory od Niepodległej.

Komendant Boroń stanie się w historii Polski postacią kuriozalną. Taką rodem z kawałów o milicjantach, chociaż ponoć umie zarówno pisać, jak i czytać.

licjantów z pokolenia, które jest chyba najbardziej patriotycznym pokoleniem po 1989 roku. Naprawdę chcecie w imię obrony Tuska walczyć praktycznie z całym własnym pokoleniem? Naprawdę chcecie powrotu takich haseł? Naprawdę chcecie być znienawidzeni przez sąsiadów? Wiem, że nie chcecie. To zorganizujcie się i zróbcie coś.

Starcie o Trybunał Konstytucyjny pokazało, kto jest REALNĄ opozycją, a kto przebierańcami. W takich kluczowych momentach widać to jak na dłoni. Grający radykała Grzegorz Braun, absolwent uczelni filmowej, zniknął. Taki był bojowy niczym pitbull, gdy wykrzykiwał o Amerykanach i Żydach. A teraz stał się łagodnym pudelkiem. Co trzeba mieć w głowie, żeby wierzyć w to, że nie jest to aktor w teatrzyku Tuska?

Mentzen, gdy broniliśmy Trybunału, poszedł na piwo, ale bez młodzieży, żeby nie prowokować jej, broń Boże, do buntowniczych zachowań. Po co nam patriotyzm, ważne, żeby kasiora się zgadzała. Najbogatszy Europejczyk Stanisław Szczęsny Potocki był tego samego zdania.



Gdy piszę te słowa, czytam, że kiedy tłum pod Trybunałem okazał się potężny, Braun i Mentzen pojawili się tam, bo ich straty wizerunkowe byłyby za duże.

III Rzeczpospolita cierpiała zawsze na brak liderów z charakterem. Prezes Bogdan Święczkowski swoją twardą postawą zasłużył na najwyższe honory od Niepodległej.

„Czy dziś Dmowski byłby w PiS, a Piłsudski w PO?” – kretyński tytuł w Kulturze Liberalnej. Żarty. Jedyna analogia z PO to zdelegalizowana w II RP Komunistyczna Partia Polski.

„Wobec wydarzeń w kraju uznałem, że nie jest możliwe moje dalsze pełnienie funkcji ambasadora RP. Z dniem dzisiejszym złożyłem rezygnację i prośbę o odwołanie” – ogłosił Jakub Kumoch, ambasador RP w Chinach. Gdy Jaruzel wprowadził stan wojenny, zrezygnowało dwóch ambasadorów PRL, Romuald Spasowski i Zdzisław Rurarz, ambasador w Tokio i ambasador w USA. Rurarz napisał do Jaruzela: „Panie Generale, wydając rozkaz użycia Wojska Polskiego przeciwko polskiemu narodowi, zapewnił Pan sobie miejsce w naszej krwawej historii jako oprawca tegoż narodu. Gorzej nawet, bo nie tylko jako oprawca, ale także jako cynik i kłamca, a nawet komediant, który śmie szargać słowa naszego hymnu narodowego przy ogłaszaniu stanu wojennego! (…) Czy też jest Pan, Generale, zwykłym tchórzem, któremu łatwiej mordować bezbronnych górników, niż walczyć przeciwko obcej agresji? (…) Od dziś Pan, Generale, ma we mnie wroga na śmierć i życie. Niech Pan będzie pewny, że nie cofnę się przed nikim i niczym w walce z Panem, zdrajcami Pańskiego pokroju i Pańskimi kremlowskimi mocodawcami”. Co Wam to przypomina?

Polska ma długie tradycje walki z dyktaturami z obcego nadania. Józef Łobodowski pisał o Wojciechu Jaruzelskim: „Galony generalskie dała mu dłoń nie swojska, lecz mongolska – więc co ma znaczyć dziwne słowo Polska, gdy Moskwa odzywa się wściekłym wrzaskiem? (...) Czy cię ukamienują przed wzburzoną rzeszą, czy kula z tyłu w kark, czy cię powieszą, i tak już jesteś brzydkim trupem...”.

Adam Borowski wydał świetną książkę „Byle nie Tusk”, którą wszystkim polecam, ale jej tytuł nie bardzo mi się podoba. Mimo że niedawno powtórzył go Jarosław Kaczyński. Za genialne hasło, które wygrało wybory prezydenckie, uznaję: „Byle nie Trzaskowski”, które jako pierwsi wywiesili kibice Legii Warszawa. Ono oznaczało: niezależnie od tego, który kandydat prawicy wejdzie do drugiej tury, wszyscy na niego głosujemy. Czyli w praktyce: wszyscy wyborcy Mentzena i Brauna muszą zagłosować na Nawrockiego. „Byle nie Tusk” jest odwrotnością tamtego hasła. Oznacza, że możecie głosować albo na PiS, czyli prawicę niepodległościową, albo na różne promoskiewskie Konfederacje, bo chodzi o to, by nie rządził Tusk. To w przypadku porażki Tuska oznacza jedno – jego bardzo szybki powrót do władzy. Nie stabilne rządy PiS z lat 2015–2023, a rachityczne rządy PiS z LPR i Samoobroną z lat 2005–2007. Zamiast hasła „Byle nie Tusk” – hasło „Byle nie ubekistan”. **GP**

FOT. WIKIPEDIA

Mirosław **Andrzejewski**

{ RODZINA WACIAKÓW }





ZBROJNY NAPAD NA TRYBUNAŁ

TUSKOWI I JEGO LUDZIOM GROZI DO 20 LAT WIĘZIENIA

„Związek przestępczy o charakterze zbrojnym" – tak polski sąd nazwał po latach twórców stanu wojennego. Tak samo historia oceni sprawców zbrojnego napadu na Trybunał Konstytucyjny. Policjanci z zamaskowanymi na czarno twarzami, z odsłoniętymi tylko oczami, w białych kaskach, uzbrojeni po zęby, wwiezieni do Trybunału Konstytucyjnego nieoznakowanymi samochodami, od tyłu, w ciemności, w przeddzień Wszystkich Świętych. Metalowe barierki umocnione łańcuchami. Atak policji na ochronę prezydenta Karola Nawrockiego i szarpanie głowy państwa przez sędziów Tuska. Te sceny demonstracyjnego bezprawia będą już na zawsze kojarzyć się Polsce i światu z Tuskiem i jego bandą zdrajców Polski. To początek jego końca.



Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO „GP”

FOT. KONRAD FALECKI/GAZETA POLSKA

Nie możemy być takimi zwierzętami jak ci ludzie” – tymi słowami prezes Trybunału Konstytucyjnego powstrzymał tłum przed bitwą z policją na terenie TK. Wcześniej jednak, jako administrator Trybunału, nakazał zniszczenie prowadzącej do niego bramy, by mógł tam wejść. Policjantów ostrzegł: „To, że zasłaniacie twarze, nie oznacza, że nie zostaniecie rozpoznani”. Stwierdził, że napad to „zbrodnia kryminalna, zbrodnia na Rzeczypospolitej”. Twarze policjantów, na początku kamienne, stawały się coraz mniej pewne siebie w czasie trwania protestu. „Z Popiełuszką też byś tak zrobił?!” – pytał dramatycznie jednego z nich ksiądz.

Wydaje się, że wraz z drastycznym pogwałceniem prawa przez Tuska obudził się w Polakach tak silny duch protestu, że stało się to, czego Tusk obawiał się najbardziej. Masowy bunt i równia pochyła, które zmiotą jego rządy. Manifestacje objęły nie tylko środowiska polityczne, lecz także pracowniczą Solidarność i Solidarność rolników.

„Jest obóz patriotyczny i obóz zdrajców”

„Teraz nie ma partii. Teraz jest obóz patriotyczny i obóz zdrajców. Sytuacja zero-jedynkowa. Donald Tusk jest wrogiem Polski” – mówił przed Trybunałem twórca miasteczka namiotowego, legenda opozycji antykomunistycznej Adam Borowski. „Mamy do czynienia z zamachem na organ konstytucyjny państwa polskiego” – podkreślił prezes PiS Jarosław Kaczyński. To PiS był jedyną partią, której przedstawiciele konsekwentnie bronili miasteczka walczącego o praworządność.

Dramatyzmu sytuacji dodał wpis prezydenta Karola Nawrockiego: „W takim momencie Prezydent musi być w Polsce. Przerywam lot do Senegalu. Wracam do Polski” – napisał na platformie X. Jeszcze ostrzej zareagował były prezydent. Andrzej Duda napisał: „P. Tusk i jego ludzie, którzy nas zadłużają i są gospodarczo żałośnie nieudolni, dziś okazali się także bandycką hołotą, która dokonała brutalnej napaści na konstytucyjny organ państwa. Nie umieją wygrać zgodnie z prawem, na demokratycznych zasadach, więc używają pały. Tacy są »europejscy«”.

Narodową wagę sprawy podkreśliły też słowa abp. Adriana Galbasa, metropolity warszawskiego: „W kontekście działań wokół Trybunału Konstytucyjnego bardzo proszę wszystkich wierzących o modlitwę w intencji Ojczyzny. Módlmy się o pokój społeczny, a dla rządzących o dar roztropności i pokory. Oby wszyscy sprawujący władzę postępowali uczciwie i praworządnie. Prośmy o to za wstawiennictwem Maryi Królowej Polski i wielkich patronów naszej Ojczyzny”.

Prof. Matczak, wróg PiS: „Ta podstawa prawna jest nieistniejąca z miliona powodów”

Ale przed Trybunałem, wprawdzie z opóźnieniem, po tym, jak skala protestów zaskoczyła wszystkich, pojawili się politycy wszystkich ugrupowań prawicowych, a także lewicy. Mocne słowa wyszły ze strony prof. Marcina Matczaka, jednego z najbardziej sztandarowych wrogów PiS. „Nie myślałem, że przyjdzie mi kiedyś bronić Święczkowskiego, ale ta podstawa prawna jest nieistniejąca z miliona powodów” – napisał o decyzji „sędzi” Anny Korwin-Piotrowskiej.

Na mocny gest zdecydował się ambasador Polski w Chinach Jakub Kumoch, który odmówił służenia państwu bezprawia. „Wobec wydarzeń w kraju uznałem, że nie jest możliwe moje dalsze pełnienie funkcji ambasadora RP. Z dniem dzisiejszym złożyłem rezygnację i prośbę o odwołanie” – napisał. Podobną decyzję podjął ambasador Polski w Rumunii Paweł Soloch.

Mowa oczywiście o „decyzji” sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej, która tak mówiła o niej w nielegalnej TVP: „Dzisiaj to ja wydałam zarządzenie o natychmiastowej przerwie w czynnościach służbowych pana Bogdana Święczkowskiego, sędziego pełniącego obowiązki prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Takie samo zarządzenie wydałam w stosunku do pana sędziego Bartłomieja Sochańskiego, pełniącego obowiązki wiceprezesa Trybunału Konstytucyjnego”. Rzecz jasna „sędzia”, która ogłosiła „decyzję”, nie miała do tego żadnych uprawnień.

Z tym że szybko okazało się, iż to nie ona była autorką dokumentu, który ogłosiła. Stowarzyszenie Prawnicy dla Polski opublikowało zrzut ekranu przedstawiający metadane pliku PDF, w których jako autor widnieje… Krystian Markiewicz, były prezes stowarzyszenia Iustitia.

Związek przestępczy o charakterze zbrojnym

Analogia pomiędzy kwalifikacją prawną dotyczącą stanu wojennego i napadu na Trybunał bije po oczach. Według sądu, który w 2012 roku wydał orzeczenie w sprawie stanu wojennego, generałowie Wojciech Jaruzelski, Czesław Kiszczak, Florian Siwicki i Tadeusz Tuczapski stanowili związek przestępczy o charakterze zbrojnym, który przygotował i doprowadził do nielegalnego wprowadzenia stanu wojennego w 1981 roku. Sąd uznał, że wybrali taką formę, aby z zaskoczenia rozwiązać sytuację wynikłą w PRL po zalegalizowaniu NSZZ „Solidarność". Jak mówiła w uzasadnieniu orzeczenia sędzia Ewa Jethon, jakkolwiek dotąd w praktyce spotykano się z grupami przestępczymi o charakterze mafijnym, popełniającymi pospolite przestępstwa kryminalne, to kodeks karny przewiduje sankcje dla każdego nielegalnego związku przestępczego – „niezależnie od tego, czy się jest zwykłym obywatelem, czy wysokim funkcjonariuszem państwa".

Zamach stanu, którego dokonał Donald Tusk, podlegać może różnym kwalifikacjom prawnym, niemniej najbardziej oczywiste jest tu zastosowanie art. 128 Kodeksu karnego, mówiącego o zamachu na konstytucyjny organ państwa, który stwierdza, że „Kto, w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3 do 20".

„Awanturnikom trzeba skrępować ręce"

Stanem wojennym powiało też od słów Donalda Tuska, bliźniaczo przypominających ton przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego: „Przywracanie rządów prawa jest naszym obowiązkiem. Po latach pisowskiego bezprawia to proces trudny, czasem bolesny i wymaga zdecydowanego działania. Innej drogi nie ma". Jaruzelski mówił: „Chaos i demoralizacja przybrały rozmiary klęski. Naród osiągnął granice wytrzymałości psychicznej. Wielu ludzi ogarnia rozpacz… Awanturnikom trzeba skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki".

Bardzo mocno po tych wydarzeniach wybrzmiały słowa pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, sędziego Zbigniewa Kapińskiego: „Z najwyższym oburzeniem i stanowczym sprzeciwem przyjmuję informacje o działaniach podjętych dzisiaj wobec Trybunału Konstytucyjnego, w szczególności o skierowaniu funkcjonariuszy Policji do jego siedziby, uniemożliwieniu Wiceprezesowi Trybunału wejścia do budynku oraz wydaniu dokumentu zatytułowanego »zarządzenie«, przewidującego przerwę w wykonywaniu czynności służbowych przez Prezesa i Wiceprezesa Trybunału. Zdarzenia te mają charakter bezprecedensowy w demokratycznym państwie prawnym".

Analogia pomiędzy kwalifikacją prawną dotyczącą stanu wojennego i napadu na Trybunał bije po oczach.

Jak dodał sędzia, „nie ma i nie może być zgody na sytuację, w której funkcjonariusze Policji stają się narzędziem faktycznego ograniczania działalności organów konstytucyjnych, a o możliwości wykonywania obowiązków przez osoby piastujące najwyższe stanowiska państwowe rozstrzyga użycie siły lub groźba jej użycia".

Pistolety maszynowe przeciwko manifestantom?

W mediach społecznościowych opublikowano zdjęcie dokumentu pochodzącego z Komendy Głównej Policji. Pismo datowane na 29 października 2026 roku zawiera polecenie przygotowania policyjnych oddziałów prewencji do wyjazdu w dniach 2–8 listopada. Dokument oznaczono jako „BARDZO PILNE!". Nie wskazano w nim celu planowanej mobilizacji ani miejsca, do którego mieliby zostać skierowani policjanci. Dokument przewiduje również wyposażenie funkcjonariuszy w broń palną, amunicję, środki ochrony osobistej oraz sprzęt specjalistyczny. Według zamieszczonych wytycznych plutony prewencji mają dysponować m.in.: pistoletami maszynowymi, strzelbami, hełmami kevlarowymi, kamizelkami kuloodpornymi oraz sprzętem termowizyjnym i noktowizyjnym.

Gdy pismo wypłynęło, policja zaczęła się mętnie tłumaczyć: „Z całą stanowczością dementujemy informację, która powołuje się na pismo z dnia 29 października br. skierowane przez Zastępcę Komendanta Głównego Policji do komendantów wojewódzkich Policji i sugeruje wykorzystanie funkcjonariuszy do sytuacji związanej z Trybunałem Konstytucyjnym. W rzeczywistości pismo mówiące o pełnej gotowości policjantów w dniach od 2 do 8 listopada br. jest związane z aktualnymi zagrożeniami związanymi z aktami sabotażu i dywersji".

Młodzi mają swoje Westerplatte

To, że ktoś poważył się użyć policji przeciwko Polakom, przypomniało czasy stanu wojennego, o których Jan Krzysztof Kelus śpiewał: „Nie był potrzebny żaden sąsiad – rodzimej dosyć jest kanalii, by wytłumaczyć nam na zawsze, że nie jesteśmy w Portugalii, żeby przypomnieć nam raz jeszcze, że może Polak do Polaków, że nie jesteśmy w Portugalii, że to nie rewolucja kwiatów".

Nadchodzi czas, w którym egzamin musi zdać młode pokolenie, w 73 proc. popierające prezydenta Karola Nawrockiego, który ma być odsunięty od władzy przez Trybunał. To jego moment w sztafecie pokoleń. Jan Paweł II mówił o tym: „Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć…". No więc to właśnie teraz. GP

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!

Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka" na rzecz wolnego słowa.

JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

GAZETA POLSKA

EUROPA PŁONIE

OSTATNIE OSTRZEŻENIE DLA BRUKSELI

DRAMATYCZNE SKUTKI UNIJNYCH DECYZJI



Jesienią 2026 roku przez całą Europę przetaczają się fale protestów, które obejmują ponad 20 państw. Już w 1996 roku Samuel Huntington w swojej głośnej książce „Zderzenie cywilizacji" ostrzegał, że odcinanie się Starego Kontynentu od historycznej tradycji grozi katastrofą. Stawiał dramatyczne pytanie: „Problem w tym, czy Europa i Ameryka staną się społeczeństwami rozszczepionymi, złożonymi z dwóch odrębnych i separujących się wspólnot z dwóch różnych kręgów kulturowych. Rozwój wydarzeń zależy od liczby imigrantów i zakresu ich zasymilowania przez kulturę zachodnią". Potem kolejne fale migracyjne zatapiały Europę, a ostatnia, wywołana przez Angelę Merkel w 2015 roku, drastycznie uderzyła w systemy socjalne i stabilność europejskich społeczeństw. Jesień 2026 roku przynosi Europie ostrzeżenie, którego nie można już sprowadzać do zwykłego niezadowolenia z polityki poszczególnych rządów.



Piotr
Grochmalski

Od połowy września do 23 października br. w dwunastu państwach odnotowano co najmniej 177 demonstracji. Według zestawienia przywołanego w analizie „El País" około 80 proc. z nich przypadło na: Francję, Hiszpanię, Włochy, Portugalię i Belgię. Ale ludzie wyszli też na ulice: w Niemczech, Grecji, Austrii, Holandii i Irlandii. Jednak bardziej uważna analiza ukazuje jeszcze bardziej szokujący obraz – demonstracje objęły bowiem także: Wielką Brytanię, Bułgarię, Estonię, Słowenię, Cypr, Czechy, Mołdawię, Czarnogórę, a nawet Szwajcarię. A to już tworzy porażający obraz owej wielkiej fali, która przetoczyła się przez Europę. To pokazuje skalę kryzysu, który ogarnął Stary Kontynent i brukselską biurokrację dewastującą Zielonym Ładem gospodarkę państw UE.

W kwietniu 2021 roku, 10 miesięcy przed agresją Rosji na Ukrainę, ukazał się raport amerykańskiej Narodowej Rady Wywiadu (National Intelligence Council, NIC) „Global Trends 2040: A More Contested World". Dotyczył on globalnych skutków pandemii COVID-19. Określał pandemię jako największe globalne zakłócenie od czasów II wojny światowej. W scenariuszu „A World Adrift" („Świat dryfujący") NIC kreśli wizję głębokiej stagnacji gospodarczej Zachodu i radykalną polaryzację społeczeństw. Trudności ekonomiczne uderzą w klasę średnią, co drastycznie pogłębi podziały społeczne. Scenariusz ten zakładał powtarzające się fale protestów i niepokojów społecznych, które uderzą w demokracje europejskie. Pogłębi się też paraliż polityczny, a skrajna polaryzacja uniemożliwi rządom sprawne rządzenie i wdrażanie długoterminowych reform.

Demokracje stają się wewnętrznie skłócone i niezdolne do podjęcia zdecydowanych działań na arenie międzynarodowej. Bruksela wprowadziła w 2021 roku mechanizm KPO (Krajowy Plan Odbudowy), który był częścią ogólnoeuropejskiego Instrumentu na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności (RRF). Polska w wyniku politycznej presji Berlina została pozbawiona tej tarczy bezpieczeństwa dla gospodarki. Mimo to dzięki sile swej tożsamości kulturowej okazała się stabilnym państwem, nawet po agresji Rosji na Ukrainę i zalaniu naszego kraju gigantyczną falą uchodźców wojennych. Dlatego stała się celem wściekłych ataków ludzi pokroju skorumpowanego Didiera Reyndersa, do 2024 roku unijnego komisarza ds. sprawiedliwości, skrycie współpracującego z rosyjskimi służbami.

Wewnętrzny front

Eksplozja buntu to sygnał ostrzegawczy dla kosmopolitycznych brukselskich elit owładniętych ideologicznym szaleństwem. Pokazuje skalę rozkładu i szokujący deficyt demokracji w strukturze UE, a także pogłębiający się dryf gospodarki osaczonej tysiącami regulacji prawnych i duszonej kosmicznymi cenami energii. Wszystkie jeszcze do niedawna stanowiły potężne ekonomiki, a dziś Włochy podtopione są długiem ponad 3,1 bln euro, a Francja zadłużona jest na 3,5 bln euro. To dlatego rozsypuje się cała struktura społeczna państwa. W samej Francji było aż 37 protestów w 17 miastach. To dramatyczna lista: Paryż, Lyon, Nicea, Nantes, Marsylia, Strasburg, Lille, Angers, Bordeaux, Tuluza, Caen, Grenoble, Limoges, Montpellier, Perpignan, Rennes. We wszystkich tych miastach są znaczne enklawy migranckie, a w wielu – jak w Créteil, która jest częścią aglomeracji paryskiej, szczególnie w departamencie Val-de-Marne – imigranci muzułmańscy stanowią czwartą część ludności. Do tłumienia protestów Francja użyła 70 tys. funkcjonariuszy policji i żandarmerii. Obie te formacje, łącznie z administracją, pracownikami cywilnymi, liczą 248 tys. osób, a bez nich 194 tys. funkcjonariuszy. To oznacza, że Francja rzuciła na pierwszą linię 36 proc. swoich służb! Pokazuje to skalę konfrontacji, z jaką miała do czynienia.

Agencja Reutera ujawniła już 1 października 2026 roku, że według francuskich służb za pierwszą falą protestów uczniowskich stało środowisko Jeana-Luca Mélenchona, lidera La France insoumise (Francja Nieujarzmiona), skrajnie lewackiej partii. Louis Boyard, jeden z zaufanych ludzi Mélenchona, już 21 września pojawił się przed liceum Saint-Exupéry w Créteil i wezwał do rozszerzenia mobilizacji na kolejne szkoły. To radykalne lewackie ugrupowanie wspiera szeroką islamską migrację do Francji i Europy. A muzułmanin Bally Bagayoko, członek Francji Nieujarzmionej, wybrany w tym

FOT. GAUTHIER BEDRIGNANS / HANS LUCAS AGENCY / FORUM

roku na burmistrza Saint-Denis, wspierał uczniów blokujących szkoły i pojawiał się wśród protestujących, zachęcając ich do przemocy.

W Belgii protesty z jesieni 2026 roku objęły: Brukselę, Liège, Charleroi i Mons. W każdym z tych miejsc są silne skupiska muzułmańskie. Tylko w samej Brukseli 9 października protestowało ponad 50 tys. ludzi. Belgia użyła kilku tysięcy policjantów. Ale to Włochy, po Francji, były drugim epicentrum protestów, które objęły: Rzym, Turyn, Bolonię, Mediolan, Genuę, Padwę, Wenecję, Treviso, Weronę, Bari, Neapol, a więc niemal cały obszar państwa, od północy do południa. Pod względem skali wybuchu Niemcy były trzecim obszarem tego społecznego wstrząsu, który opanował: Berlin, Stuttgart, Frankfurt nad Menem, Norymbergę, Darmstadt, Lipsk, Drezno, Akwizgran, Kolonię, Ulm, Hamburg, Dortmund, Essen, Monachium i Delmenhorst. W Portugalii, Hiszpanii i Albanii ludzie wyszli na ulice w kilkunastu miastach, a w pozostałych 13 krajach protesty były mniejsze w swej skali i głównie objęły stolice i kluczowe miasta.

Protestują nauczyciele, studenci, pracownicy, emeryci i lokatorzy zagrożeni utratą mieszkań. W jednych krajach gniew wywołują cięcia wydatków publicznych, w innych ceny najmu, niskie płace, koszty paliwa, pogarszająca się jakość edukacji i ochrony zdrowia albo przekonanie, że instytucje państwowe przestały odpowiadać na podstawowe potrzeby obywateli. W części miast dochodzi do starć z policją, podpaleń i grabieży. Większość demonstracji pozostaje jednak pokojowa. Nie mamy do czynienia z jednym skoordynowanym europejskim powstaniem, lecz z wieloma kryzysami, które ujawniają tę samą zasadniczą słabość: coraz większa część społeczeństw nie wierzy, że narzucany przez Brukselę ideologiczny model polityczno-gospodarczy zapewni im bezpieczeństwo i perspektywy poprawy życia.

Koniec europejskiego marzenia

Jeszcze w 2004 roku Jeremy Rifkin pisał: „Żyjemy w niespokojnych czasach. Wiele społeczeństw błądzi w ciemnościach, pozostawiając jednostki w poczuciu braku wyraźnego kierunku, »Europejskie marzenie« jest jasnym punktem wśród trosk tego świata". Ta fala, która przetacza się przez Stary Kontynent, pokazuje, jak bardzo Berlin, Paryż i biurokracja brukselska kierują narody Europy na ścianę. We Francji początkowy sprzeciw wobec redukcji etatów nauczycielskich i niedofinansowania szkół przerodził się w szerszy protest przeciwko ograniczaniu usług publicznych i rosnącym kosztom utrzymania. W Hiszpanii głównym źródłem gniewu stał się kryzys mieszkaniowy, który szczególnie mocno uderza w młodych ludzi, ale dotyka także emerytów i rodziny o niskich dochodach. W Portugalii nominalne ceny nieruchomości wzrosły od 2013 roku o około 130 proc., a czynsze w nowych umowach zwiększyły się o 10,2 proc. rok do roku. Coraz częściej praca przestaje gwarantować możliwość zamieszkania w mieście, w którym człowiek pracuje. Włochy pokazują z kolei, jak łatwo problemy ekonomiczne łączą się z polityczną polaryzacją i gwałtownymi wystąpieniami młodego pokolenia. W Mediolanie, po wcześniejszych grabieżach i zniszczeniach sklepów, władze skierowały do miasta dodatkowych 500 żołnierzy, którzy dołączyli do już obecnych sił. Policja i służby bezpieczeństwa zostały zmobilizowane na dużą skalę, a część sklepów w dzielnicy luksusowego handlu zabarykadowała witryny. Równolegle we Włoszech odbywały się demonstracje dotyczące kosztów życia, edukacji, ochrony zdrowia, mieszkań i polityki wojennej. W Belgii rządowy program oszczędnościowy przewidujący cięcia rzędu 10 mld euro stał się przedmiotem protestów pracowników i studentów, którzy obawiają się ograniczenia dostępu do edukacji i transportu. W Niemczech sprzeciw wobec ograniczania świadczeń emerytalnych i zdrowotnych nakłada się na spór o zwiększanie wydatków wojskowych. W Albanii kryzys kosztów życia splata się z zarzutami korupcji i żądaniami politycznej odpowiedzialności. W Serbii zaś protest studencki koncentruje się na rozliczeniu za minione lata i odbudowie zaufania do państwa. Odmienność tych wydarzeń nie osłabia wymowy całego obrazu. Przeciwnie, pokazuje, że problem nie ogranicza się do jednego rządu, jednego modelu politycznego ani jednej grupy społecznej.

Przyczyny i fatalne skutki

Aby zrozumieć skalę tego zjawiska, trzeba spojrzeć na europejską gospodarkę w perspektywie ostatnich lat. Pandemia COVID-19 wywołała głęboki wstrząs gospodarczy, zaburzyła łańcuchy dostaw i wymusiła nadzwyczajne wydatki publiczne. Ale też ukazała, że każde państwo myślało głównie o bezpieczeństwie swoich obywateli. Następnie Europa musiała zmierzyć się z kryzysem energetycznym wywołanym m.in. wariacką polityką Berlina i szaleństwem Zielonego Ładu, inflacją, konsekwencjami rosyjskiej agresji na Ukrainę i koniecznością zwiększenia nakładów na bezpieczeństwo. Szalona polityka gospodarcza Brukseli wywołała drastyczny wzrost cen energii i podstawowych dóbr, co uderzyło w realną siłę nabywczą gospodarstw domowych, a późniejsze wysokie stopy procentowe podnosiły koszt kredytów i utrudniały finansowanie inwestycji oraz zakup mieszkań. Jeżeli nominalne dochody nie nadążają za kosztami życia, a jednocześnie pogarsza się dostęp do usług publicznych, nawet formalnie stabilna gospodarka może wytwarzać bardzo głębokie napięcia społeczne. Na tym tle szczególnego znaczenia nabiera głęboki kryzys europejskiego państwa opiekuńczego wywołany w głównej mierze wariacką polityką migracyjną kreowaną przez Berlin.

To spowodowało, iż wydatki zaczęły rosnąć szybciej niż możliwości ich finansowania, gospodarka nie zapewniała odpowiedniej liczby dobrze płatnych miejsc pracy, a społeczeństwo się starzeje, kompromis zaczyna się kruszyć. Rządy stają przed koniecznością wyboru między podnoszeniem obciążeń podatkowych, zadłużaniem państwa, ograniczaniem świadczeń a odkładaniem inwestycji.

Sednem niemieckie szaleństwo

W tym właśnie kontekście należy rozpatrywać problem migracji, a zwłaszcza decyzje niemieckiego rządu Angeli Merkel

FOT. GAUTHIER BEDRIGNANS / HANS LUCAS AGENCY / FORUM, ZUMA / SPLASHNEWS.COM / SPLASH / FORUM, VINCENZO LIVIERI / REUTERS / FORUM



Protesty we Francji.



Protesty w Hiszpanii.



Protesty we Włoszech.

z 2015 roku, które stały się symbolem europejskiego zwrotu w polityce migracyjnej. Berlin, łamiąc unijne prawo, wymuszał na państwach, które miały zewnętrzne granice UE, szerokie ich otwarcie na setki tysięcy migrantów. Ta lawina, najczęściej muzułmanów, kulturowo obcych Europejczykom, wywołała długotrwałe konsekwencje polityczne, administracyjne i społeczne. Wielu z nich korzystało z systemów socjalnych. Nie chciało się integrować, ale tworzyło obce kulturowo enklawy. W konsekwencji obciążało przede wszystkim budżety krajowe, samorządy i lokalne systemy usług publicznych. W sytuacji niedoboru mieszkań i przeciążenia szkół czy placówek medycznych te fale migracyjne głęboko zdestabilizowały lokalne systemy. Problemem jest nie tylko poziom wydatków, lecz także zdolność państwa do ich kontrolowania i wyjaśniania obywatelom, na co przeznaczane są środki publiczne, jakie są rezultaty integracji i kto ponosi odpowiedzialność za niepowodzenia. Świadczenia dla osób o niskich dochodach, pomoc mieszkaniowa, edukacja i opieka zdrowotna mają swoją cenę, niezależnie od tego, czy korzystają z nich obywatele, czy migranci. Jeżeli duża liczba nowych mieszkańców wymaga dodatkowych nakładów, a państwo nie zwiększa odpowiednio podaży mieszkań, miejsc w szkołach i zdolności administracyjnych, napięcia lawinowo narastają. W debacie publicznej pojawiają się wówczas pytania, czy polityka migracyjna uwzględnia rzeczywiste możliwości finansowe i organizacyjne kraju oraz czy obywatele, którzy sami zmagają się z ubóstwem, nie są pozostawiani bez wystarczającego wsparcia.

Co więcej, obywatele widzą, że z jednej strony państwo nie ma dla nich środków, a z drugiej dotuje strumieniem pieniędzy budowę nowych meczetów lub finansuje tysiące organizacji muzułmańskich w Europie. Wiele szkół muzułmańskich we Francji podpisało kontrakt z państwem – écoles sous contrat, na przykład do niedawna znane Liceum Averroès w Lille czy Al-Kindi pod Lyonem, które otrzymują państwowe fundusze na pensje dla nauczycieli. Cała sieć fundamentalistycznych organizacji muzułmańskich oplotła Europę.

Anne-Clementine Larroque w unikalnej pracy „Geopolityka fundamentalizmów muzułmańskich" pokazuje, jak Francja stała się częścią dar al-islam. Jak zauważa: „Unia Organizacji Muzułmańskich we Francji (…) od 1983 roku tworzy ideologiczny rdzeń doktryny bractwa w Europie". Mowa o Braciach Muzułmańskich, jednej z najbardziej fundamentalistycznych islamskich organizacji, która stała też za powstaniem w 1989 roku Federacji Organizacji Muzułmańskich w Europie. Jak pisze autorka: „W następnych latach, aby dołączyć do europejskiej Federacji, belgijscy Bracia Muzułmanie utworzyli Ligę Muzułmanów Belgii (…), tak jak i Holendrzy, Szwajcarzy, Włosi i sami Anglicy (Muslim Association of Britain)". Jak zauważa autorka, Francuska Rada Kultu Muzułmańskiego, utworzona w 2002 roku, była intensywnie wspierana przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Nicolasa Sarkozy'ego. To na gruncie tej organizacji powstały islamski Europejski Instytut Nauk Humanistycznych, który zajmował się kształceniem imamów i islamskich teologów, oraz Europejska Rada Fatwy i Badań, zajmująca się adaptacją muzułmańskich zasad fundamentalistycznych w Europie.

Niepokoi, że większość owych setek protestów, które miały miejsce na Starym Kontynencie, nakłada się na mapę największych enklaw muzułmańskich. Zwykle, szczodrze wspierane przez państwa islamskie, tworzą one stabilne wspólnoty islamskie, wypychające lokalne środowiska. Według oficjalnej, poprawnej politycznie i dominującej narracji nie ma podstaw, by z przedstawionych danych o jesiennych protestach wyprowadzać wniosek, że to migracja wywołała całą falę demonstracji. Ale związek jest oczywisty. W Hiszpanii i Portugalii bezpośrednim problemem jest przede wszystkim dostępność mieszkań, we Francji – m.in. finansowanie edukacji, a w Niemczech – przyszłość świadczeń i podział wydatków publicznych. Wszystko ma więc swe źródło w drenażu środków publicznych, z których szeroki strumień trafia do enklaw migracyjnych. Fala migracyjna wywołana przez Merkel rozsadziła kruchy system socjalny. W państwach, w których brakuje mieszkań, rosną kolejki do usług publicznych, a realne dochody wielu rodzin pozostają pod presją, poczucie niesprawiedliwości może narastać, jeśli obywatele nie widzą jasnych zasad i równomiernego podziału kosztów.



We Francji ulice zapłonęły...

Wspólnym mianownikiem europejskiego kryzysu jest coraz wyraźniejsza rozbieżność między oczekiwaniami obywateli a możliwościami państw. Ale to nie tylko spór o pieniądze. To kryzys wiary w sprawiedliwość, kompetencje i zdolność państwa do realizacji podstawowych funkcji. To też frustracja związana z zagładą europejskiej kultury.

To dopiero początek końca

Wspólnym mianownikiem europejskiego kryzysu jest bowiem coraz wyraźniejsza rozbieżność między oczekiwaniami obywateli a możliwościami państw. Młodzi ludzie widzą, że zdobycie wykształcenia nie gwarantuje mieszkania ani stabilnej kariery. Rodziny pracujące obawiają się, że ich dochody nie wystarczą na utrzymanie dotychczasowego poziomu życia. Emeryci protestują przeciwko ograniczaniu zabezpieczeń, a nauczyciele i pracownicy ochrony zdrowia alarmują, że systemy, od których zależy przyszłość społeczeństw, są niedofinansowane. Jednocześnie rządy muszą finansować transformację energetyczną, obsługę zadłużenia, obronność i skutki wcześniejszych kryzysów. W takich warunkach każda kolejna decyzja budżetowa może zostać odebrana jako dowód, że ktoś inny otrzymuje więcej, podczas gdy własne potrzeby są ignorowane. To nie tylko spór o pieniądze. To kryzys wiary w sprawiedliwość, kompetencje i zdolność państwa do realizacji podstawowych funkcji. To też frustracja związana z zagładą europejskiej kultury. Oriana Fallaci ostrzegała: „Otępieni propagandą fałszu nie przyjmujecie do wiadomości lub nie chcecie przyjąć do wiadomości, że jeśli nie zaczniemy się bronić… dżihad zwycięży. (…) Zmiecie naszą kulturę, naszą sztukę, naszą naukę, naszą tożsamość, naszą moralność, nasze wartości". GP

FOT. RAPHAEL HULLEU / HANS LUCAS AGENCY / FORUM

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }



Jacek **Liziniewicz**

GRA W SKOJARZENIA

Należało się spodziewać, że materiał Onetu o Karolu Nawrockim ma wątłe podstawy. Na pierwszy rzut oka wyglądał na lipę. To tego typu materiał, który pisze się po to, aby czytelnik nie dostał informacji, lecz wrażenie. Typowa sztuczka naszych czasów. Dość często stosowana. Nikt niczego nie weryfikował, bo nikomu do niczego to nie było niezbędne. Potrzeba chwili była taka, żeby z Karola Nawrockiego zrobić stręczyciela i sutenera. Do takiej roboty wystarczy świadek, któremu coś się wydawało 20 lat temu podczas wakacji. Miała wszak zadziałać zbitka. Ochroniarz. Grand Hotel. Kobiety. Resztę czytelnik miał sobie dopowiedzieć. I dopowiedział. Ściślej mówiąc, dopowiedzieli sobie zwolennicy tzw. obozu anty-PiS-u. Ten materiał, jakkolwiek byśmy zaklinali rzeczywistość, nie jest w stanie przekonać żadnego zwolennika Karola Nawrockiego. Brakuje bowiem w nim szczegółów. Dziennikarze nie opisali mechanizmu. Nie rozmawiali z wieloma świadkami i informatorami. Nie przedstawili też jakichkolwiek dokumentów. Nie znalazł się żaden klient. Nie znaleziono ani jednej prostytutki. Są tam tylko wzbudzanie emocji i insynuacja oparta na zeznaniach osoby, której coś się wydawało. Nie wiem, co zrobi z tym sąd. Pewnie uzna, że wolność prasy stoi ponad prawem do godności polityka. Gorsze numery w III RP przechodziły bezkarnie. Jedyny zysk będzie taki, że wnikliwy obserwator dowie się, jak powstają głośne teksty i że generalnie dziennikarze nie przepracowują się, tworząc oparte na anonimowych źródłach błoto do obrzucania. Ot, trzy telefony i już mamy materiał. Później trzeba tylko pobudzić odpowiednio dyżurnych komentatorów, aby dokonali właściwej interpretacji, która pójdzie w świat. I tak trwa gra w skojarzenia. I nikt z niej nie zrezygnuje. **GP**

> Ochroniarz. Grand Hotel. Kobiety. Resztę czytelnik miał sobie dopowiedzieć. I dopowiedział.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }



Krzysztof **Karnkowski**

PARTIA JEDNEGO PRZEBOJU

Nagrywałem ostatnio z kolegami audycję o muzyce zespołów, które latami starały się, jak mogły, by na nowo zaistnieć – pisały nowe piosenki i nagrywały płyty, których niewielu słuchało. A wszystko przez to, że miały już w swoim dorobku jeden wielki przebój, który skupiał na sobie całą uwagę i przyciągał rzesze słuchaczy kompletnie niezainteresowanych inną twórczością tych wykonawców. To fascynująca podróż przez muzykę. Mr. Z'oob to nie tylko „Kawałek podłogi", Rezerwat to nie tylko „Zaopiekuj się mną". Ba, nawet Europe to nie tylko „Final countdown", a całkiem sprawny zespół grający od lat i wciąż tworzący. Tak więc nagrałem tę rozmowę i przyszła pora na napisanie felietonu, a w raz z nią refleksja: Platforma Obywatelska od pewnego momentu stała się, według bardzo podobnego schematu, partią jednego przeboju. Przeboju, którego tytuł zapisuje się najczęściej w postaci ośmiu gwiazdek. Fani, jak to fani – łaskawie posłuchają innych punktów programu, stu konkretów zamiast kilkunastu piosenek na koncercie, ale jeśli nie doczekają się swojego hitu, będą wściekli. Platforma szybko się w tym połapała, tym bardziej że starzejący się frontman zafiksował się na tej jednej śpiewce. Nawet wymyślił zmianę nazwy, by odciąć się od starszych pozycji z repertuaru, takich jak „Deklaracja krakowska", „Rekolekcje w Tyńcu" czy „Konserwatywna kotwica". Rozbrzmiewa jeden refren podchwytywany przez tłum, który nie wybaczy zmiany, melodii czy modyfikacji prostego tekstu. Zmienia się skład, muzycy pojawiają się i znikają, różne dostają też stawki za występy i tantiemy, ale wciąż niesie się ten jeden zaśpiew. Nie trzeba już wymyślać niczego nowego, nikt na to nie czeka, nikogo to nie interesuje. Ba, są nawet inni, słabsi technicznie wykonawcy, odgrywający rolę cover bandów. Taki Czarzasty choćby czy inny Motyka. Partia niczym kapela staje się niewolnikiem, zakładnikiem jednego hitu, ale to pewny zarobek, pewne miejsce na scenie. Póki ktoś nie odetnie prądu. **GP**

> Platforma Obywatelska od pewnego momentu stała się partią jednego przeboju. Przeboju, którego tytuł zapisuje się najczęściej w postaci ośmiu gwiazdek.

ATAKI NA MIESZKANIA DZIENNIKARZY

KTO SIĘ BAWI POLSKIMI ORGANAMI ŚCIGANIA?



CZY TO TYLKO BEZRADNOŚĆ SŁUŻB TUSKA I KIERWIŃSKIEGO?

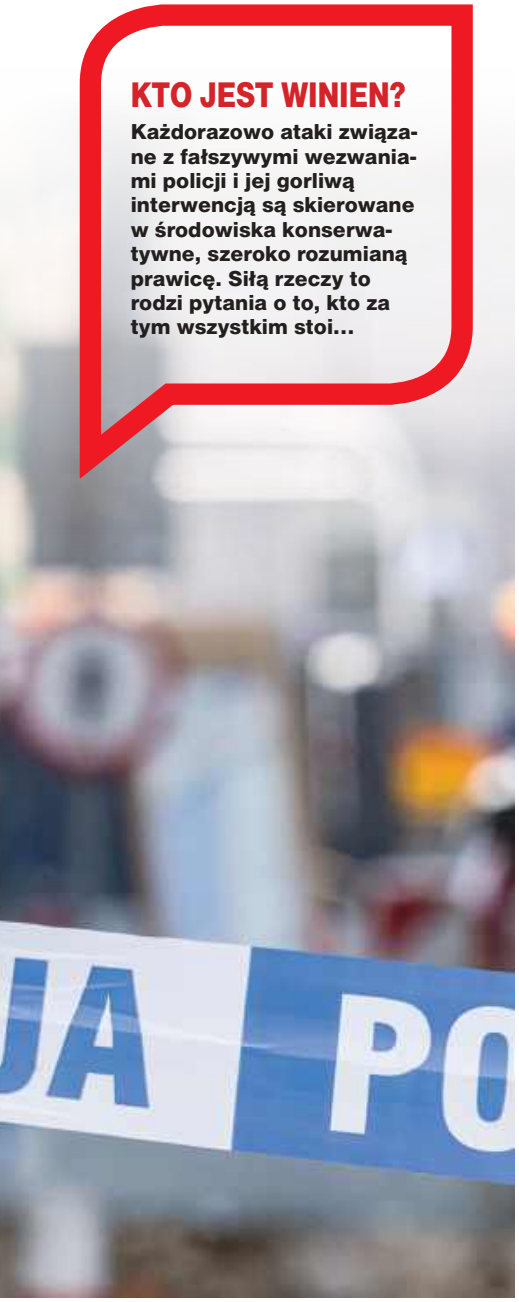
Porażający obraz służb za rządów koalicji 13 grudnia. Od miesięcy przestępcy wywołują fałszywe alarmy, a policja interweniuje – nierzadko w sposób brutalny – w domach dziennikarzy, polityków, a niedawno prawników pomagających panu Piotrowi, obrońcy Trybunału Konstytucyjnego. Prokuratura niby prowadzi śledztwo, ale jak widać, bez efektu. – Ktoś się bawi z polskimi organami ścigania i ma to znamiona działalności zorganizowanej – ocenił w rozmowie z „GP" mec. Bartosz Malewski. Chyba że to wcale nie jest bezradność...

Grzegorz **Broński**
Przemysław **Obłuski**

Pan Piotr, od tygodni zaangażowany w obronę Trybunału Konstytucyjnego, został zatrzymany w piątek 16 października. Brutalna akcja policjantów, kajdanki założone nawet podczas udzielania pomocy przez ratowników medycznych, utrudnianie kontaktu z prawnikami… Prokuratura chciała mężczyznę

KTO JEST WINIEN?

Każdorazowo ataki związane z fałszywymi wezwaniami policji i jej gorliwą interwencją są skierowane w środowiska konserwatywne, szeroko rozumianą prawicę. Siłą rzeczy to rodzi pytania o to, kto za tym wszystkim stoi…



FOT. TOMASZ JEDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA

wsadzić do aresztu – poniosła jednak porażkę w sądzie. Niewątpliwie dzięki pomocy obrońców pana Piotra. Minęło jednak kilka dni, a pojawili się u nich… mundurowi! Najpierw (24 października) do mieszkania mec. Bartosza Malewskiego wtargnęło siedmiu uzbrojonych po zęby policjantów. Dwa dni później do podobnej, choć zdecydowanie spokojniejszej, interwencji doszło w mieszkaniu mec. Magdaleny Prządki-Leszczyńskiej. Jak się później okazało – był to skutek fałszywych zgłoszeń o rzekomym przestępstwie.

Oczywiste są skojarzenia z wydarzeniami z maja tego roku, gdy z tego samego powodu miały miejsce liczne interwencje u dziennikarzy Telewizji Republika. Szczególnie skandaliczny przebieg miało najście policjantów na mieszkanie prezesa stacji, redaktora Tomasza Sakiewicza, gdy bez żadnego powodu skuto kajdankami jego asystentkę. Pomimo to policjanci nie ponieśli żadnych konsekwencji, skończyło się na… rozmowach dyscyplinujących. To był wyraźny sygnał, że jest przyzwolenie na takie zachowania.

„Nie radzą sobie”

Mecenas Malewski jest także prezesem stowarzyszenia Marsz Niepodległości. A interwencja u niego odbyła się tuż przed 11 listopada. – To mogło stanowić dodatkową zachętę, żeby do tego czynu przestępczego wykorzystać akurat moją osobę – tłumaczył w rozmowie z „Gazetą Polską”. – Mogło chodzić o wywołanie złego wrażenia i chaosu – dodaje.

Prawnicy zgodnie podkreślają, że po takich zawiadomieniach policja musi podejmować interwencje, ale można je realizować rozsądniej i wnikliwiej. Mecenas Prządka-Leszczyńska zwraca uwagę, że policjanci po otrzymaniu dokładnej treści zgłoszenia powinni podjąć próbę wstępnej weryfikacji. – Nie trzeba być jakoś szczególnie wybitnym, aby się zorientować, że najprawdopodobniej mamy do czynienia z fałszywym zgłoszeniem, zwłaszcza że kolejne są bardzo podobne. Oczywiście nie można mówić, że policja nie powinna reagować. Musi, tylko chodzi o to, żeby reagować rozumnie – stwierdziła.

Jej zdaniem największym problemem jest długotrwałość procederu. – Mimo upływu czasu problem nadal pozostaje nierozwiązany. Najpierw mieliśmy takie zgłoszenia wobec dziennikarzy, potem matki prezydenta Nawrockiego, a teraz adwokatów – przypomniała.

Według Malewskiego policja i prokuratura nie radzą sobie z tymi sytuacjami. – Ktoś się bawi z polskimi organami ścigania i ma to znamiona działalności zorganizowanej. Każe to też zadawać kolejne pytania: o to, czy to jest jedna osoba, czy może jednak jest ich więcej. Czy współdziałają w tym zakresie? Bo to wygląda na dosyć przemyślane działanie – zastanawia się prawnik.

Stare-nowe śledztwo

Śledztwo ws. fałszywych zawiadomień – będących de facto atakami na dziennikarzy TV Republika – przejęła Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga. Na tym nie poprzestano. Dołączono również wątek interwencji służb w mieszkaniu prof. Sławomira Cenckiewicza, byłego szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, a nawet wydarzeń w nieruchomości należącej do rodziny prezydenta Karola Nawrockiego, choć do tych ostatnich doszło na Pomorzu.

„W dniu 26 maja 2026 r. śledztwo zostało przekazane” – potwierdził prok. Mariusz Duszyński z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku. Co jednak wzbudziło największe wątpliwości – nie wszczęto nowego postępowania poświęconego wyłącznie przestępstwom popełnionym w maju 2026 roku. Jak informował portal Niezależna.pl, materiały dołączono do śledztwa prowadzonego już od drugiej połowy zeszłego roku, które dotyczyło „zorganizowanej grupy przestępczej mającej na celu popełnianie przestępstw polegających głównie na zawiadamianiu różnych publicznych i niepublicznych instytucji o zagrożeniach, które w rzeczywistości nie istniały”. Szajka miała na koncie kilkadziesiąt tego typu fałszywych zgłoszeń.

W październiku 2025 roku dwie osoby, którym postawiono zarzuty kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, zostały tymczasowo aresztowane, czyli w maju br. przebywały za kratkami. Jak więc obie sprawy się łączą? Tak naprawdę do dziś nie wiadomo.

Bez przełomu

W zeszłym tygodniu „Gazeta Polska” sprawdziła, co się zmieniło w śledztwie przez minione pięć miesięcy. „W sprawie dotyczącej tzw. fałszywych alarmów przesłuchano bardzo dużą liczbę świadków. Wśród nich byli również dziennikarze, a także pracownicy służb – tj. policji oraz

straży pożarnej – którzy reagowali na fałszywe zgłoszenia. Przesłuchano ponadto rodzinę pana prezydenta Karola Nawrockiego zamieszkującą w mieszkaniu w Gdańsku. Na chwilę obecną nie jest z kolei planowane przesłuchanie samego pana prezydenta w tej sprawie" – przekazała prok. Marzena Kiełek-Łopińska, rzecznik praskiej prokuratury.

„Żadna z dotychczas zatrzymanych w tych sprawach osób nie została zwolniona przez prokuratora. Nie zmieniał on również charakteru pierwotnie zastosowanych środków zapobiegawczych wobec aktualnych podejrzanych. Jeśli zaś chodzi o informacje dotyczące liczby osób przebywających obecnie w areszcie, to z uwagi na dobro śledztwa zostaną one przedstawione w późniejszym terminie" – dodała. „W sprawie zabezpieczono obszerny materiał dowodowy. Poza wskazywanymi powyżej zeznaniami świadków skierowano dwa wnioski o międzynarodową pomoc prawną. Zabezpieczono również monitoring w ramach wątku dotyczącego fałszywych alarmów w mieszkaniu pana prezydenta Karola Nawrockiego. Planowane są kolejne czynności dowodowe na terenie kraju, jak również zagraniczne pomoce prawne mające na celu zabezpieczenie materiału dowodowego w postaci dowodów elektronicznych" – przekazała dodatkowo prok. Kiełek-Łopińska. Zaznaczyła, że poza tym wszczęto śledztwo m.in. o czyny z art. 190a par. 1 k.k. (stalking) na szkodę pokrzywdzonych, którzy są dziennikarzami. Z treści odpowiedzi jasno wynika: trudno mówić o przełomie.

Celem eskalacja emocji?

Po wydarzeniach przed Trybunałem Konstytucyjnym, brutalnym zatrzymaniu pana Piotra, ujawnieniu przez Republikę filmiku pokazującego przebieg interwencji policji, a przede wszystkim groźbach ze strony szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego, prezes stacji był przekonany, że wkrótce zacznie się jakaś odwetowa akcja. – Było widać, że nawołują do zemsty. To było ewidentne – stwierdził red. Tomasz Sakiewicz. I fałszywe alarmy, a za nimi najścia uzbrojonych funkcjonariuszy, się powtórzyły. Wprawdzie nie wiadomo, kim są sprawcy fałszywych zgłoszeń, ale ich działanie może być wykorzystywane politycznie przez koalicję 13 grudnia. – Chcą zastraszyć dziennikarzy, wywołać poczucie strachu wśród ludzi wspierających miasteczko przed Trybunałem Konstytucyjnym. Wywołać efekt mrożący.

Najpierw do mieszkania mec. Bartosza Malewskiego wtargnęło siedmiu uzbrojonych policjantów. Dwa dni później do podobnej, choć spokojniejszej interwencji doszło w mieszkaniu mec. Magdaleny Prządki-Leszczyńskiej. Jak się później okazało – był to skutek fałszywych zgłoszeń o rzekomym przestępstwie.

I być może doprowadzić do eskalacji – tłumaczy red. Sakiewicz.

Zwraca też uwagę na narrację z „nożownikiem", którą powielał chociażby Donald Tusk. – Chodziło o to, żeby także wśród funkcjonariuszy wywołać złość, niepewność, nerwowe reakcje. Zaindukować ich wobec przeciwników tego rządu. Dokładnie tak jak robiła bezpieka przed stanem wojennym, kiedy na mieszkaniach partyjnych działaczy malowano napisy z groźbami. Wtedy chodziło o zmobilizowanie betonu partyjnego i Milicji Obywatelskiej wobec Solidarności. Teraz wysyłane są fałszywe informacje, które mają wywołać negatywne emocje wobec protestujących obywateli. Powtórka tamtej akcji – stwierdził prezes Sakiewicz.

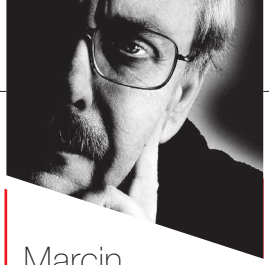
A Żurek milczy

Co znamienne, na temat fałszywych zgłoszeń uderzających w osoby publiczne minister Waldemar Żurek milczy. – Oczekiwałbym, żeby prokurator generalny zajął jakieś publiczne stanowisko, tym bardziej że często zajmuje je w szeregu innych spraw. Zapowiada składanie aktów oskarżenia, wniosków o uchylenie immunitetów, informuje o zatrzymaniach. Komunikuje się ze społeczeństwem na temat tego, co robi i jak działa. W tych sprawach jednak milczy, w ogóle nie ma tego tematu. Chciałbym usłyszeć, że prokurator generalny potraktował te sprawy w sposób poważny. Wyznaczył konkretnego prokuratora czy grupę prokuratorów, a być może przeniósł postępowanie do Prokuratury Krajowej – stwierdził mec. Malewski.

Bez wątpienia każdorazowo tego typu ataki są skierowane w środowiska konserwatywne, szeroko rozumianą prawicę. Siłą rzeczy to rodzi rozmaite pytania. – Jest jeszcze jedna ewentualność, ale bardzo chciałbym, żeby nie była prawdziwa. Pamiętam umiejętności ówcześnie rządzących ministrów w rządzie Donalda Tuska – mam na myśli rok 2013 – kiedy podczas Marszu Niepodległości spłonęła budka pod ambasadą rosyjską. Później z nagrań w restauracji Sowa i Przyjaciele dowiedzieliśmy się, że minister Sienkiewicz miał jakąś ideę przeprowadzenia takiej prowokacji. Muszę zatem brać pod uwagę i taką ewentualność, że być może robi to państwo polskie. Skoro nie jest ono w stanie wykryć sprawców, to może jednocześnie ich kryje? Nie wiem, to są pytania, na które nie znam odpowiedzi. Mam nadzieję, że ta hipoteza jest naprawdę nieprawdziwa. Ale też nie można jej wykluczyć – podkreślił mec. Malewski. GP

FELIETON

{ WRZUTKA }



Marcin
Wolski

DLACZEGO ZIOBRO NIE POSADZIŁ TUSKA?

Parę dni temu kraj obiegła wstrząsająca wiadomość. „Nożownik na Nowogrodzkiej”! Początkowo brakowało konkretów, stąd wyobraźnia mogła podsuwać najgorsze wizje. Oto jakiś gość z majchrem wdarł się do siedziby PiS i zamachnął na największą narodową świętość. Okazało się, że nożownik z Nowogrodzkiej zaatakował kilometr od Kaczogrodu i był Hindusem, który rzucił się na swojego rodaka. I co mają z tym począć mistrzowie propagandy? Dowodzić, że Hindus to jeden z tych, których chce sprowadzić do nas Grzegorz Braun w miejsce Ukraińców? Można próbować, ale jak to zabrzmi, kiedy właśnie nasz najjaśniejszy Tusek odwiedza najludniejszy kraj świata? Nałożył turban i wymienia doświadczenia na temat świętych krów, których w Indiach jest mnóstwo, ale u nas też niemało. I w większości należą do Koalicji. Dla porządku warto zaznaczyć za posłem Zandbergiem, że reklamę ku czci Tuska sponsoruje ta sama firma, która ogarnia wizy pracownicze do Polski i o której było głośno przy aferze wizowej. Swoją drogą nasz honorowy Hindus ma wiele szczęścia – prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski ujawnił, że kiedy Zbigniew Ziobro był ministrem prokuratorem generalnym, mógł bez trudu aresztować Donaldinia i posadzić go na długie lata. Dlaczego tego nie zrobił? Może liczył na wdzięczność? Zupełnie jakby nie wiedział, że nic tak się nie mści na człowieku jak jego dobre uczynki. Karma wraca z kastetem w ręku. Okazuje się, że wiara w cokolwiek na sto procent jest ryzykowna. Jeszcze dwa lata temu uwierzyliśmy w Trumpa silniej niż Rzecki w Napoleona. I co z tego mamy? Ameryka przynajmniej ma o milion nielegalnych migrantów i o 150 płci mniej. A my chcieliśmy nazwać jego imieniem fort w Polsce. Ale co to jedna baza, gdy ambicje prezydenta sięgają oceanu, który chciałby nazwać swoim imieniem! Niestety geografowie się nie zgadzają. Krokiem, który mógłby go ucieszyć, byłoby zniesienie przez nasz Sejm dwukadencyjności w samorządach, za czym usilnie lobbował PSL. Niewykluczone, że właśnie to było głównym tematem rozmowy Kosiniaka-Kamysza z prezydentem Trumpem. Gdyby pomysł przeszedł w Polsce, Trump mógłby ogłosić w Kongresie: jeśli nawet demokratyczna Polska nie ogranicza kadencji, to dlaczego nie mogę zostać prezydentem po raz trzeci i piąty? Fakt – związek polityka z korytem powinien być jak małżeństwo – nierozerwalny… **GP**

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

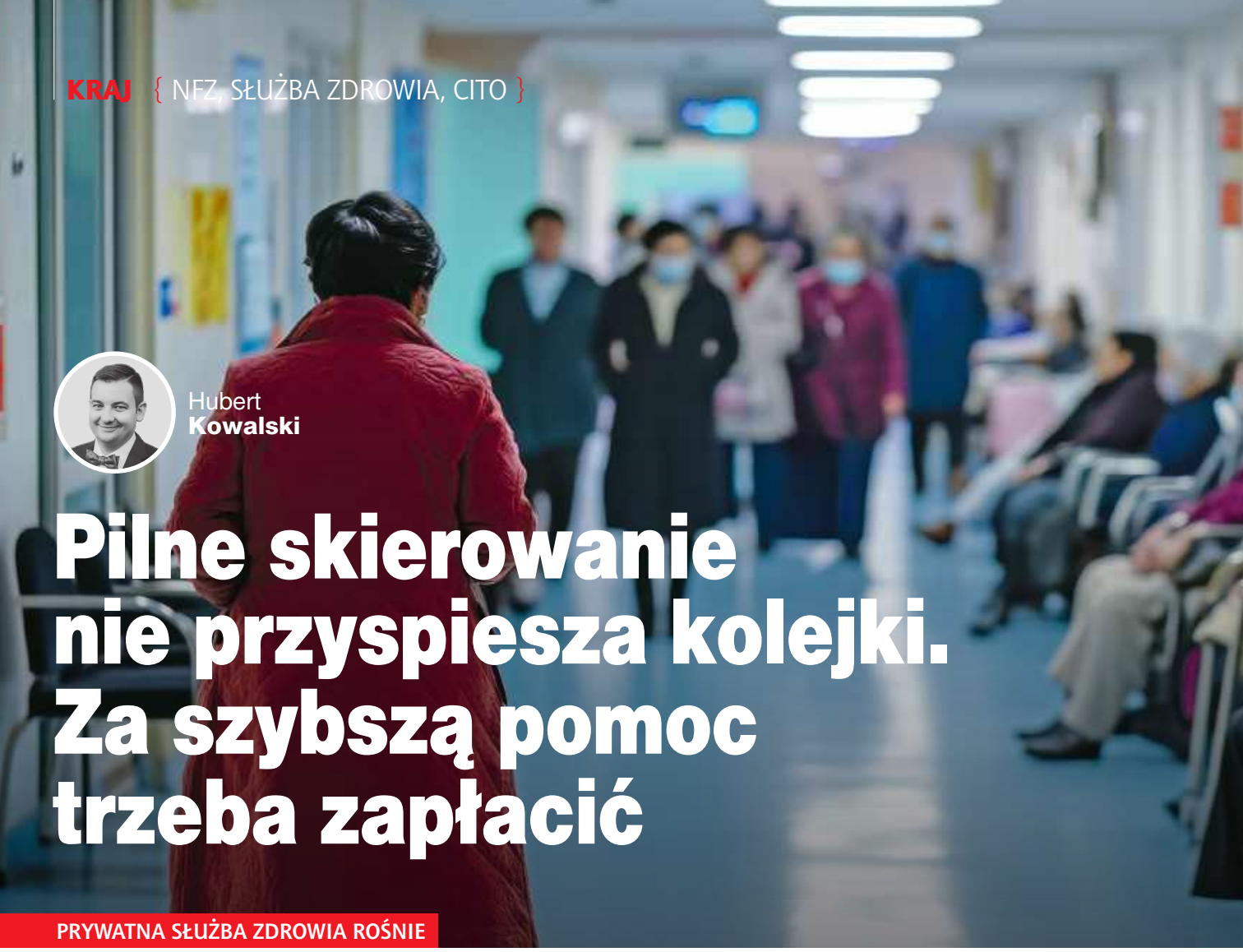


Tomasz
Łysiak

ŚW. JAN PAWEŁ II I „PRZYPADKI”…

Tak się zdarzyło, że gdy gościliśmy w Cassino Piotra Dmitrowicza, autora działu „Historia” naszego tygodnika (a także dyrektora Muzeum Mt 5,14 im. św. Jana Pawła II i bł. Prymasa Tysiąclecia Stefana Wyszyńskiego), zaproszono nas na mszę świętą do miasteczka Sant’Ambrogio sul Garigliano. Rzecz była niezwykła na tyle, że aż trudno mówić tu o przypadku czy zbiegu okoliczności itd. Jedni wierzą w przypadki, inni w obecność Opatrzności Bożej w życiu codziennym, a ja wierzę w to drugie. Proszę sobie wyobrazić, że oto nagle wraz z dyrektorem muzeum Karola Wojtyły znajdujemy się w niewielkiej górskiej miejscowości, w której… następuje przekazanie relikwii św. Jana Pawła II do tego właśnie kościoła, w czasie tej mszy. Relikwię przesłał z Krakowa kardynał Dziwisz – to zakrwawiony bandaż, zabrany w dniu zamachu z rzymskiej kliniki, do której przywieziono papieża po tamtych wydarzeniach. Inna relikwia z tego dnia – koloratka, którą wówczas miał na szyi Wojtyła – jest w zbiorach muzeum kierowanego przez Piotra. Ale wracając do owej mszy w Sant’Ambrogio: najpierw zostaliśmy przez proboszcza, don Lorenza Vallone, przywitani i przedstawieni wszystkim zgromadzonym wiernym (nie tylko Piotr z żoną jako dyrektor Muzeum Mt 5,14, lecz także ja z Magdą jako przedstawiciele Fundacji Monte Cassino 1944). Piękna homilia popłynęła bardzo w polską stronę – było o tym, jak ważne jest to, że św. Jan Paweł II był właśnie Polakiem; było o roli Polski, ostoi chrześcijaństwa i wiary w upadającej Europie; było o żołnierzach 2. Korpusu Polskiego i cmentarzu polskim na Monte Cassino. A po mszy, gdy robiliśmy pamiątkowe zdjęcia, don Lorenzo udzielił błogosławieństwa Piotrowi i Monice, gdyż tego dnia obchodzili właśnie 28. rocznicę ślubu. Błogosławieństwo zostało udzielone relikwiami św. Jana Pawła II. Dyrektorowi muzeum św. Jana Pawła II i jego żonie. Gdzieś w małym miasteczku we Włoszech. Przypadek? Jak Państwo myślą? Wierzą Państwo w takie… „przypadki”? **GP**

Jedni wierzą w przypadki, inni w obecność Opatrzności Bożej w życiu codziennym, a ja wierzę w to drugie.



Hubert
Kowalski

Pilne skierowanie nie przyspiesza kolejki. Za szybszą pomoc trzeba zapłacić

PRYWATNA SŁUŻBA ZDROWIA ROŚNIE

Nawet skierowanie pilne często nie zapewnia pierwszeństwa w kolejce do lekarza specjalisty czy na badanie diagnostyczne. W wielu placówkach pacjenci już podczas rejestracji słyszą, że terminy są jednakowe dla wszystkich, niezależnie od rodzaju skierowania, co stoi w sprzeczności ze stanowiskiem rzecznika praw pacjenta. W efekcie „cito" może oznaczać nawet lata. Jednocześnie dane pokazują jasno, że Polacy coraz częściej korzystają z prywatnej opieki zdrowotnej, płacąc z własnej kieszeni za wizyty i badania.

Od 1 kwietnia 2026 roku Narodowy Fundusz Zdrowia płaci placówkom jedynie 50 proc. dotychczasowej stawki za rezonans magnetyczny i tomografię komputerową oraz 60 proc. za gastroskopię i kolonoskopię, jeżeli badania wykonano ponad wartość kontraktu. Od początku alarmowano, że zmiany ograniczą dostępność opieki. Jak się później okazało, dokładnie taki był skutek. Jak wynika z danych Fundacji Alivia, kolejki m.in. na gastroskopię i kolonoskopię wydłużyły się o kilka miesięcy.

Jedna kolejka

W części polskich szpitali skierowanie pilne nie daje pacjentowi żadnego pierwszeństwa w dostępie do badań diagnostycznych oraz wizyt u specjalistów. „Gazeta Polska" sprawdziła pod tym względem trzy szpitale: powiatowy w Łęczycy, wojewódzki w Zgierzu oraz kliniczny numer 2 Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. W dwóch pierwszych obowiązywała jedna kolejka zarówno dla pilnych, jak i standardowych skierowań do poradni przyszpitalnych. Zjawisko w skali kraju potwierdzają najnowsze ustalenia Fundacji Alivia, która telefonicznie sprawdza terminy w placówkach medycznych. W Szpitalu Wojewódzkim przy ul. Arkońskiej w Szczecinie na kolonoskopię zarówno pilną, jak i zwykłą podawano termin na październik 2028 roku. Dotyczyło to badań ze znieczuleniem i bez niego. Dane zweryfikowano 9 października 2026 roku. Podobną praktykę odnotowano w Warszawskim Szpitalu Południowym, gdzie na kolonoskopię bez znieczulenia wskazywano termin na początek lutego 2027 roku, a w znieczuleniu na grudzień 2027 roku, identyczny dla obu kategorii pacjentów. Fundacja po-



PRZYMUS WYBORU

Według GUS w 2020 roku zbyt odległe terminy w publicznych placówkach jako przyczynę korzystania z odpłatnych usług medycznych innych niż stomatologiczne wskazywało 51,7 proc. gospodarstw domowych korzystających z takich świadczeń. W 2023 roku odsetek ten wzrósł do 70,7 proc.

FOT. ADOBESTOCK

twierdziła te informacje 22 października. Z kolei 26 października ustalono, że w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. NMP w Częstochowie na kolonoskopię bez znieczulenia trzeba czekać do września 2028 roku, niezależnie od pilności skierowania. We wszystkich tych placówkach Alivia uzyskała informację, że skierowanie pilne nie przyspiesza badania, ponieważ obowiązuje jedna kolejka dla pacjentów pilnych i stabilnych. Podobnych przykładów jest mnóstwo.

„Można pójść pod gabinet i prosić lekarza”

Problem nieprzestrzegania pierwszeństwa pacjentów ze skierowaniami pilnymi jest znany od lat, ale się pogłębia. W praktyce na etapie wyznaczania wizyty pacjent ma do czynienia nie z lekarzem, lecz z rejestracją, która wprawdzie skierowań nie podważa, ale ich pilność lekceważy. W niektórych szpitalach są one ignorowane do tego stopnia, że w praktyce część pacjentów pilnych jest przyjmowana później niż stabilnych. Z danych NIK wynika, że w dziecięcych poradniach genetycznych mediana czasu oczekiwania pacjentów pilnych wzrosła między grudniem 2020 roku a czerwcem 2024 roku z 67 do 221 dni.

Praktyka wyznaczania jednakowych terminów pacjentom ze skierowaniami pilnymi i stabilnymi stoi w sprzeczności ze stanowiskiem rzecznika praw pacjenta. W oficjalnych wyjaśnieniach zaktualizowanych 21 lipca 2026 roku rzecznik jednoznacznie wskazał, że skierowanie z adnotacją „pilne” lub „cito” oznacza konieczność jak najszybszego udzielenia świadczenia ze względu na stan zdrowia pacjenta. Już podczas rejestracji powinien on zostać wpisany na listę oczekujących jako przypadek pilny, z pierwszeństwem przed osobami kierowanymi w trybie planowym. „Placówka powinna zaproponować wcześniejszy termin niż tym, którzy mają skierowanie planowe – podkreślił rzecznik. Zaznaczył jednocześnie, że przepisy nie określają konkretnej liczby dni, w których taka wizyta lub badanie muszą się odbyć. Oznacza to, że skierowanie pilne nie gwarantuje przyjęcia w ciągu kilku dni, ale powinno zapewniać pierwszeństwo przed pacjentami stabilnymi.

W praktyce jednak sytuacje ignorowania skierowań są bagatelizowane, a nawet usprawiedliwiane. Część specjalistów przekonuje, że do niektórych poradni bardzo wielu pacjentów przychodzi ze skierowaniami pilnymi, choć według opinii innych lekarzy nie wymagają takiej konsultacji. Szpitale wskazują też na kwestie kadrowe. Są jednak inne problemy. – Nie mamy specjalnej procedury rejestrowania pilnych pacjentów. To lekarz podaje swoją dyspozycyjność i w tych terminach możemy wyznaczać wizyty, to jest zazwyczaj sztywne i nie ma możliwości tworzenia odrębnej puli terminów. Bywa, że inaczej jest w większych szpitalach specjalistycznych – mówi w rozmowie z nami wicedyrektor jednego ze szpitali powiatowych, który chce zachować anonimowość. – Można przyjść pod gabinet i prosić lekarza o przyjęcie poza zapisami. Ale żadnej gwarancji nie ma, bo po pierwsze lekarze niechętnie pracują ponad grafik, a po drugie to oni chcą oceniać pilność. Nie interesuje ich, że inny lekarz stwierdził tę pilność – tłumaczy wicedyrektor i przyznaje, że ta praktyka uderza w pacjentów, którzy szczególnie potrzebują pilnej pomocy. Dodaje, że pacjenci często chcą wizyty u konkretnego lekarza, a jeżeli termin jest odległy, wielu pójdzie do niego prywatnie.

Słaba dostępność na NFZ, silna prywatna służba zdrowia

Dla coraz większej liczby Polaków prywatna opieka zdrowotna staje się sposobem na uzyskanie świadczeń, do których dostęp w ramach NFZ jest utrudniony. Skalę rosnącego zainteresowania prywatnym leczeniem pokazują wieloletnie badania CBOS. W 2003 roku z usług medycznych poza publicznym systemem korzystało 38 proc. dorosłych Polaków, w 2018 roku już 57 proc., w 2023 roku 62 proc., a w 2025 roku 64 proc. Badania obejmowały osoby, które w ciągu poprzednich 6 miesięcy skorzystały z co najmniej jednej usługi poza NFZ, w tym wizyt lekarskich, badań diagnostycznych i stomatologii. Szczególnie wyraźny wzrost dotyczy lekarzy specjalistów. W 2018 roku z prywatnych konsultacji korzystało 29 proc. dorosłych Polaków, w 2023 roku 38 proc., a w 2025 roku już 40 proc.

Zbadano również, dlaczego Polacy coraz częściej szukają pomocy poza NFZ. Jednym z głównych powodów są długie kolejki. Według Głównego Urzędu Statystycznego w 2020 roku zbyt odległe terminy w publicznych placówkach jako przyczynę korzystania z odpłatnych usług medycznych innych niż stomatologiczne wskazywało 51,7 proc. gospodarstw domowych korzystających z takich świadczeń. W 2023 roku odsetek ten wzrósł do 70,7 proc. Dane pokazują więc nie tylko rosnącą popularność prywatnej opieki zdrowotnej, ale również coraz większe problemy w dostępie do świadczeń finansowanych przez NFZ. **GP**



Jacek
Liziniewicz

JAK PAŃSTWO POMOGŁO HOLENDROM UKRAŚĆ TYGRYSA

KOMPROMITACJA SŁUŻB I NGO W ZOO ŁĄCZNA

13 października na teren prywatnego ogrodu zoologicznego w Łącznej weszły polskie służby – policja i prokuratorzy – wraz przedstawicielami organizacji pozarządowych. Interwencja zakończyła się kompletnym blamażem. Służby i NGO nie dość, że nie wykryły żadnego znęcania się nad zwierzętami, to jeszcze same wprowadziły nieprawdopodobny chaos, który zagrażał zdrowiu zgromadzonych w zoo gatunków, przy okazji wykazując się totalną amatorszczyzną. Po ponad dwóch tygodniach prokuratura faktycznie oddała zwierzęta właścicielowi pod opiekę. Pozostały wstyd i seria pytań o odpowiedzialność za całą złodziejską akcję.

Plan był prosty i niczym nie odbiegał od tysięcy interwencji przeprowadzanych w całym kraju w ostatnich latach. Aktywiści wraz ze służbami mieli wejść na teren gospodarstwa i przejąć zwierzęta, krzycząc, że dzieje się im krzywda. Wszystko mieli przyklepać oddelegowani biegli, którzy od lat specjalizują się w takich akcjach i w zasadzie stale współpracują z aktywistami prozwierzęcymi. W działaniach miał nikt nie przeszkadzać. Prokuratura zatrzymała m.in. dyrektora zoo i jego czworo współpracowników. Przy organizacji przedsięwzięcia służby specjalnie pominęły powiatowego lekarza weterynarii, czyli w teorii urząd najlepiej znający faktyczną sytuację w ogrodzie. Przygotowane miały być również dokumenty o przewozie dzikich gatunków. To wymagało z kolei, aby wtajemniczyć najważniejsze – centralne – organy władzy państwowej. W teorii wszystko miało się udać w dwa dni.

Złodziejstwo

Faktycznie jednak doszło do totalnej kompromitacji. Wszystkie zaangażowane organy i NGO wydały się bowiem zaskoczone faktem, że przejmowanie tygrysów i zebr różni się od interwencyjnego odbierania psów i kotów – zwierzęta dzikie i egzotyczne wymagają przecież specjalistycznej opieki. Ponadto nie doszacowały skali przedsięwzięcia, bowiem do przejęcia było aż 777 osobników różnych gatunków – od groźnych tygrysów, przez rzadkie gatunki szpaków, po zwierzęta znane z gospodarstw rolnych, jak kozy czy owce. Zaopiekowanie się taką menażerią wymaga olbrzymiego doświadczenia i wiedzy. Państwo postanowiło jednak nie korzystać z pomocy pracowników publicznych ogrodów zoologicznych, ale w ciemno zaufać organizacjom pozarządowym. A te po cichu zaczęły przygotowywać coś w rodzaju pospolitego ruszenia.

Na komunikatorach powstały grupy, do których dołączali aktywiści z całej Polski. Najaktywniejszymi osobami miały być Katarzyna Śliwa-Łobacz i Sara Balcerowicz związane z fundacją Mondo Cane. Na grupach dyskutowano o tym, jak podzielić zwierzęta i jak się nimi zająć. „Jak zobaczyłam, co na tej grupie się dzieje, to wołało to o pomstę do nieba. Te zwierzęta były dzielone jak kostki czekolady. Uwierzcie mi państwo, to tak wyglądało. Chcesz małpy? To weź małpy. Chcesz wielbłąda? Bierz wielbłąda. »Kurde, nie wiem, czy przyjedzie mi piasek, bo zajmuję się psami, a to mój pierwszy wielbłąd«. Jakaś tam kobieta, jak się dowiedzieliśmy, ma minizoo. (…) Nasi działacze byli w Łącznej incognito i zrobili masę nagrań. Złożymy je w sprawie. Po wrzuceniu na grupę wiele organizacji zaczęło pisać, że u nich zwierzęta będą miały gorsze warunki – »ja mam mniejsze klatki«, »mam mniejszą wolierę«. Jaki był sens relokacji tych zwierząt?" – powiedziała lokalnej telewizji Dami Katarzyna Sawicka.

Ostrzegła ona właścicieli zoo, że wobec placówki planowana jest duża akcja. Dziś jest przedstawiana w mediach jako policjantka odpowiedzialna za wyciek. Jak sama tłumaczy, to, że jest policjantką, nie miało nic wspólnego z tym, że poinformowała Zoo Łączna o tym, co ma się wydarzyć. Od trzech lat przebywa bowiem na urlopie wychowawczym, a jej jednostka nigdy nie zajmowała się sprawą tego ogrodu zoologicznego. Mimo to prokurator postanowił postawić jej zarzuty i zawiesił ją w czynnościach służbowych. Wygląda to na próbę odwracania uwagi od sedna sprawy, czyli od tego, że akcja po prostu była bezpodstawna.

Prokuratorzy naiwniacy

Początkowo zakładano, że do niedzieli 18 października relokowane zostaną wszystkie zwierzęta. Trudno powiedzieć, czym kierowała się prokuratura, ślepo wierząc w zapewnienia aktywistów, że sprostają zadaniu. O ile bowiem ci umieją podejmować skuteczne działania propagandowe oraz lobbingowe, o tyle ich opieka skupia się na zwierzętach domowych. Niewiele NGO jest w stanie profesjonalnie zająć się dzikimi gatunkami. A jeżeli już, to przeważnie są to pojedyncze osobniki. Dodatkowo organizacje te nie mają wielu pracowników. W Mondo Cane zatrudnienie znajduje 10 osób, a roczny budżet, którym operuje, to około miliona złotych. Inaczej mówiąc, większość organizacji zajmuje się bardziej mówieniem o ochronie zwierząt niż realną ochroną. W ich strukturach łatwiej znaleźć prawnika i aktora niż zootechnika czy weterynarza. Mimo to prokuratura uznała, że NGO szybko przewiozą 777 zwierząt w bezpieczne miejsca.

Dodatkowo nie sposób nie zauważyć, że śledczy wyraźnie liczyli na to, że wejście na teren zoo szybko dostarczy im niezbitych dowodów na znęcanie się nad przebywającymi tam zwierzętami. Na teren jednostki wchodzili bez przygotowania dokumentów, a adwokaci ogrodu nie mogli się doprosić odpowiedzi na pytanie, co było powodem interwencji służb. Nadzieje prokuratorów okazały się jednak płonne. NGO zawaliły sprawę. Ich przedstawiciele na miejsce przyjechali nieprzygotowani, bez sprzętu. Okazało się również, że nie są przygotowani merytorycznie. Sprawą zainteresowali się lokalni mieszkańcy i media, którzy zaczęli obser-

FOT. FACEBOOK

wować wszystkie działania służb. Usłyszeli m.in. rozmowę o tym, w jaki sposób NGO mają zamiar wywozić kapibary, i rozważania, czy przeżyją one transport w skrzyniach. Zwierzęta próbowano przewozić też zwykłymi busami na co dzień transportującymi meble. Dodatkowo aktywiści nie byli w stanie rozpoznać niektórych gatunków, nie wiedzieli również, jak część z nich żywić.

Zapanował kompromitujący chaos. Zwierzęta zaczęły uciekać. W sumie wywieziono tylko 31 osobników, z czego większość – 21 – do Holandii. Gdy po akcji służb przeprowadzono inwentaryzację, okazało się, że zniknęły: dwa bażanty diamentowe, dwa daniele zwyczajne, muflon, dwie małpki pigmejki i paw złoty. Ten ostatni jest jedynym, który wrócił, gdy sytuacja się uspokoiła – sam wszedł do woliery, aby dołączyć do stada. Co najmniej dwa osobniki nie przeżyły. Były to ptaki arasari czarnoszyi oraz majna złotolica.

Wszyscy umywają ręce

Po dwóch dniach pewne były dwie zasadnicze kwestie. Po pierwsze to, że prokuratura nie znalazła śladów znęcania się nad zwierzętami. Po drugie to, że NGO nie są w stanie przeprowadzić takiej akcji. Co ciekawe, sami aktywiści zaczęli się wycofywać – oficjalnie z uwagi na hejt – a z problemem zostali prokuratorzy. Ci wystosowali apel do organizacji, które mogłyby przyjąć zwierzęta, ale pozostał on bez odpowiedzi. Postanowiono więc „obdarować”… miejscowego burmistrza. Ten jednak nie chciał przyjąć tego szczodrego daru od prokuratorów oraz przekonywał, że przekracza to jego możliwości finansowe i organizacyjne. Przez ponad tydzień kłócono się o to, kto ma wydawać pieniądze na karmę dla zwierząt. Komunikaty prokuratury dosłownie trudno było zrozumieć. „Podczas dzisiejszego spotkania poruszono także kwestie rozliczania kosztów przechowywania zwierząt. Prokuratura potwierdziła, że zgodnie z obowiązującymi przepisami nie ma podstaw, aby ponosiła koszty funkcjonowania prywatnego ogrodu zoologicznego. Nie uchyla się jednak od pokrywania rzeczywiście poniesionych, uzasadnionych i odpowiednio udokumentowanych kosztów związanych z ich przechowywaniem i opieką” – czytamy.

Po dwóch tygodniach przepychanek prokuratura powierzyła zwierzęta ludziom, których oskarża o znęcanie się nad nimi. „W wyniku czynności podjętych na terenie ZOO w Łącznej w dniu 26 października 2026 r. przez nowego referenta śledztwa dotyczącego osób prowadzących ogród, przy udziale przedstawiciela Rady Dyrektorów Polskich Ogrodów Zoologicznych i Akwariów oraz biegłego z Instytutu Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prokurator podjął decyzję o uchyleniu postanowień oddających zwierzęta z ZOO Łączna na przechowanie Burmistrzowi Mieroszowa i tym samym oddaniu ich do dyspozycji osoby dotychczas kierującej ogrodem w ramach prowadzonej działalności gospodarczej. Oględziny wykazały konieczność podjęcia działań co do poprawy warunków bytowania zwierząt, która wiąże się z potrzebą poprawy wieloletnich zaniedbań w infrastrukturze ZOO. Takie działania może podjąć wyłącznie osoba odpowiadająca za prowadzenie całego ogrodu” – czytamy w komunikacie. Sytuacja jest więc absurdalna. Można ją zrozumieć mniej więcej tak: prokurator uznaje, że pracownicy i władze zoo w Łącznej znęcali się nad zwierzętami, ale sam nie umie się nimi zająć lepiej.

Na dywanik za krytykę

Dyrektor zoo Marcin Nowaczyk zapowiada działania prawne wobec państwa polskiego. Na razie nie wiadomo, jak wielkie odszkodowania wchodzą w grę. Nowaczyk będzie się również domagał zwrotu wszystkich zwierząt. Emocje ludzi są ewidentnie po jego stronie. W akcji pomocowej dla zoo zebrano już blisko 700 tys. zł. Dodatkowo sprawa wywołała poruszenie w środowisku zajmującym się zwierzętami. Powiatowi lekarze weterynarii wystosowali list otwarty do premiera Donalda Tuska, w którym zwracają uwagę na problem. „Niepokoi nas (…), coraz częściej obserwowany w naszej codziennej pracy, fakt przejmowania roli instytucji publicznych przez organizacje społeczne, których celem statutowym jest ochrona zwierząt. Obserwujemy, często daleko wykraczające poza ramy prawne, sposoby działania tych organizacji, które próbują wprowadzać w przestrzeń działań publicznych własną narrację, bez poszanowania prawa zarówno zwierząt, jak i ludzi. Nie podważamy tego, że organizacje społeczne odgrywają ważną rolę w ujawnianiu nieprawidłowości i ochronie zwierząt. Sama idea tej działalności jest potrzebna i zasługuje na szacunek. Nie oznacza to jednak, że każda aktywność podejmowana pod hasłem ochrony zwierząt powinna być automatycznie uznawana za słuszną. Organizacje społeczne nie mogą zastępować państwa w ocenie sytuacji ani narzucać kierunku działań” – napisali weterynarze. Jaki był efekt wystosowania listu? Powiatowi weterynarze zostali… wezwani na dywanik do głównego lekarza weterynarii.

Krysza

Pokazuje to jedno – całe zjawisko ma olbrzymie krycie ze strony najwyższych władz. Politycy prawicy, w tym Prawa i Sprawiedliwości, występują o dokumenty dotyczące interwencji. Ich zdaniem nie jest bowiem możliwe, aby o sprawie nic nie wiedziały władze centralne. Najprawdopodobniej musiały wiedzieć Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska i środowisko skupione wokół CITES. Tak się składa, że wszystko to nominaci Ministerstwa Klimatu i bezpośrednie zaplecze polityków KO. Pierwszy urząd nadzorował zoo i wszczął nawet procedurę unieważnienia pozwolenia na trzymanie dzikich zwierząt. Drugi zajmuje się wprost wystawianiem dokumentów dotyczących przewozu obcych gatunków. Dodatkowo wszystkie organizacje społeczne to stali bywalcy salonów politycznych, którzy mają swoich patronów politycznych. Sama Mondo Cane jest bezpośrednio związana z posłem KO Pawłem Suskim. PiS domaga się zwołania nadzwyczajnej komisji, podczas której omówione zostaną szczegóły interwencji. Większość rządząca jednak zwleka. Temat – mimo że nośny w internecie – kompletnie przemilczają prorządowe media. Nic dziwnego. Zdaniem Marina Nowaczyka standardy zastosowane w jego przypadku przypominają bowiem totalitarne państwo bolszewickie, a nie stabilną demokrację. Dodatkowo upada wizerunek „szlachetnych” NGO. Raczej zaprezentowały się jako kunktatorzy, którzy najpierw zwietrzyli interes, a gdy zaczęły się problemy, uciekli, zostawiając zwierzęta, a także służby z żabą do przełknięcia. **GP**

GAZETA POLSKA



Krzysztof **Wołodźko**

UZASADNIENIE

W sierpniu 2025 roku WSA w Warszawie uznał, że zwolnienie Roberta Kostry było bezprawne, i je uchylił. Zdaniem sądu resort kultury nie podał konkretnych podstaw swojej decyzji i nie udokumentował właściwie swojego działania.

CZY ROBERT KOSTRO WRÓCI NA STANOWISKO DYREKTORA MHP?

TAK, TO BYŁA SAMOWOLKA. SĄD PO STRONIE TWÓRCY MUZEUM HISTORII POLSKI

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

Była minister kultury Hanna Wróblewska bezprawnie zwolniła Roberta Kostrę z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski. Naczelny Sąd Administracyjny utrzymał w mocy ubiegłoroczny wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. – To rozstrzygnięcie ma dla mnie ważny wymiar moralny i honorowy. Niesprawiedliwe i niezgodne z prawem odwołanie z funkcji było dla mnie trudnym doświadczeniem życiowym – psychicznym i materialnym – mówi „Gazecie Polskiej" twórca muzeum, które tak długo musiało walczyć o swoje miejsce na fizycznej i symbolicznej mapie naszej stolicy.

Robert Kostro stworzył Muzeum Historii Polski od podstaw. Zręby instytucji powstały w 2006 roku, MHP przez długie lata błąkało się po Warszawie – nie miało własnej siedziby. Po wielu perturbacjach, o których założyciel placówki rok temu opowiadał „Nowemu Państwu", imponujący gmach muzeum powstał w latach 2018–2023 na stoku Cytadeli Warszawskiej. W 2024 roku organizatorzy renomowanego konkursu Prix Versailles uznali warszawską budowlę za jedno z siedmiu najpiękniejszych muzeów świata. Wśród nagrodzonych obiektów były muzea: z Chin, Japonii, Indii, Holandii, Egiptu i Omanu. Dla Kostry wyróżnienie miało słodko-gorzki smak: kiedy je przyznawano, jeszcze kierował MHP. Ale w grudniu 2024 roku, w trakcie uroczystej gali w paryskiej siedzibie UNESCO, Nagrodę Wersalską odbierała jego zastępczyni Anna Piekarska. W międzyczasie rządzący bezprawnie pozbyli się zasłużonego muzealnika.

„Decyzja skrajnie niesprawiedliwa i niesłuszna"

We wrześniu 2024 roku ówczesna minister kultury Hanna Wróblewska (sama straciła stołek w lipcu 2025 roku) zdymisjonowała wieloletniego szefa MHP, choć jego kadencja kończyła się dopiero w 2027 roku. Sprawa wywołała spory szum także w środowiskach popierających rząd Donalda Tuska i skupionej wokół niego liberalno-postkomunistycznej koalicji. Przeciw były zarówno Rada Muzeum Historii Polski, jak i Zarząd Stowarzyszenia Przyjaciół Historii Polski. Kawaler Orderu Orła Białego Aleksander Hall na znak protestu opuścił radę i tak napisał w liście otwartym do szefowej resortu kultury: „Przerwanie przez Panią Minister kadencji dyrektora Muzeum uważam za decyzję skrajnie niesprawiedliwą i niesłuszną". Ale „demokratyczna i praworządna" władza chciała postawić na swoim. Kostro po 18 latach musiał – wbrew prawu, opinii środowiska, pomimo wszelkich kompetencji – rozstać się ze stanowiskiem. Na pożegnanie nakarmiono go gorzkim chlebem. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, uzasadniając odwołanie, zarzuciło mu naruszenie ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej w zakresie efektywnego gospodarowania mieniem. Choć odwołanie przebiegło w atmosferze skandalu i od początku budziło wątpliwości co do legalności, na stołek szefa prestiżowego muzeum, ze świetnym gmachem i słynnym adresem, połasił się Marcin Napiórkowski.

Dalej sprawy potoczyły się szybko. Robert Kostro w październiku 2024 roku zaskarżył decyzję minister Wróblewskiej do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. W sierpniu 2025 roku Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie rozstrzygnął spór na korzyść muzealnika. Sąd uznał, że jego zwolnienie było bezprawne, i je uchylił. Zdaniem WSA resort kultury nie podał konkretnych podstaw swojej decyzji i nie udokumentował właściwie swojego działania. W dokumencie, który posłużył urzędnikom MKiDN jako swoista „dupochronka i podkładka", nie wskazano, jakie przepisy prawa zostały naruszone przez Kostrę, na czym polegało naruszenie prawa ani czy doszło do niego w związku z zajmowanym stanowiskiem. Resort kultury, kierowany już przez Martę Cienkowską, złożył kasację do Naczelnego Sądu Administracyjnego. NSA nie tylko podtrzymał wyrok WSA, lecz także wprost wskazał, że zarzuty niegospodarności nie znajdują potwierdzenia w faktach: z przywołanych przez sąd dokumentów wynika, że gospodarka finansowa muzeum za 2023 rok została oceniona pozytywnie. „Organ nie wykazał, że dyrektor dopuścił się zaniedbań" – uznał NSA i zaznaczył, że ogólne zarzuty dotyczące nadzoru nad inwestycją nie są wystarczającą podstawą do odwołania dyrektora.

„Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?"

Resort kultury w całej tej sprawie zachowuje się zgodnie z logiką negatywnych bohaterów komedii Stanisława Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?". Rzecznik MKiDN Piotr Jędrzejowski stwierdził co prawda, że wyrok NSA w tej sprawie jest „niezaskarżalny, prawomocny i kończy postępowanie sądowoadministracyjne", ale jasno dał do zrozumienia, że resort nie zamierza przywrócić Kostry na stanowisko szefa MHP. Jak praworządność, to praworządność: na podstawie art. 45 par. 1 Kodeksu pracy bezprawnie odwołany dyrektor może żądać odszkodowania w wysokości wynagrodzenia za okres od dwóch tygodni do trzech miesięcy i nieniższej niż wynagrodzenie za okres wypowiedzenia.

„Gazeta Polska" zapytała Roberta Kostrę, jak ocenia decyzję sądów i postawę resortu kultury. – Rozstrzygnięcie WSA, uchylające decyzję minister Wróblewskiej o zwolnieniu mnie ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski, potwierdzone teraz przez NSA, ma dla mnie ważny wymiar moralny i honorowy. Niesprawiedliwe i niezgodne z prawem odwołanie z funkcji było trudnym doświadczeniem życiowym – psychicznym i materialnym. Fakt, że niezależny organ w imieniu Rzeczypospolitej przyznał mi rację, daje pewną satysfakcję – mówi Kostro. Muzealnik zdaje sobie jednak sprawę, że realne skutki takiego wyroku nie są oczywiste. – Eksperci uważają, że uchylenie

decyzji administracyjnej ministra powinno skutkować automatycznym przywróceniem na stanowisko. Na razie jednak odpowiednie urzędy bronią się przed taką interpretacją prawa, bo dla nich – poza problemem politycznym – powstaje kłopot praktyczny, co zrobić z dyrektorem powołanym na miejsce zwolnionego. W przypadkach, które znam, albo ostatecznie zawierano ugodę, albo wciąż toczą się procesy o opieszałość w wykonaniu postanowienia sądu.

Kostro odpiera zarzuty

W chwili, gdy minister Wróblewska podejmowała swoją bezprawną decyzję, zwolennicy tej politycznej samowolki chętnie podnosili argument, że Kostro miał się dopuścić rzekomej niegospodarności. W 2024 roku władza znacznie mocniej niż obecnie grała kartą „ukrócenia PiS-owskiego marnotrawstwa", której premier Donald Tusk używał choćby w nieudanej PR-owskiej kampanii przeciwko Centralnemu Portowi Komunikacyjnemu. Wobec wieloletniego szefa MHP zagrano tą samą kartą. W rozmowie z „GP" Kostro przypomina, że wedle orzeczenia sądu decyzja o odwołaniu dyrektora instytucji kultury musi być dokładnie i szczegółowo umotywowana.

Ministerstwo sformułowało wobec Kostry dwa zarzuty. Po pierwsze, że nie wykorzystał przyznanych mu środków inwestycyjnych, po drugie, że wszedł w spór z generalnym wykonawcą, czyli Budimexem, który zgłosił wielomilionowe roszczenia. Resort kultury nie wykazał jednak żadnych konkretnych zaniedbań i zignorował przedstawione wyjaśnienia. Tymczasem zmiany harmonogramu – a za tym i przesunięcie płatności – wynikały nie z zaniedbań, tylko częściowo z obiektywnych okoliczności, takich jak pandemia, a po części z winy firmy budowlanej. Twórca MHP wyjaśnia: – Uzasadnienie ministerstwa było absurdalne, bo prowadzić winno do wniosku, że osoba zarządzająca publiczną inwestycją ma wypłacać pieniądze generalnemu wykonawcy, nawet jeśli nie realizuje on właściwie harmonogramu prac czy przedstawia nieuzasadnione roszczenia. To był nonsens! Gdybym nie wszedł w spór z Budimexem i płacił za niewykonane prace, to właśnie za to odwołano by mnie i zapewne jeszcze skierowano by wniosek do prokuratury za naruszenie dyscypliny finansowej.

Upadek ładu prawnego

Dla Kostry sprawa ma szerszy kontekst: widoczne coraz bardziej rozmywanie się ładu prawnego w Rzeczypospolitej. Otóż kontrakty dla dyrektorów zostały wprowadzone do ustawy o działalności kulturalnej za czasów ministra Bogdana Zdrojewskiego (2007–2014), żeby – jak wyjaśnia muzealnik – stabilizować instytucje kultury i chronić przed ingerencjami politycznymi i arbitralnymi decyzjami organu założycielskiego (ministra, prezydenta miasta, marszałka). Widać więc jak na dłoni, że dzisiaj Koalicja Obywatelska łamie zasady, które sama ustanowiła w czasach, gdy nazywała się jeszcze Platformą Obywatelską. Wieloletni dyrektor Muzeum Historii Polski daleki jest od optymizmu: – Obawiam się, że narasta poważny kryzys państwa prawa na wielu poziomach. Masowe odwoływanie dyrektorów przez minister Wróblewską, którego byłem ofiarą, to jeden z poziomów tego zjawiska. Są i inne, jak ten najważniejszy, czyli spór o Trybunał Konstytucyjny. Na pewno konieczne są odpowiednie zmiany legislacyjne, bo ustawa o działalności kulturalnej nie odgrywa już swojej roli, jeśli chodzi o regulowanie zasad powoływania i odwoływania dyrektorów instytucji kultury – mówi muzealnik. Na tym w jego opinii nie koniec: – Niezależnie od zmian prawnych potrzebna jest jakaś forma odnowy obyczajów, a może też nowej umowy politycznej, na przykład poprzez nowelizację konstytucji, na którą zgodzą się najważniejsze siły polityczne. Jeśli prawo będzie służyć tylko temu, kto aktualnie sprawuje władzę, a nie dobru wspólnemu, to klęska Rzeczypospolitej stanie się nieuchronna – dodaje.

– Obawiam się, że narasta poważny kryzys państwa prawa na wielu poziomach. Masowe odwoływanie dyrektorów przez minister Wróblewską, którego byłem ofiarą, to jeden z poziomów tego zjawiska. Są i inne, jak ten najważniejszy, czyli spór o Trybunał Konstytucyjny – mówi „GP" Robert Kostro.

Dzisiaj twórca MHP kieruje stołecznym Archiwum Głównym Akt Dawnych, ale i na tym stanowisku nie daje mu spokoju dusza muzealnika. To inna praca, choć Kostro widzi pewne podobieństwa, gdyż obie instytucje, właściwymi sobie sposobami, dbają o zabezpieczanie, opracowywanie i udostępnianie zabytków dziedzictwa narodowego. Archiwa podlegają jednak większym rygorom jako część administracji państwowej. Kostro tłumaczy: – Nie tylko przechowują dokumenty przeszłości, wykorzystywane na użytek profesjonalnych badań historycznych, ale zawierają również dokumentację, która nadal funkcjonuje w obiegu prawnym, na przykład dokumentację przekazywaną przez urzędy, plany i projekty, księgi metrykalne różnych wyznań. AGAD posiada głównie zasób historyczny, czyli dokumenty państwa polskiego i organów zaborczych do 1918 roku, ale mamy też księgi metrykalne zabużańskie do lat 40. XX wieku. Na ich podstawie wciąż wystawiamy świadectwa urodzenia, małżeństwa czy zgonu. A zatem zarówno z powodów prawnych, jak i praktycznych archiwa mają mniejsze możliwości działalności popularyzacyjnej czy edukacyjnej. Muszę jednak przyznać, że jako były muzealnik chcę, żeby nasze archiwum szerzej otworzyło się na publiczność, i to już się dzieje.

Rok temu zapytałem Roberta Kostrę, czy chciałby jeszcze wrócić na stanowisko szefa Muzeum Historii Polski. Zaśmiał się i odpowiedział, że stara się nieprzesadnie zajmować gdybaniem: „Jeśli jednak kiedyś tego rodzaju propozycja się pojawi, na pewno poważnie ją rozważę". Wyrok WSA/NSA daje zielone światło do takich rozmyślań. I do rozliczenia ludzi, którzy notorycznie już mylą „walkę o praworządność" z coraz bardziej rozbestwioną samowolką. **GP**



OD „GIGACHADA" I „SEJMFLIXA" PO RATOWANIE STOŁKÓW

KRONIKA UPADKU HOŁOWNI

„IDEAŁ" SIĘGNĄŁ BRUKU

W pierwszych tygodniach od sformowania rządu skupiał na sobie niemal całą uwagę. Wchodził w potyczki słowne z politykami opozycji, zabierał głos, kiedy chciał, i odbierał go innym posłom. Na prowadzone przez niego obrady Sejmu przychodziła tłumnie do kina młodzież, co okraszono mianem „Sejmflixa". Szymon Hołownia dorobił się nawet przydomku „gigachada". Dziś walczy o polityczne przetrwanie i – jak wynika z taśm zakulisowych rozmów Polski 2050 – stołki dla partyjnych towarzyszy. Kończy polityczną karierę jak Janusz Palikot, Ryszard Petru i inni, którzy wmawiali, że są trzecią drogą, a żyrowali politykę Donalda Tuska i jego partii.



Grzegorz **Wszołek**

Szymon Hołownia to symbol nowej jakości w Sejmie RP. W dniu wyborów na stanowisko marszałka deklarował: »Mój cel i program jest prosty: chciałbym, aby rodzice, gdy w telewizji pokazują dzieciom Sejm, nie zasłaniali im oczu i nie zatykali im uszu. Przeciwnie – by mówili: zobaczcie, tak można ze sobą rozmawiać, nawet gdy się ze sobą nie zgadzamy«" – tak po wy-



TRZECIA ŚCIEMA

Trzecia Droga miała być nową jakością w polityce – nabrało się na to ponad 3 mln wyborców, a dziś to tylko paniczna walka o dociągnięcie do końca kadencji w celu utrzymania fruktów.

FOT. TOMASZ JEDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA

borach z jesieni 2023 roku nowego marszałka Sejmu zachwalał branżowy „Press".

Najpierw był „gigachad"

Zachwytom nie było końca. Media zestawiały jego otwartość i złośliwe, natychmiastowe riposty w starciach z oddającymi władzę politykami PiS, z raczej zamkniętą i stanowczą Elżbietą Witek. Teraz zapanował przy Wiejskiej spokój, a PiS nie ma nic do gadania – brzmiał podprogowy przekaz komentatorów upojonych zwycięstwem koalicji 13 grudnia. Hołownia faktycznie robił z Sejmu show – transmisje na żywo z jego obrad na kanale youtubowym parlamentu oglądało kilkadziesiąt tysięcy osób. Rekordy biło transmitowane posiedzenie z 12 grudnia 2023 roku, na którym swoje exposé wygłosili Mateusz Morawiecki, a następnie Donald Tusk. Ostatecznie ten drugi uzyskał większość potrzebną do rządzenia. Na ten dzień Michał Marszał, influencer internetowy związany przed laty z urbanowskim „Nie", zwołał młode pokolenie zetek do kin. Warszawska Kinoteka w Pałacu Kultury i Nauki pękała w szwach od oglądających z wypiekami na twarzach obrady prowadzone przez Hołownię. NaTemat z satysfakcją odnotowało blisko trzy lata temu: „Gdy na wielkim ekranie pojawił się nowy marszałek Szymon Hołownia, widownia zareagowała oklaskami. Natomiast wystąpienie Mateusza Morawieckiego wywołało wśród oglądających śmiech". „Sejmflix" jak szybko się zaczął, tak błyskawicznie się skończył. Obrady na początku obecnej kadencji miały widownię 200 tys. śledzących na żywo, exposé Tuska odtworzono ponad 4 mln razy, ale już w październiku 2024 roku oglądalność posiedzeń ledwo przekraczała łącznie 100 tys. wyświetleń. Obecnie – poza dziennikarzami i politykami – praktycznie nikogo to nie obchodzi.

W sieci nowego marszałka Sejmu po zmianie władzy określono mianem „gigachada". Skąd pochodzi określenie? Blisko dekadę temu taki przydomek w mediach społecznościowych nadano Ernestowi Khalimowowi, rosyjskiemu kulturyście, popularnemu w przestrzeni internetowej. Do dziś grafikę z jego wizerunkiem przerabia się i wykorzystuje do ukazania kogoś, kto błysnął ciekawą wypowiedzią lub wygrał pojedynek z oponentem w debacie.

Niechlubna rola w dojeżdżaniu opozycji

Zanim jeszcze doszło do poważnych rys na pancerzu koalicji, Hołownia był zaangażowanym wykonawcą „rozliczeń" spod znaku demokracji walczącej. Nie dostrzegał potrzeby powstrzymania od początku zapędów Donalda Tuska i Koalicji Obywatelskiej. To w głównej mierze dzięki Hołowni posłowie Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik trafili do więzienia – marszałek Sejmu wydał postanowienie o wygaszeniu mandatów parlamentarzystów, wskazując na prawomocny wyrok sądowy dwóch lat pozbawienia wolności w związku z działaniami CBA ws. afery gruntowej i Andrzeja Leppera. Dodajmy, że zapadł on w grudniu 2023 roku z pominięciem ułaskawienia prezydenta Andrzeja Dudy. Pierwszy raz w historii III RP władza sądownicza – we współpracy z wykonawczą i ustawodawczą – zbojkotowała prezydencką prerogatywę. Mało tego – Hołownia zignorował postanowienie uprawnionej do rozstrzygania o kwestiach mandatów poselskich Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, uznając za koalicją, że jest to instytucja obsadzona „neosędziami". Uchyliła ona postanowienie marszałka w sprawach Wąsika i Kamińskiego. W odpowiedzi zdesperowany Hołownia wysłał swojego emisariusza do „zaprzyjaźnionej" z władzą Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych SN Stanisława Zakroczymskiego, dyrektora generalnego gabinetu marszałka Sejmu. Był to ewidentny nacisk na władzę sądowniczą, który rodził podejrzenie, że chodzi o osiągnięcie odpowiedniej decyzji administracyjnej. Nikogo nie mogło dziwić, że nieuprawniona do rozstrzygania takich sporów Izba Pracy potwierdziła wygaszenie mandatów poselskich polityków PiS. A to, że ta sama kwestionowana Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN kilka tygodni wcześniej podejmowała uchwałę o ważności wyborów z 2023 roku, nie przeszkadzało Hołowni, Tuskowi i całej koalicji.

Był to zresztą dopiero początek fali ataków na opozycję w ramach zemsty za ostatnie osiem lat wyborczych upokorzeń. Hołownia żyrował również odebranie funduszy z budżetu państwa dla PiS – znowu wcielił się w rolę pomocnika Koalicji Obywatelskiej, mimo sporów w samej PKW, do której dołączyli członkowie wybrani w obecnej kadencji Sejmu, i zignorował uchwałę legalnej izby Sądu Najwyższego kwestionowanej przez rząd. Polska 2050 – choć zwracała uwagę na wakaty w Trybunale Konstytucyjnym – popierała jak leci kandydatów koalicji 13 grudnia, w tym Macieja Berka. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz podsumowała

strategię swojej partii w trakcie rozmowy z partyjnymi towarzyszami na nagraniu opublikowanym przez wPolsce24. „Sami wprowadziliśmy polityka do Trybunału Konstytucyjnego, co więcej – i to jest smutna prawda, ale prawda – niespełniającego formalnych kryteriów, i to jest fakt, i poparliśmy to" – komentowała. To dowód na to, jaką rolę odgrywała partia Hołowni oraz Pełczyńskiej-Nałęcz w systemie rządów Donalda Tuska.

Drastyczny spadek poparcia

Nic dziwnego, że Polska 2050 systematycznie zaczęła tracić poparcie zaledwie kilka miesięcy po ostatnich wyborach parlamentarnych. Z ponad 14 proc. uzyskanych w wyborach spadła zdecydowanie poniżej poziomu progu wyborczego i bez udziału na listach z większym partnerem – PSL lub KO – nikt nie ma szans na mandat w kolejnym rozdaniu. Kolejnym symptomem kryzysu Trzeciej Drogi było zaledwie 6,91 proc. głosów w wyborach do Parlamentu Europejskiego w czerwcu 2024 roku. Przy tym partii Hołowni nie udało się załatwić obiecanych reform – ani obniżenia składki zdrowotnej proponowanej przez Ryszarda Petru, ani ustawowego odpolitycznienia spółek, które obsiedli działacze... Polski 2050, co potwierdził były marszałek Sejmu na nagraniach z narady partyjnej. Zakaz smartfonów w szkołach utknął w toku procedur, a projekt powrotu do dwóch niedziel handlowych spotkał się ze sprzeciwem Lewicy. Formacji Hołowni nie udało się też wdrożyć – na całe szczęście – tzw. ustawy incydentalnej, która zakładała odsunięcie od decydowania o ważności wyborów prezydenckich Izby Kontroli Nadzwyczajnej. Jej miejsce miało zająć 15 najstarszych stażem sędziów SN. Machinacje przy procesie wyborczym zakończyły się wetem Andrzeja Dudy. Nawet na tym polu Trzecia Droga poniosła porażkę.

Wraz z kolejnymi tygodniami kampanii prezydenckiej Hołownia zaczął jednak wyrywać się ze szponów demokracji walczącej. Pierwszym widocznym tego zwiastunem był udział przed pierwszą turą w debacie prezydenckiej TV Republika w Końskich, którą zbojkotował na własną zgubę Rafał Trzaskowski. Ówczesny marszałek Sejmu postanowił też wybrać się na debatę do TVP wraz z opozycyjnymi kandydatami. Krytykował media publiczne w likwidacji za to, że sprzyjały w całej rozciągłości Trzaskowskiemu, pełniąc funkcję nieformalnego sztabu Koalicji Obywatelskiej. W wyborach prezydenckich kandydat Trzeciej Drogi uzyskał słabiutki rezultat 4,9 proc., co było gwoździem do trumny tego projektu. Wkrótce Hołownia zrezygnował też z funkcji przewodniczącego Polski 2050. W międzyczasie – co należy odnotować – zapisał się pozytywnie dla losów polskiej demokracji, nie ulegając naciskom koalicjantów, w tym Romana Giertycha, i zwołując Zgromadzenie Narodowe, by umożliwić zaprzysiężenie na urząd prezydenta Karolowi Nawrockiemu. Od tego momentu Hołownia stał się obiektem zmasowanych ataków ze strony „silnych razem" i innych fundamentalistów w mediach, a także w sieci. Wytykano mu, że dogaduje się z Jarosławem Kaczyńskim, uczestnicząc w rozmowach przed zaprzysiężeniem głowy państwa w mieszkaniu europosła Adama Bielana. W dodatku ciągle unosi się nad nim widmo potencjalnych zarzutów w związku ze studiami w Collegium Humanum. Hołownia nie ukrywał, że śledztwo ma charakter polityczny i jest formą brutalnego nacisku na koalicjanta. „Obrzucajcie g***, zawsze się coś przyczepi" – mówił zdenerwowany na konferencji prasowej, oskarżając prokuraturę o wycieki do prasy.

Na początku Hołownia był zaangażowanym wykonawcą „rozliczeń" spod znaku demokracji walczącej. Nie dostrzegał potrzeby powstrzymania od początku zapędów Donalda Tuska i Koalicji Obywatelskiej.

„Następnego dnia wszyscy nasi ludzie wylecą"

Trzy lata po wyborach Hołownia znalazł się na rozstaju politycznych dróg. Chciałby zostać ambasadorem RP w Watykanie, czego kilka miesięcy temu nie wykluczał Karol Nawrocki. Z drugiej strony kompletnie posypała mu się partia po nagłej rezygnacji ze stanowiska w rządzie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. Kryzys w rządzie zagrażałby faktycznie Donaldowi Tuskowi, gdyby nie postawa Hołowni. Były marszałek co prawda stwierdził, że jeśli Polska 2050 nie otrzyma funkcji ministerialnej po dymisji Pełczyńskiej-Nałęcz, to możliwe jest formalne wyjście z rządu tego ugrupowania, ale... z utrzymaniem poparcia dla koalicji i forsowanych ustaw. Chwile szczerości mogliśmy usłyszeć na taśmach z wewnętrznej narady Polski 2050 opublikowanych przez stację wPolsce24, na których Hołownia wprost wypalił: „Czy uda się utrzymać ministerstwo Kaśki? Nie mam zielonego pojęcia. Czy uważacie, że jeżeli się nie uda, w ten czy inny sposób jesteśmy gotowi, żeby od jutra wyjść z koalicji? Nie sądzę, że jesteśmy gotowi. Takie jest moje zdanie" – mówił. Ocenił także wariant potencjalnego buntu Polski 2050, który niechybnie skończyłby się końcem koalicji i przedterminowymi wyborami, ponieważ partia dysponuje 15 głosami w Sejmie. Bez tej grupy posłów zabrakłoby większości Tuskowi. „(...) Stawiamy sprawę na ostrzu noża, podnosimy głowę, wstajemy z kolan, nie jesteśmy podnóżkiem Tuska, ale następnego dnia wszyscy nasi ludzie wylatują z wiceministerstw, z ministerstw, z wojewodów" – mówił.

Nie ma lepszej wizytówki dla zilustrowania upadku Trzeciej Drogi i formacji Hołowni. Miała być nowa jakość w polityce, na którą nabrało się ponad 3 mln wyborców, a jest paniczna walka o dociągnięcie do końca kadencji w celu utrzymania fruktów. Cała zabawa skończy się prawdopodobnie całkowitą anihilacją na listach Koalicji Obywatelskiej. **GP**



Dawid
Wildstein

UŚMIECHNIĘTE PIEKŁO KOBIET, czyli jak Tusk gra aborcją

Obecny rząd jest najbardziej antykobiecym rządem ostatnich kilkunastu lat. Likwidowane oddziały położnicze, kompletny rozpad ochrony zdrowia i utrudniony, a często nawet zablokowany dostęp kobiet do odpowiedniej infrastruktury medycznej. W tym kontekście trudno sobie nie zadać pytania, gdzie są te celebrytki i te „autorytety", które tak głośno mówiły o feminizmie sześć lat temu. Jak się okazuje, usiłują, dla Tuska, ponownie rozkręcić strajk kobiet.



FOT. MARCIN PEGAZ/GAZETA POLSKA

Polska w ciągu trzech lat rządów Tuska zamieniła się w krainę absurdu i kłamstwa. Rządzi nami w teorii partia „prozachodnia", która odsunęła nas od zachodnich standardów tak daleko, jak tylko się da. Ugrupowanie „antyrosyjskie", którego twarzami są Giertych, jeden z najbardziej konsekwentnie prorosyjskich polityków w dziejach III RP, i umoczony w putinowskie biznesy Czarzasty. Władza krzyczy o praworządności, łamiąc ją de facto codziennie. Dokładnie tak samo jest w wypadku tzw. praw kobiet.

Najbardziej antykobiecy rząd

Tusk nagle przypomniał sobie, po trzech latach rządów, o „prawach kobiet" i usiłuje ponownie zagrać kartą aborcji. Patrząc na tę sytuację pod kątem czystego cynizmu politycznego, działa w sposób dla siebie opłacalny. Uśmiechnięty premier wie, do

jakiego stanu doprowadził państwo, wie też, jak ciężka pod względem choćby rachunków będzie ta zima. Ma więc świadomość, że tylko ciągłe podkręcanie wrzasku, zamienianie debaty publicznej w ściek, doprowadzanie swojego elektoratu do histerii mogą go uratować przed najprostszym i najbardziej dla niego morderczym pytaniem: co zrobiłeś przez te trzy lata swoich rządów? Zwłaszcza że mogą go o to – z uzasadnioną wściekłością – zapytać kobiety.

Sprawa jest bowiem, jak mawiał pewien „autorytet" Koalicji Obywatelskiej, arcyboleśnie prosta. Obecny rząd jest najbardziej antykobiecym rządem ostatnich kilkunastu lat. Likwidowane oddziały położnicze, kompletny rozpad ochrony zdrowia i utrudniony, a często nawet zablokowany dostęp kobiet do odpowiedniej infrastruktury medycznej. Gwarantowane kobietom prawa, jak na przykład znieczulenie podczas porodu, nie są realizowane. W tym kontekście trudno nie zadać sobie pytania, gdzie są te celebrytki i te „autorytety", które tak głośno wołały o feminizmie sześć lat temu. Dlaczego nawet słowa nie usłyszeliśmy w tej sprawie od osób, takich jak Ostaszewska, Kayah, Gretkowska, Szczepkowska, i setek im podobnych klonów? Że już nie wspomnę o ich milczeniu, gdy Giertych, Bodnar i ich banda urządzili prawdziwe piekło kilku kobietom – wszystko wskazuje na to, że absolutnie niewinnym – czyli urzędniczkom Ministerstwa Sprawiedliwości i Annie Wójcik z Kancelarii Premiera.

Jedno jest pewne. Błędy i zaniechania tego rządu to realny koszmar dla milionów Polek – z tym że szczególnie dotyka to tych starszych, biedniejszych i z mniejszych miejscowości. A te nie są przedmiotem jakiegokolwiek zainteresowania naszych celebrytek. Także w tym kontekście uderza hipokryzja PSL-u, który wsparł w kwestii aborcji KO. Partia ta nie tylko złamała swoje deklaracje ideowe, jeśli chodzi o wiarę czy konserwatyzm. Dodatkowo jest częścią tej władzy, która niszczy życie tym kobietom, które Polskie Stronnictwo Ludowe miało chronić – czyli mieszkakom wsi i mniejszych miejscowości.

Błędy i zaniechania tego rządu to realny koszmar dla milionów Polek – z tym że szczególnie dotyka to tych starszych, biedniejszych i z mniejszych miejscowości. A te nie są przedmiotem jakiegokolwiek zainteresowania naszych celebrytek.

Warto o tej obrzydliwej hipokryzji tych „celebrytek" i pseudoautorytetów mówić jak najgłośniej, możemy być bowiem pewni, że obecna władza będzie starała się ich ponownie użyć do swojej propagandy. Patrząc bowiem na operację propagandową, jaką w kwestii aborcji i strajku kobiet 2.0 prowadzą Koalicja Obywatelska i jej media, widzimy, że jest to – skądinąd typowa dla tej partii i jej przekaźników – forma „powrotu do przeszłości". Muszą więc uaktywnić tych samych aktorów, którzy grali swoje role podczas protestów sprzed sześciu lat.

Powrót do przeszłości

Rządzący usiłują odtworzyć więc te same zjawiska polityczne, licząc na to, że pobudzą one analogiczne emocje społeczne. Jest to w sposób oczywisty destrukcyjne dla debaty publicznej, jednak jest w tym pewien sens – chodzi o to, by ponownie uaktywnić odpowiednie skojarzenia, przypomnieć o tym, jak „potworne" były rządy Prawa i Sprawiedliwości. Jest to rodzaj pułapki, którą na Nawrockiego zastawiła obecna ekipa rządząca. Prezydent ma dwie możliwości – albo zawetuje projekt tej ustawy, albo odeśle ją do Trybunału Konstytucyjnego. Bardziej prawdopodobna jest ta druga możliwość, co natychmiast pozwoli obecnej władzy i jej tubom propagandowym oznajmić, że teraz, z winy Nawrockiego i Święczkowskiego, wróciliśmy do października 2020 roku. Ogłosić, że Polki czeka dokładnie ta sama walka. Trudno oczywiście wierzyć, że wyzwoli to podobne emocje społeczne, niemniej na pewno przyniesie to Koalicji Obywatelskiej profity. Dojdzie do pogłębienia polaryzacji społecznej, gigantycznej awantury medialnej, uaktywni się ponownie cała armia celebrytów i celebrytek pseudofeministek. Nastąpi też mobilizacja elektoratu o przekonaniach lewicowych, który w ostatnim czasie odpłynął od KO. Cały ten polityczny spektakl będzie pełen odwołań do „wspaniałego, wielkiego, wolnościowego zrywu Polek przeciwko dyktaturze prawicy i Kościoła". Z naszej perspektywy ta narracja może wydawać się groteskowa, niemniej pamiętajmy, że dla naprawdę

sporej grupy Polaków strajk kobiet był, niestety, wydarzeniem formacyjnym.

Kwestia aborcji będzie więc też elementem ataku i dalszego niszczenia pozycji Trybunału Konstytucyjnego. Nie można sobie zresztą wyobrazić legalizacji prawa w tym zakresie bez uderzenia w TK. Instytucja ta bowiem pełni funkcję systemu immunologicznego, chroniącego polskie prawo. Bez niego nasze prawodawstwo jest właściwie bezbronne wobec obcych elementów. Prawo dopuszczające aborcję, niezależnie nawet od naszych przekonań moralnych w tej kwestii, jest idealnym przykładem regulacji z innego ekosystemu kulturowego i prawno-politycznego. Jest próbą ekspansji obcego prawodawstwa na nasze terytorium. Jest to szczególnie istotne, gdy analizujemy przyczyny, dla których rozmaite struktury Unii Europejskiej tak naciskają na prawo do aborcji. Tu naprawdę nie chodzi o kwestie etyczne ani o ideologiczne szaleństwo. Prawo dotyczące aborcji jest dla unijnych instytucji idealnym narzędziem ograniczania suwerenności państw członkowskich, a więc i kolonizowania ich. Co więcej, przy ewentualnym wprowadzeniu aborcji natychmiast wyrośnie cała infrastruktura medyczno-biznesowa wokół tego prawa, której znaczna część będzie własnością zagranicznego kapitału.

Chodzi tylko o biznes

Jak widzimy na przykładzie państw zachodnich, aborcja to także gigantyczny biznes, który obraca miliardami dolarów rocznie, wliczając w to środki wczesnoaborcyjne. Jeśli pozwoli na to prawo, pojawi się on także u nas i, co oczywiste, będzie dążyć do maksymalizacji zysków. Obrośnie więc najróżniejszymi dodatkowymi firmami pośredniczącymi, reklamującymi etc. Dodatkowo w takim systemie jak nasz, gdzie „wolny rynek" jest wręcz skażony gigantyczną liczbą nietransparentnych układów na linii instytucje państwowe–sektor prywatny, natychmiast pojawi się szara strefa podejrzanych relacji między prywatną a publiczną opieką zdrowotną. Oznacza to jedno – tym jednym prostym rozwiązaniem Koalicja Obywatelska zbuduje gigantyczną strukturę społeczną, generującą potężne zyski, w którą zaangażowane zostaną tysiące pracowników i najróżniejszych podmiotów biznesowych. Jeśli dodamy do tego rodziny tych ludzi, a także kolejne firmy, które same nie będą częścią tego systemu, ale będą z nim współpracować, mamy naprawdę do czynienia z potężną „armią". W ten sposób KO stworzy pokaźny elektorat, którego dobrobyt będzie związany z regulacjami prawnymi, których gwarantem będzie władza tej partii i jej lewicowych przystawek.

Możemy być też pewni, że gdy tylko pojawi się taka możliwość, w polski biznes aborcyjny wejdą koncerny medyczne z zagranicy, które dzięki wielkości swojego kapitału i doświadczeniu de facto stworzą ten nowy rynek – znów optymalna sytuacja dla polityka takiego jak Tusk. W końcu nie zapominajmy o Unii Europejskiej. Już teraz Bruksela zgodziła się, żeby unijne pieniądze szły na opłacanie aborcji dokonywanych przez Polki w innych państwach UE. Spokojnie możemy założyć, że jeśli dojdzie do legalizacji przerywania ciąży w Polsce, Bruksela przeznaczy część swoich zasobów, oczywiście ubierając to w odpowiednio ideowe hasła, na szybkie i skuteczne implementowanie tego prawa w naszym kraju. Wokół tego wyrośnie cała machina biurokratyczna z miejscami pracy, zleceniami dla pseudo-NGO etc.

Skupiam się tak mocno na aspekcie biznesowym, biurokratycznym i instytucjonalnym, żeby pokazać, iż na przysłowiowy koniec dnia chodzi także o stworzenie opłacalnego dla Brukseli oraz Koalicji Obywatelskiej biznesu i nowych zależności instytucjonalnych. Dosadnie rzecz ujmując – wygenerowanie jak największej liczby nowych stołków i pensji dla swoich. Zapewne to też był jeden z głównych powodów, dla którego PSL zagłosował za tą ustawą. W końcu wszyscy wiedzą, jak ważna jest dla członków tej partii zawartość koperty. **GP**

PUBLICYSTYKA

REKLAMA

KLUBY GAZETY POLSKIEJ
BUDUJEMY
SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

ZESKANUJ KOD

WESPRZYJ JEDNYM KLIKNIĘCIEM

TWOJE WSPARCIE MA OGROMNE ZNACZENIE | Dziękujemy za Wasze wsparcie!

DAROWIZNA - Polska
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

DAROWIZNA - zagranica
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

WESPRZYJ TERAZ
WWW WSPARCIE.KLUBYGP.PL

Fundacja Klubów „Gazety Polskiej", ul. Bracka 15, 31-005 Kraków



Wojciech
Mucha

EFEKT DOMINA CZY WYJĄTKI OD REGUŁ

Czy „efekt Gibały" zmieni polski samorząd?



„Referendalna fala idzie przez Polskę". Takie komentarze mnożą się po kolejnym odwołaniu włodarza miasta. I tak po Krakowie, w którym Łukasz Gibała wprowadza już nowe porządki, czyszcząc magistrat z układu tzw. majchrowszczyzny, padła Częstochowa, gdzie oskarżany o korupcję prezydent został odwołany wraz z radą miasta. Czy można już jednak mówić o „trendzie", który mógłby skruszyć beton nawet największych bastionów koalicji 13 grudnia?

PUBLICYSTYKA

Zacznijmy od najnowszych wieści. Oto w Częstochowie referendum za odwołaniem prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka i rady tego miasta okazało się wiążące. Jest to spora niespodzianka, bo do samego końca nie było wiadomo, czy organizatorom uda się przekonać do udziału w głosowaniu odpowiednią liczbę mieszkańców. Finalnie przeważyła jednak złość na rządzącego od aż 16 lat prezydenta, a przede wszystkim fakt, że rządom tym towarzyszyły liczne afery. Prokuratura zarzuca odwołanemu prezydentowi przyjęcie co najmniej 40 tys. zł w zamian za zmiany w budżecie miasta, które miały stanowić korzyść dla jednego z przedsiębiorców. Matyjaszczyk jest też oskarżany o przyjęcie łapówek na kwotę niemniejszą niż 129 tys. zł. On sam od ośmiu miesięcy nie mógł pełnić funkcji ze względu na ciążące na nim zarzuty korupcyjne. Co więcej – nie mógł nawet pojawiać się w urzędzie, a jego obowiązki sprawował pierwszy zastępca.

Szambo w Częstochowie wybuchło

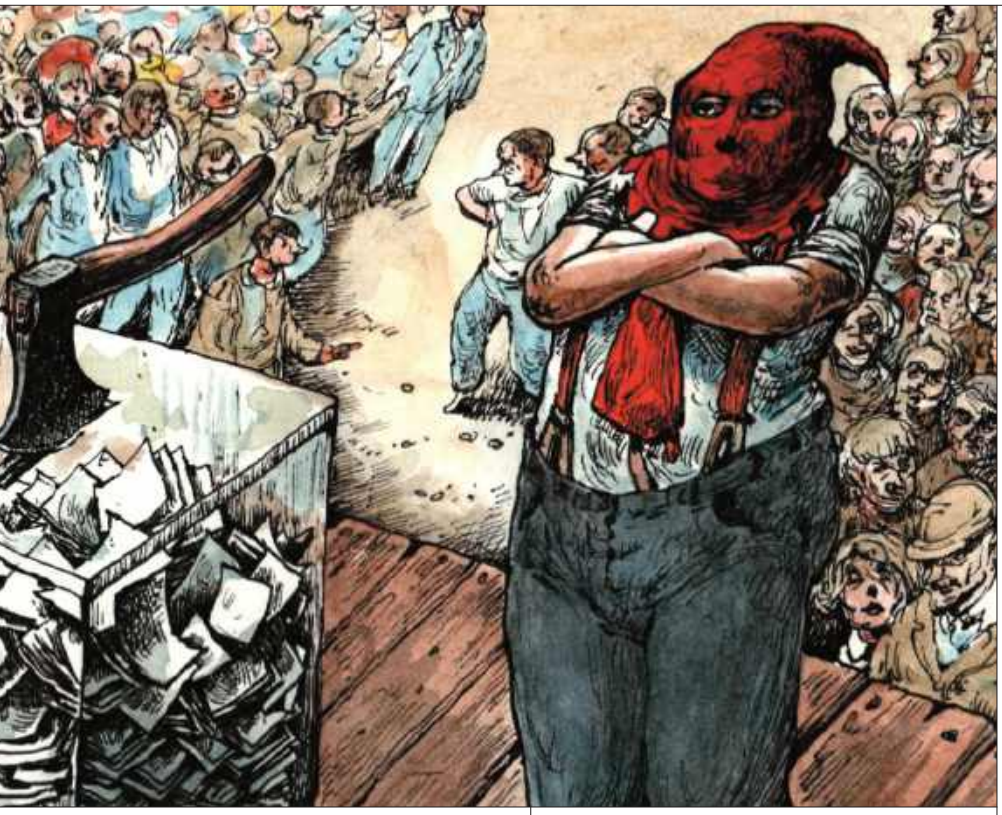
To właśnie ta wielowątkowa afera była paliwem napędzającym akcję referendalną. Trzeba przy tym powiedzieć, że wywodzącego się z SLD, a obecnie z Nowej Lewicy prezydenta nikt szczególnie nie bronił. Już po ogłoszeniu wyników referendum kreskę postawił na nim Donald Tusk. Premier wyraził wręcz „satysfakcję, że mieszkańcy Częstochowy mieli podobną opinię jak prokuratura i CBA". Również lokalni działacze Lewicy nie gryźli się w język. „Kiedy wybuchały kolejne szamba z aferami, czułam, jak to, co robię, idzie jak krew w piach" – napisała na Facebooku Małgorzata Iżyńska, była już wiceprzewodnicząca rady miasta (Nowa Lewica).

Cóż, mieszkańcy zapewne czuli się podobnie, bo finalnie w referendum wzięły udział 51 863 osoby (do odwołania prezydenta potrzebne było 46 625 głosów, a do odwołania rady – 48 754).

Ale zapewne nie byłoby tego wyniku, gdyby nie polityczne wydarzenie tego roku – referendum w Krakowie, o którym na łamach „Gazety Polskiej" pisaliśmy wiele, podobnie jak o przyspieszonych wyborach prezydenckich, w których zdecydowanie wygrał Łukasz Gibała. Zwycięstwo w mieście „zabetonowanym" niemniej niż Częstochowa, i to w warunkach, w których do obrony układu zaangażowano środki nieproporcjonalne, w tym samego Tuska.

Tak, to to krakowskie zwycięstwo sprawiło, że do Częstochowy zawiał „wiatr zmiany", czego nie ukrywali nawet organizatorzy referendum. „W Częstochowie zadziałał efekt Łukasza Gibały" – ocenił wyniki referendum pełnomocnik inicjatywy Marcin Nocoń, cytowany przez „Rzeczpospolitą". W Krakowie i owszem, dzieje się. Sam Gibała od początku swych rządów dość radykalnie wprowadza nowe porządki, likwidując stanowiska, redukując rozbuchaną administrację (zlikwidował m.in. wszystkie wprowadzone przez Aleksandra Miszalskiego departamenty) oraz zwalniając szefów miejskich spółek.

Wizerunkowymi plusami nowego prezydenta są zapewne także decyzja o maksymalnym obniżeniu sobie uposażenia, a także szybka reakcja na wieść o tym, że Obwodowa Rada Lwowa postanowiła ogłosić 2027 „rokiem UPA i Romana Szuchewycza". Gibała pierwszego dnia po zaprzysiężeniu zaapelował do Rady Miasta Krakowa o zawieszenie partnerstwa ze Lwowem z tego powodu. I choć wiadomo, że tego typu ruchy to, poza „dowodzeniem sprawczości", także element kreowania



RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

wizerunku, jest to wyraźna zmiana względem poprzednika, którego pierwszymi decyzjami były… udział w Marszu Równości oraz wywieszenie flagi LGBT z okna swojego gabinetu.

Gliwice przed szansą na zmianę

Czy jednak „wiatr z Krakowa" pójdzie dalej? Tu już robi się ciekawie, bo dmie on również w stronę Gliwic, gdzie niemal pewne jest kolejne referendum. I o ile skompromitowanego prezydenta Matyjaszczyka nikt nie bronił, a jego odwołanie przyjęto jako oczywistość nawet w koalicji 13 grudnia, to z Gliwicami jest inaczej. Dlaczego?

Otóż dlatego, że prezydentem tego miasta jest Katarzyna Kuczyńska-Budka, prywatnie żona… europosła Borysa Budki. Inicjatorzy referendum zwracają uwagę na marną jakość rządów pani Kuczyńskiej-Budki, towarzyszące im patologie (chodzi m.in. o rezygnację z budowy nowego szpitala czy przeskalowane wydatki na odbudowę teatru) oraz chaos w miejskich spółkach. Nie bez znaczenia jest też fakt, że w 2024 roku Kuczyńska-Budka wygrała ze swoim przeciwnikiem, Mariuszem Śpiewokiem (bezpartyjny), różnicą zaledwie 540 głosów, co dowodzi polaryzacji w tym śląskim mieście.

Tym, co jest w pewnym sensie nawet zabawne (gdyby nie trudna sytuacja Gliwiczan), jest fakt, że przeciwko idei referendum, a co za tym idzie – przeciwko odwołaniu swojej żony – publicznie wystąpił sam Borys Budka. Europoseł KO w rozmowie z serwisem Wp.pl powiedział, że nie ma ku temu żadnych podstaw. Budka stwierdził ponadto, że wszystkie referenda to skoordynowana akcja prawicy, że wydano na nie wiele pieniędzy, a ludzi chcących odwołania jego żony określił mianem „odsuniętego od władzy, rządzącego Gliwicami przez 30 lat układu". Nie wspomniał tylko, że od 1993 aż do 2019 roku prezydentem tego miasta był związany z Koalicją Obywatelską Zygmunt Frankiewicz. Budka zaprosił za to wszystkich chętnych do Gliwic, by zobaczyli, jak się rozwijają, a zadowolonych z rządów mieszkańców poprosił o pozostanie w domu w dniu referendum. „Referendum nie jest świętem demokracji. Świętem demokracji są wybory" – powiedział.

Czy mieszkańcy go posłuchają? Nie wiadomo, wiadomo za to, że referendum prawdopodobnie się odbędzie, bo zebrano ponad 18 tys. podpisów – to dużo więcej niż wymagane do rozpisania 12,7 tys.

Ale mało widoczne z Warszawy Gliwice nie są zapewne dla rządu Tuska tak dużym problemem jak to, co potencjalnie może wydarzyć się w Poznaniu. Tak, w Poznaniu, mieście, o którym w kontekście referendum i odwołania rządzącego tam od 2014 roku Jacka Jaśkowiaka raczej nie pomyślelibyśmy w pierwszej kolejności. Nic dziwnego, preferencje wyborcze mieszkańców są tu oczywiste (44,50 proc. głosów oddanych na Koalicję Obywatelską w 2023 roku, aż 72,73 proc. na Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich 2025 roku).

Coś zaczyna się w Poznaniu. Czy na dobre?

A jednak. Jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez Ogólnopolską Grupę Badawczą, aż 68 proc. mieszkańców Poznania uważa, że należy zmienić gospodarza miasta. Co więcej – ponad 75 proc. twierdzi, że w hipotetycznym referendum należałoby Jaśkowiaka odwołać. Interesujący jest fakt, że wspomniany sondaż OGB przeprowadzono nie dla mediów, a na zlecenie byłego właściciela klubu Warta Poznań Bartłomieja Farjaszewskiego. Ten przedsiębiorca jest zagorzałym zwolennikiem referendum i zadeklarował, że jest w stanie wyłożyć milion złotych na jego organizację.

I tak znów na politycznej scenie pojawia się „ktoś z zewnątrz". Czy to więc analogiczny model działania do Krakowa, gdzie stowarzyszenie Łukasza Gibały „Kraków dla Mieszkańców" wsparło inicjatywę referendalną świadczeniami i pieniędzmi na kwotę około 2 mln zł? Cóż, widać pewne podobieństwa.

Widać też jednak różnicę – o ile bowiem Gibała poza byciem majętnym przedsiębiorcą zaangażowanym w referendum był również przez lata najpierw posłem, a potem stanowiącym realną opozycję lokalnym politykiem i finalnie za czwartym razem w ubiegłym miesiącu wygrał batalię o fotel prezydenta Krakowa, to o politycznej działalności Farjaszewskiego nie wiadomo za wiele.

Może poza tym, że krytykował on Jaśkowiaka za niezbyt duże zaangażowanie miasta w jego były klub sportowy (m.in. modernizację stadionu). I choć jego zaangażowanie w referendum wywołało oczywiście falę spekulacji co do tego, czy biznesmen nie zechce sam wystartować, gdyby po ewentualnym referendum doszło do przedterminowych wyborów, on sam nie zajął stanowiska w tej sprawie. Zapewne w bastionie KO byłoby mu ciężko. Nawet jeśli sam Jaśkowiak nie cieszy się, co pokazuje sondaż, szczególną popularnością, może to wynikać ze zmęczenia tą samą postacią, a nie ze zmiany preferencji politycznych mieszkańców.

Referendum powinno być finałem, nie startem

Tak, w tym miejscu należy zwrócić uwagę na to, że udana organizacja referendum, a nawet odwołanie niechcianego włodarza nie muszą przecież od razu oznaczać realnej zmiany. Dość powiedzieć, że w Częstochowie największe szanse na zwycięstwo w przyspieszonych wyborach może mieć kandydat związany z koalicją 13 grudnia, w tym przypadku Koalicją Obywatelską. Jeśli chodzi o Gliwice, sprawa nie jest tak oczywista, choć można spodziewać się chęci „powrotu" kogoś ze środowiska rządzącego przez lata Zygmunta Frankiewicza. W Poznaniu? Cóż, mogłoby okazać się, że Jaśkowiaka wcale nie zastąpi nieznany z działalności politycznej biznesmen, a ktoś z drugiego szeregu Koalicji Obywatelskiej.

To dlatego każdy, kto chce wyruszać na wojnę z lokalnymi układami za pomocą tego niewątpliwie posiadającego potężne rażenie narzędzia, jakim jest referendum, musi wcześniej udowodnić mieszkańcom „logiczną alternatywę" dla niedobrych rządów.

W przeciwnym razie akcja referendalna albo nie ma szans na powodzenie (jak miało to miejsce w Warszawie, gdzie zebrani na fali afery w Szpitalu Południowym inicjatorzy Stołecznej Operacji Referendalnej nie zdołali nawet zebrać podpisów), albo nawet w przypadku odwołania tego czy innego włodarza może prędko się okazać, że niewiele trzeba, by wszystko zostało po staremu, lub jeszcze gorzej – siekierkę zastąpił nowy teflonowy kijek.

Tymczasem pamiętajmy, że udane lokalne referenda odwoławcze to wciąż wyjątek, a nie reguła. W ciągu ostatnich 20 lat na około 320 głosowań skuteczne były zaledwie 43, a więc 13 proc. Pozostałe upadły głównie ze względu na niską frekwencję. Należy też pamiętać, że każda porażka takiej akcji jedynie wzmacnia lokalny układ. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

HOŁOWNIA TO SYMBOL



Dawid **Wildstein**

Z czysto politycznego punktu widzenia ujawnione taśmy, na których Szymon Hołownia „przekonuje" swoich współpracowników, że służalczość wobec Tuska jest jedynym sposobem, w jaki mogą oni zachować swoje stołki, nie mają żadnego znaczenia. Nie mówią nam one nic nowego o tym środowisku. Już wcześniej przecież wiedzieliśmy, że zostało ono w sposób pełny zmarginalizowane, pozbawione jakiejkolwiek niezależności. Że mamy do czynienia z lokajami uśmiechniętego premiera, którzy są gotowi zrobić dla niego wszystko – nie z miłości czy szacunku, lecz ze strachu oraz z chęci pozostania przy korycie. Okazuje się, że jedyną osobą z jajami w tym ugrupowaniu była Pełczyńska-Nałęcz, a ją właśnie Hołownia wyrzucił. Niemniej usłyszeć na żywo, jak ten niegdysiejszy idol uśmiechniętej Polski, który miał wnieść „nową jakość" i „przyzwoitość" do polityki, wprost mówi o tym, żeby olać zasady, wartości, standardy, bo boi się Tuska i chce się utrzymać przy tzw. korycie, jest wstrząsające. Dlatego warto z Hołowni – który jeśli chodzi o politykę, jest już nikim i tym nikim pozostanie – zrobić symbol. Ktoś oczywiście może powiedzieć, że takich jak Hołownia w polskiej polityce było wielu. Przeżutych i wyplutych przez Tuska i jemu podobnych. To prawda. Ale primo, Hołownia jest celebrytą, a nie tylko politykiem. Secundo, aż tak spektakularnego upadku – z takiego diapazonu pretensji, wielkich słów, zapewnień o etyce w polityce – chyba nie było. I właśnie dlatego Hołownia naprawdę ma szansę przejść do polskiej historii. Jako symbol tego, czym kończy się paktowanie z polityczną mafią pokroju Tuska i jego ludzi. Jaka prawda kryje się za sloganami o „nowej jakości" czy odświeżeniu polskiej polityki, jeśli zabierają się do tego fircyki z TVN-u. Ale jest jeszcze coś dużo ważniejszego. Otóż Hołownia pozował na katolika. Na wierzącego ideowca... No cóż, widzimy, jak wyszło to w praktyce. Możemy być też pewni, że prędzej czy później uśmiechnięta Polska postara się o kolejny tego typu projekt, kolejną „trzecią drogę". Warto wtedy od razu wyciągnąć casus Hołowni, żeby pokazać, czym się to tak naprawdę kończy. **GP**

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

NIE CHCĄ UPA I SZUCHEWYCZA



Tadeusz **Płużański**

Kolejne polskie samorządy wycofują się ze współpracy z miastem Lwów ze względu na skandaliczną uchwałę Lwowskiej Rady Obwodowej, aby 2027 uczynić rokiem m.in. UPA i Romana Szuchewycza. UPA, czyli Ukraińska Powstańcza Armia, to jeden z głównych wykonawców ludobójstwa wołyńskiego dokonanego od lutego 1943 do lutego 1944 roku na niewinnej polskiej ludności cywilnej – obywatelach II Rzeczypospolitej – w byłym województwie wołyńskim. Zamordowano około 60 tys. Polaków. Analogicznego ludobójstwa oddziały UPA dopuściły się w pierwszej połowie 1944 roku w Małopolsce Wschodniej (Galicji Wschodniej), województwach: lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim. Tu ofiar było około 70 tys. W końcu w województwach lubelskim i poleskim zginęło około 8 tys. osób. Łączna liczba Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów w latach 1939–1947 to około 140 tys. Jednym z głównych morderców był Roman Szuchewycz – generał i naczelny dowódca UPA, pseudonimy: Taras Czuprynka, Tur, Dzwin, Szuch. Tak jak Stepan Bandera był ideologiem ludobójstwa na Polakach, Szuchewycz należał do kierowniczego grona wykonawców. W II RP Szuchewycz działał w terrorystycznej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, a także przewodniczył referatowi bojowemu Krajowej Egzekutywy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Po udanym zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego został aresztowany i osadzony na pół roku w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej. W czasie II wojny światowej Szuchewycz kierował Krajową Egzekutywą OUN-B (banderowcy) na Generalne Gubernatorstwo. W 1941 roku był zastępcą dowódcy batalionu Nachtigall, utworzonego przez niemiecki wywiad wojskowy (Abwehrę), potem kapitanem niemieckiego 201. batalionu policyjnego Schutzmannschaft. W lipcu 1944 roku na Zjeździe Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej przyznał, że na Wołyniu miała miejsce „likwidacja" ludności polskiej jako odpowiedź na rzekomą współpracę Polaków z Niemcami. Odnośnie do sytuacji w Małopolsce stwierdził: „Dowództwo UPA wydało rozkaz wysiedlania Polaków, jeśli sami się nie przesiedlą. Ataki są kontynuowane". **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

MOBBING PROFESORSKI



Józef **Wieczorek**

Mobbing akademicki zwykle kojarzy się z losem osób wspinających się po dr(h)abinie akademickiej. Młodzi, zdolni, posiadający potencjał do szybkiego wspinania się po kolejnych szczeblach wywołują zrozumiały niepokój tych, którzy już zajmują wysokie stanowiska, a niekoniecznie posiadają należyty potencjał intelektualny i moralny. Mobbing jest skuteczną metodą negatywnej selekcji kadr, ale ostatnio coraz częściej ujawniają się przypadki mobbingu profesorów wobec profesorów, coś w rodzaju walki na szczytach (ostatnie przykłady: SGGW, UE w Krakowie). Rektor ma u nas władzę niemal absolutną, ale intelektualnie i moralnie nie musi się zbliżać do doskonałości. Powołuje dziekanów, którzy nie zawsze potrafią sprostać obowiązkom, a mając władzę administracyjną, także nad profesorami, nieraz bezzasadnie podważa dorobek naukowy innych profesorów, blokuje granty, awanse, nagrody, wyjazdy zagraniczne. Jednym słowem rektorzy wycinają pozamerytorycznie, niszczą niewygodnych profesorów o wybitnym, międzynarodowym dorobku, którzy zagrażają lokalnemu, zamkniętemu układowi sił w danym instytucie. Rektor często też nie reaguje, gdy sprawcą mobbingu jest jego nominat albo on sam. Na uczelniach brakuje rzeczników praw pracowników, a komisje antymobbingowe to zwykle koledzy mobberów z tej samej uczelni, którzy nie zawsze dysponują odpowiednią wiedzą prawną, psychologiczną czy socjologiczną, a przy tym ich niezależność jest jedynie iluzoryczna. W istocie procedury wewnątrzuczelniane w starciu profesor vs. profesor bywają niewydolne lub stronnicze. Możliwości niezależnej obserwacji spraw o mobbing są blokowane, a mój postulat dotyczący organizacji niezależnego od władz uczelni Centrum Mediacji Akademickiej do tej pory nie został zrealizowany. W projekcie „Bezpieczna uczelnia" nie zabezpieczono nawet niezależnej instancji, do której mogłyby się udać osoby mobbingowane. Czasem nawet profesorowie zwracają się do mnie – osoby działającej społecznie na rzecz ograniczenia tej plagi akademickiej. Są możliwe także ścieżki zewnętrzne, z sądową włącznie, ale rzadko jest ona skuteczna. **GP**



Mateusz **Matyszkowicz**

PUTIN W TEATRZE



Putin pojawia się w teatrze i nie jest to śmieszne. Rosyjska polityka imperialna, która zagraża Polsce, nabiera tempa.

PUBLICYSTYKA

Walerij Giergijew, dyrektor teatru, zapowiedział, że jedną z kulminacji przygotowań do 250-lecia Bolszoj ma być pełny powrót „Życia za cara". Opera Glinki powstała w 1836 roku. Premiera odbyła się w petersburskim Wielkim Teatrze Kamiennym i od razu stała się wydarzeniem państwowym. Glinka pracował nad nią pod roboczym tytułem „Iwan Susanin", ale przed premierą nazwa zmieniła się na bardziej patetyczną. Zmiana nastąpiła w związku z sugestią, która padła w kręgu związanym z Mikołajem I.

Wrogiem – Polacy, trzeba ratować cara

Sztuka opowiada o chłopie Iwanie Susaninie, który w 1613 roku, podczas wielkiej smuty, poświęca życie, żeby uratować młodego cara Michała Romanowa przed polskimi oddziałami. Finałowy hymn „Sław się, sław się, nasz rosyjski carze" przez dekady funkcjonował jako element imperialnych uroczystości. Opera otwierała sezony teatrów cesarskich.

Wybór oryginalnego tytułu, a nie sowieckiej wersji „Iwan Susanin", jest tu ważny. W latach 30. XX wieku sztuka wróciła na sceny pod nowym librettem Siergieja Gorodeckiego. Usunięto z niej cara i Boga, ofiarę Susanina przekierowano na rzecz ludu i Minina z Pożarskim. Finałowy hymn zmieniono na pochwałę ustroju. Teraz Bolszoj sięga po wersję przedrewolucyjną. Susanin ratuje nie abstrakcyjną ojczyznę, tylko konkretnego cara i tym samym dynastię, która kończy smutę. To legenda o jedności ludu i władzy, o gotowości do ofiary za suwerena.

Fabuła opiera się na konfrontacji z polskimi oddziałami. W 1613 roku Polacy są wrogiem, przed którym trzeba chronić cara. W dzisiejszej sytuacji geopolitycznej taki materiał historyczny ma dodatkowy rezonans, nawet jeśli nikt nie musi go wprost aktualizować na scenie. Opera nie wymaga współczesnego komentarza politycznego. Jest kanonem, „pierwszą wielką rosyjską operą", prestiżową i technicznie wymagającą. Jednocześnie niesie ładunek, który dobrze współgra z retoryką jedności wokół władzy i obrony przed zewnętrznym zagrożeniem. Giergijew nie musi mówić o ideologii. Wystarczy, że stawia operę jako jeden z filarów jubileuszu i wraca do oryginalnego tytułu.

Kilka miesięcy wcześniej, w lutym 2025 roku, z repertuaru nowosybirskiego teatru Krasnyj Fakieł zniknął spektakl „Dieło" według sztuki Aleksandra Suchowo-Kobylina. Premiera odbyła się w 2020 roku. Sztuka z 1861 roku jest satyrą na rosyjski system sądowniczy i urzędniczy. Bohaterowie próbują uratować dziewczynę przed sądową samowolą, m.in. poprzez wręczenie łapówki radcy stanu. Suchowo-Kobylin pisał z własnego doświadczenia – sam przeszedł wieloletnie śledztwo i zetknął się z korupcją urzędników. Spektakl grał przez pięć lat. 1 lutego 2025 rano teatr ogłosił, że wieczorny pokaz zostaje zastąpiony innym „z przyczyn technicznych". Według źródeł lokalnych decyzję podjęto po natarczywej rekomendacji służb, którą poprzedziła skarga widza. Reżyser dowiedział się o zdjęciu spektaklu z przesłanego mu linku. Teatr go o tym nie uprzedził.

Zatem imperialna sztuka wchodzi na afisz, a krytyka rosyjskiego państwa musi z niego zejść. Taki czas nastał w Rosji, a Putin w ostatnich dniach podkreślił to osobiście.

Putin przemawia

22 października 2026 roku Putin pojawił się na scenie Bolszoj podczas uroczystości z okazji 150-lecia organizacji teatralnej. Wręczył jej order „Za zasługi w kulturze i sztuce" i pogratulował powrotu do historycznej nazwy: Rosyjskiego Towarzystwa Teatralnego. Nazwa ta pochodzi z 1876 roku, sprzed rewolucji. W latach sowieckich organizacja funkcjonowała pod innymi szyldami, związanymi z systemem związków twórczych. Przywrócenie starej nazwy nie jest kosmetyczną zmianą. Putin podkreślił, że niezależnie od szyldu najważniejsza pozostaje wspólna odpowiedzialność za los



FOT. ГРИГОРОВ ГАВРИИЛ / ZUMA PRESS / FORUM

teatru i za zachowanie jego tradycji. W tym samym wystąpieniu mówił o teatrze jako o jednym z wiodących instytutów społecznych, w którym tradycyjne wartości przechodzą z pokolenia na pokolenie. Nazwał to „prawdziwie wielką misją moralną".

Teatr – w ujęciu Putina – ma być źródłem oświecenia, wychowania i edukacji. Kluczowe zdanie dotyczyło młodzieży: to, co twórcy wkładają w serce i duszę młodego człowieka, będzie Rosją przyszłości. Putin zaznaczył, że formalnej reglamentacji teatru nie ma, ale jednocześnie podkreślił, że reżyserzy, aktorzy i dyrektorzy artystyczni rozumieją swoją odpowiedzialność wobec społeczeństwa. W praktyce oznacza to, że odpowiedzialność jest oczekiwana w ramach oficjalnie zdefiniowanych wartości, czyli silnej rodziny, patriotyzmu, służby ojczyźnie, pamięci historycznej i jedności. Teatr ma te wartości utrwalać, a nie kwestionować.

Powrót do carskiej nazwy organizacji i zapowiedź powrotu „Życia za cara" na scenę Bolszoj są przejawami tego samego procesu. Oba te zdarzenia oznaczają powrót do retoryki sprzed 1917 roku. Nie idzie tu o restytucję sowieckiego kanonu, tylko o selektywne przywrócenie imperialnej ciągłości: ofiara za suwerena, jedność ludu i władzy, obrona przed zewnętrznym wrogiem. Putin w przemówieniu nie odwoływał się wprost do opery Glinki, ale ramy, które nakreślił, czynią ją naturalnym elementem repertuaru. Teatr ma wzmacniać spójność społeczną wokół władzy.

Państwo zresztą jest tu aktywne, bo finansuje ponad 600 zawodowych teatrów i zapowiada strategię rozwoju branży. Putin zaproponował też ustawowe wzmocnienie statusu związków twórczych, z ich większym udziałem w kształtowaniu państwowego zamówienia. W efekcie „misja moralna" przestaje być wyłącznie deklaracją. Staje się kryterium, według którego ocenia się repertuar i rozdziela środki. Sceny narodowe, takie jak Bolszoj, zachowują prestiż i wysoki poziom wykonawczy. Jednocześnie ich program coraz wyraźniej wpisuje się w oficjalną ramę historyczną i ideową. Teatr nie jest tu przestrzenią swobodnego sporu. Jest narzędziem ciągłości, które ma formować postawy zgodne z imperialną polityką władzy.

Chodzi o imperium

Mam wewnętrzne przekonanie, że powrót do carskiej warstwy nie jest wyłącznie gestem symbolicznym wobec własnego społeczeństwa. Jest też przygotowaniem gruntu pod pełniejsze użycie narracji słowianofilskiej na kolejnych etapach.

Putin nie musi dziś otwarcie mówić o Polsce jako naturalnej strefie wpływów. Wystarczy, że buduje ramy, w których słowiańszczyzna i prawosławie stają się przestrzenią historycznej i kulturowej ciągłości Rosji. Opera o Susaninie ratującym cara przed polskimi oddziałami, przywrócenie przedrewolucyjnej nazwy organizacji teatralnej i mowa o misji moralnej teatru jako narzędziu formowania postaw – to elementy, które wzmacniają ten obraz. Z zewnątrz może to wyglądać na absurd. W ostatnich latach Rosja jednak przeszła do strategii, które wcześniej wydawały się szaleństwem, a dziś stanowią normalną część jej narracji i działań.

Z polskiego punktu widzenia to zjawisko jest niebezpieczne właśnie dlatego, że działa na kilku poziomach jednocześnie. W społeczeństwach zachodnich, zwłaszcza amerykańskim, słowiańszczyzna często rozmywa się w jedną masę. Brak wyraźnego rozróżnienia między kulturą polską, mocno osadzoną w zachodnim kręgu, a rosyjskim imperialnym projektem ułatwia wchłanianie propagandowych ram. Putinowska opowieść o wspólnym dziedzictwie, o braterstwie i o obronie przed zewnętrznym zagrożeniem może być wtedy przyjmowana jako jedna z możliwych interpretacji historii, a nie jako instrument rozszerzania roszczeń. Teatr i opera, jako nośniki kultury, są w tym względzie szczególnie skuteczne. Nie brzmią jak bezpośrednia agitacja polityczna, a jednocześnie utrwalają konkretny obraz historyczny.

To samo dotyczy części polskiego społeczeństwa. Narracja o słowiańskiej niezależności i braterstwie może być wykorzystywana do budowania przyczółków. Nie musi od razu oznaczać otwartej lojalności wobec Moskwy. Wystarczy, że osłabia poczucie odrębności i wprowadza wątpliwość co do zachodniego charakteru polskiej kultury. W sytuacji, gdy teatr rosyjski jest podporządkowywany celom politycznym władzy, a kanon imperialny wraca na czołowe sceny, taki sygnał nie jest neutralny. Wychodząc od powrotu „Życia za cara" na Bolszoj i od przemówienia Putina o misji moralnej teatru, dochodzimy do konkretnego zagrożenia narracyjnego dla Polski. Nie jest to jeszcze otwarta walka o strefę wpływów. Jest to jednak budowanie warunków, w których taka walka może być w przyszłości przedstawiana jako naturalna kontynuacja historycznej i kulturowej ciągłości. **GP**



CZY BIBI UTRZYMA SIĘ U WŁADZY

IZRAELSKI KLINCZ WYBORCZY

Maciej **Kożuszek**
SZEF DZIAŁU ŚWIAT

FOT. RONEN ZVULUN / REUTERS / FORUM



Beniamin Netanjahu formalnie wygrał wybory w Izraelu. Jego partia Likud otrzymała największe poparcie, ale rządzącej koalicji brakuje mandatów, by zapewnić sobie większość w Knesecie. Z kolei przed blokiem opozycyjnym stoi też istotny dylemat: czy i na jakich zasadach zdecydować się na współpracę z partiami arabskimi, które osiągnęły historyczny wynik. W większości scenariuszy to Netanjahu pozostaje premierem w najbliższym czasie.

W momencie oddawania tego tekstu do druku, po przeliczeniu około 90 proc. głosów, Likud wraz z koalicjantami może liczyć na 53 mandaty w Knesecie, a blok opozycyjny na 48. Beniaminowi Netanjahu brakuje więc ośmiu mandatów do stworzenia koalicji. Pomimo klinczu w wynikach zarówno premier, jak i lider opozycji Gadi Eisenkot zadeklarowali gotowość do stworzenia rządu. Wysoka frekwencja i mobilizacja wyborców sprawiły z kolei, że partie arabskie Ra'am (Zjednoczona Lista Arabska) i Wspólna Lista uzyskały aż 19 mandatów. W poprzednich wyborach miały ich tylko 10. Ewentualna współpraca z blokiem arabskim, którą pod uwagę może brać tylko opozycja, mogłaby zapewnić większość, ale w obecnej sytuacji byłaby też polityczną i społeczną rewolucją.

Stawka wyborów

Na tydzień przed wyborami do sieci trafiło nagranie, na którym lider opozycji Gadi Eisenkot musiał się zmierzyć z poirytowanym wyborcą. Ten zarzucił politykowi, że zamierza rządzić ze zwolennikami Hamasu i nie chce zniszczyć terrorystycznej organizacji. „Hamas zabił mojego syna i dwóch moich siostrzeńców" – odpowiedział Eisenkot. „Nie ma nikogo w państwie Izrael, kto chciałby ich zniszczyć bardziej niż ja". Dla wielu zewnętrznych obserwatorów wybory były referendum w sprawie polityki bezpieczeństwa Netanjahu, która ustawiła Izrael w centrum międzynarodowej krytyki. Jak jednak pokazują ta i inne wypowiedzi Eisenkota, nic nie jest dalsze od prawdy. W kluczowych sprawach bezpieczeństwa i polityki zagranicznej rząd i opozycja, a także zdecydowana większość izraelskich wyborców myślą bardzo podobnie.

Jeśli są różnice pomiędzy Eisenkotem i Netanjahu, dotyczą raczej taktyki, a nie głównych celów strategii. Lider opozycji wielokrotnie podkreślał na przykład, że nie można dopuścić do dalszego rozwoju projektu nuklearnego przez Teheran. „Izrael musi zrobić wszystko, włącznie z zaatakowaniem Iranu, aby zniszczyć jego zdolności nuklearne" – mówił 11 października. Na krótko przed wyborami pozytywnie oceniał izraelsko-amerykański atak na Iran. „Ta kampania wojskowa i ta operacja wojskowa wymagały odwagi" – stwier-

dzał. Podkreślał też, że była konieczna, ponieważ „Irańczycy próbują osiągnąć zdolność do wyprodukowania broni jądrowej i chcą stać się kolejną Koreą Północną". Zgoda panowała też w kwestii Libanu oraz celu rozbrojenia i unieszkodliwienia Hezbollahu. Zasiadając w gabinecie wojennym Netanjahu, Eisenkot wręcz ponaglał premiera do uruchomienia ataku za pomocą pagerów, wymierzonego w dowództwo organizacji. „Przez ostatnią dekadę przygotowywaliśmy plan wspólnie z Mosadem. Przedstawiłem ci go sto razy. Uruchom go" – miał powiedzieć premierowi podczas jednej z narad w 2024 roku.

Kwestią związaną z bezpieczeństwem, która odróżniała pozycję rządu od opozycji, była sprawa ataków z 7 października 2023 roku i zaniedbań, które doprowadziły do zlekceważenia zagrożenia przez państwo i jego instytucje. Eisenkot i inni liderzy opozycji obiecywali sformowanie niezależnej państwowej komisji, która miałaby zbadać okoliczności tragedii. Netanjahu „ślepo, arogancko i nieodpowiedzialnie doprowadził Izrael do największej katastrofy w jego historii" – oskarżał Eisenkot, zwracając uwagę też na doniesienia prasowe o zignorowanych przez premiera ostrzeżeniach o zagrożeniu płynącym ze Strefy Gazy.

Jednak w tej sprawie nawet Eisenkot podkreśla, że choć Netanjahu odpowiada za porażkę jako premier, to winę ponosi całe państwo, wraz ze służbami i z armią. Sam lider opozycji był w latach 2015–2019 szefem sztabu izraelskiej armii IDF, a po 7 października zasiadał w gabinecie wojennym. Wielu komentatorów podkreśla, że atak był klęską podzielanej przez większość klasy politycznej „conceptzia", czyli sposobu myślenia na temat Strefy Gazy i Hamasu. Ta podpowiadała, że Hamas nie zdecyduje się na eskalację, bo zależy mu przede wszystkim na stabilności i utrzymywaniu władzy. Dlatego na przykład godzono się na finansowanie organizacji przez Katar. Ta współdzielona odpowiedzialność sprawia, że postulat utworzenia komisji może być tym, z którego najłatwiej będzie zrezygnować opozycyjnym ugrupowaniom.

Scenariusze i przyszłość Izraela

Choć w sprawach priorytetów bezpieczeństwa panuje zgoda, tym, co najbardziej odróżnia Netanjahu od Eisenkota, jest ich polityczne zaplecze, z którego czerpią swoje poparcie. W ostatnich latach swoich rządów Bibi stawał się w coraz większym stopniu uzależniony od partii ultraortodoksów, a także skrajnej prawicy, Itamara Ben-Gwira i Becalela Smotricza. Związki z nimi dawały mu władzę, ale z drugiej strony w coraz większym stopniu izolowały go nie tylko międzynarodowo, ale też na własnej scenie politycznej, mobilizując poparcie dla opozycji. Jeszcze przed wyborami Ben-Gwir oskarżał Netanjahu, że ten planuje rząd jedności narodowej z Eisenkotem, co oznaczałoby porzucenie swoich dotychczasowych koalicjantów. Bibi zdecydowanie wówczas zaprzeczył, a po ogłoszeniu wyników zapewniał wierność. „Jesteśmy razem i pozostaniemy razem" – miał przekonywać Ben-Gwira i Smotricza. Formułował też oskarżenia o „kradzież wyborów" przez partie arabskie, czemu zaprzeczyły izraelskie służby.

Pomimo kariery i najwyższych stanowisk w IDF Gadiego Eisenkota odróżnia od Netanjahu także jego przeszłość. Gdyby udało mu się przejąć władzę, byłby pierwszym premierem w historii Izraela wywodzącym się z Żydów Mizrahi – pochodzących z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. To byłby symbol zerwania z polityczną dominacją Żydów wywodzących się z Europy. Charakter koalicji opozycyjnej stał też za jednym z głównych postulatów: zakończenia zwolnienia Żydów ultraortodoksyjnych z obowiązku służby wojskowej. Dziś stanowią oni ponad 14 proc. populacji i są też grupą najbardziej korzystającą ze świadczeń socjalnych państwa. W związku z wymogami bezpieczeństwa zniesienie zwolnień popiera nawet 80 proc. izraelskich wyborców, jak wynika z różnych badań. Ale to krok, na który Netanjahu nie może sobie pozwolić ze względu na charakter swojej koalicji. Partie ultraortodoksów od 2025 roku nie wchodzą już w skład rządu, ale w Knesecie dalej większość opiera się na ich poparciu.

Impas

Scenariuszy na wyjście z klinczu, który sugerują wyniki, jest kilka i, jak to często bywa w takich przypadkach, żaden nie jest idealny. W grę wchodzi stworzenie rządu jedności narodowej łączącego zapewne Likud i partie opozycyjne. Niektórzy przedstawiciele opozycji biorą też pod uwagę współpracę z dwiema partiami arabskimi, które w tych wyborach osiągnęły historycznie rekordowy wynik. Ostatnia z podstawowych opcji to rozpisanie nowych wyborów. W takim przypadku Netanjahu pozostałby premierem, stojąc na czele rządu technicznego.

Rozważanie wszystkich tych scenariuszy odbywa się oczywiście w cieniu wyzwań związanych z bezpieczeństwem Izraela, co nadaje politycznym rozgrywkom dodatkową wagą. Pojawiają się doniesienia o tym, że po wyborach śródterminowych w USA możliwe jest zadanie kolejnego ciosu Iranowi. Korzysta z tego premier, podkreślając, że Izrael stoi przed wyjątkową i historyczną szansą, której nie można zmarnować. Z kolei ewentualne porozumienie z partiami arabskimi, a nawet sam udział arabskich wyborców w wyborach, przedstawia jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. „Nie wolno nam, absolutnie nie wolno nam narażać Izraela na niebezpieczeństwo poprzez utworzenie rządu, który opierałby się na antysyjonistycznych partiach arabskich" – mówił po ogłoszeniu wstępnych wyników wyborów.

Wygrać remis

Skorzystanie z poparcia partii arabskich jest też jednak wyzwaniem dla opozycji. We wrześniu Eisenkot wykluczył współpracę, stwierdzając, że ich program nie jest zgodny z jego priorytetami politycznymi. „Obecnie nie widzę żadnych partii arabskich, które akceptowałyby zasady" – mówił wówczas. Ich ewentualne wejście do rządu lub jego poparcie wywołałyby na pewno mobilizację partii prawicowych, a sam Eisenkot nie może mieć pewności, czy nie rozbiłyby też od środka jego koalicji.

Jak dotąd obie koalicje próbują „wygrać remis", przekonując, że to one posiadają mandat do stworzenia rządu. Pytania dotyczą nie tylko przyszłości Izraela, ale też tego, czy administracja Donalda Trumpa, która do tej pory wstrzymała się od zajęcia stanowiska (poza zdecydowanym przedwyborczym poparciem Netanjahu), nie opowie się na przykład w pewnym momencie za stworzeniem rządu jedności. Izrael i jego klasa polityczna staną też przed innym pytaniem: na ile państwo mierzące się z wyzwaniami na kilku frontach może sobie pozwolić na długie polityczne rozgrywki? GP

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej



Tomasz Mysłek

Europa w skrócie

Komisarze UE chcą nowego podatku Komisja UE opracowała projekt przymusowych opłat od starych lub uszkodzonych urządzeń AGD, które nie trafiają do oficjalnej utylizacji. Projekt zakłada zmuszenie państw UE do płacenia corocznej dużej opłaty za „niezebrane elektrośmieci", tj. zużyte lodówki, pralki itp. Producenci AGD obawiają się, że choć formalnie obciążone mają zostać państwa członkowskie, to dodatkowe obowiązki i obciążenia spadną na ich przedsiębiorstwa, a potem na ich klientów.

Porażka ekologizmu Parlament UE uchwalił opóźnienie o trzy lata (do stycznia 2030 roku) obowiązku wdrożenia części unijnego „prawa klimatycznego". Chodzi o przepisy narzucające uciążliwe i kosztowne obowiązki związane z kontrolą i raportowaniem „wycieków" i emisji metanu przez wszystkie firmy naftowe i gazowe. Bo metan jest przez władze UE obarczany winą za „ocieplenie klimatu". Opóźnienie zostało przyjęte 326 głosami „za" przy 244 głosach sprzeciwu – głównie frakcji i posłów lewicy.

Rząd Holandii planuje zwolnić 20 proc. urzędników Rząd Holandii ogłosił plan cięć wydatków w sektorze publicznym. Głównym założeniem jest redukcja zatrudnienia w urzędach państwowych o około 20 proc., co ma przynieść budżetowi państwa oszczędności rzędu 3,5 mld euro rocznie. Zmniejszenie liczby urzędniczych etatów o około 25 tys. ma nastąpić w ciągu najbliższych 10 lat. W realizacji tego celu kluczową rolę ma odegrać automatyzacja powtarzalnych procedur administracyjnych i tzw. sztuczna inteligencja – m.in. w analizach danych.

Rząd Bułgarii już nie chce finansować wojny Premier Bułgarii Rumen Radew zapowiedział, że Bułgaria już nie będzie finansować zakupów nowej broni dla Ukrainy w ramach funduszu UE pt. – Europejskiego Instrumentu na rzecz Pokoju (EPF). Rząd w Sofii zdecydował, że bułgarski wkład do EPF będzie kierowany wyłącznie na pomoc niewojskową i Bułgaria na forum UE będzie stosować tzw. konstruktywne wstrzymanie się od głosu – nie będzie uczestniczyć w finansowaniu zakupów broni dla Ukrainy, ale nie zablokuje decyzji pozostałych państw UE w tej sprawie.

W Danii zakaz nowych hodowli świń W imię „ochrony środowiska" i „dobrostanu zwierząt" duński rząd zakazał tworzenia nowych hodowli świń. Nie będzie też można rozbudowywać już istniejących chlewni i hodowli. To skutek przyjęcia przez rząd Danii ideologii „ochrony środowiska" i „klimatu". Od marca 2026 roku w strukturze rządu nie ma już ministerstwa rolnictwa. Zastąpił je resort „przyrody i dobrostanu zwierząt". Duńscy hodowcy świń uznają ww. zakaz za nielegalny i rozważają podjęcie działań obronnych w sądach. **GP**

ETS

Parlament UE opowiedział się za zwiększeniem liczby bezpłatnych uprawnień do emisji gazów dla przemysłu energochłonnego. Ta zmiana w systemie ETS ma przynieść firmom do 8 mld euro oszczędności do 2030 roku.

FOT. ADOBE STOCK

Komisarze UE znów uderzyli w e-zakupy z Azji

Od 1 listopada w państwach UE obowiązuje dodatkowa „opłata manipulacyjna" w wysokości 2 euro za każdą pozycję w zgłoszeniu celnym – w przesyłkach spoza UE o wartości do 150 euro. Od 1 lipca obowiązują cła w wysokości 3 euro za każdą rzecz w takiej przesyłce – na przykład za każdą bluzkę z Chin.



BRAZYLIJSKA PORAŻKA TRUMPA



CZERWONY LULA GÓRĄ

Antoni **Rybczyński**

Lula wygrał ponad 4 mln głosów, ale nie bez kontrowersji. Głosowanie w ostatniej chwili zostało przedłużone o dwie godziny na wniosek rządzącej Partii Pracujących, a decyzję podjął mianowany przez Lulę sędzia Sądu Najwyższego Cristiano Zanin. Jako powód podano, że najbiedniejsi wyborcy (tak się składa, że tradycyjny elektorat Luli) nie zdążyli dotrzeć do lokali wyborczych w kilku stanach. Bolsonaro nie uznał porażki i zamierza domagać się unieważnienia wyniku. Musiał jednak zbiec do USA, bo już następnego dnia po wyborach wszczęto dochodzenie przeciwko niemu i próbowano zablokować mu wyjazd z kraju.

Nowy-stary prezydent nie będzie miał łatwego zadania: będzie musiał współpracować z Kongresem, w którym największe frakcje w obu izbach należą do sojuszników Bolsonaro. Również większość wyborów gubernatorów stanowych wygrała tej jesieni prawica. Tymczasem wygląda na to, że Lula chce jeszcze mocniej brnąć w swoją lewicową i antyamerykańską agendę. W polityce wewnętrznej obiecuje zachować i rozwijać osiągnięcia w sferze społecznej (czyli dalej zadłużać kraj – nic dziwnego, że na wieść o wygranej Luli runął kurs

W drugiej turze wyborów prezydenckich w Brazylii nieoczekiwanie zwyciężył urzędujący prezydent, 80-letni Lula da Silva. Uzyskał 51,8 proc. głosów, a jego rywal – Flavio Bolsonaro – 48,2 proc. To dobra wiadomość dla Chin i Rosji, zła dla USA. Pozostaje pytanie, czy to koniec prawicowej fali w Ameryce Łacińskiej, czy tylko wyjątek od reguły.



FOT. ALEXANDRE MENEGHINI / REUTERS / FORUM

waluty narodowej i załamały się notowania giełdy). W polityce zagranicznej zamierza „pogłębić geopolityczne zbliżenie z BRICS i Globalnym Południem", co oczywiście leży w interesie Moskwy.

Wielki powrót Luli

Bolsonaro nie uznał swojej porażki i zapowiedział złożenie do władz wyborczych wniosku o unieważnienie wyniku. Skrytykował przy tym decyzję sędziego Sądu Najwyższego, który w czasie wyborów zarządził przedłużenie głosowania o dwie godziny. „To, co się dziś wydarzyło, nie było normalne i nie jest do zaakceptowania" – powiedział senator. Odniósł się w ten sposób do decyzji sędziego Cristiana Zanina o wydłużeniu głosowania. Została ona ogłoszona tuż przed planowanym zamknięciem lokali wyborczych. Zanin przychylił się do skargi sztabu Luli, który twierdził, że w niektórych miastach wyborcy nie mogli na czas dotrzeć do lokali wyborczych z powodu opóźnień transportu publicznego. Ocenił to jako celowe działanie niesprzyjających mu burmistrzów miast, by uniemożliwić ludziom oddanie głosów. Decyzja Zanina wywołała zamieszanie w komisjach wyborczych. Według mediów wiele lokali zostało zamkniętych zgodnie z pierwotnym planem tuż po godz. 17 i nie wznowiło pracy. Pojawiały się wątpliwości, czy elektroniczne maszyny do głosowania, które zostały już wyłączone, można ponownie uruchomić. W atmosferze chaosu Najwyższy Trybunał Wyborczy nakazał przedłużenie pracy tych lokali, które nie zostały jeszcze zamknięte. Duża różnica w głosach sprawia, że powodzenie prób unieważnienia wyników jest mało prawdopodobne. Zwłaszcza że Partia Liberalna, z ramienia której formalnie startował Bolsonaro, uznała wyniki.

Lula i Bolsonaro prezentowali odmienne wizje polityki gospodarczej, społecznej i zagranicznej. Lula proponował utrzymanie obecnej polityki państwa, w tym systemu zapomóg społecznych i wielostronnej współpracy międzynarodowej. Bolsonaro zapowiadał twardą walkę z przestępczością, obniżanie podatków, cięcia budżetowe, reformy probiznesowe i zbliżenie w relacjach z USA. W pierwszej turze Bolsonaro dostał 47 proc., a Lula – 45 proc. głosów. Również przed drugą turą sondaże wskazywały na niewielką przewagę senatora. Luli udało się jednak w krótkim czasie zmobilizować wielu wyborców, którzy nie głosowali trzy tygodnie wcześniej. Zwykle odsetek absencji jest wyższy w drugiej turze, a tym razem było odwrotnie. Nieoczekiwane drugie miejsce w pierwszej turze zmusiło sztab wyborczy Luli do gruntownej zmiany strategii cyfrowej i przekazu – zamiast podkreślania dotychczasowych osiągnięć, zaczęto skupiać się na nowych obietnicach, w tym na umorzeniu długów rodzin oraz zwiększeniu środków na główny brazylijski program transferów pieniężnych. Lula miał szczególne poparcie wśród wyborców o niższych dochodach oraz kobiet. Jego zwycięstwo wynika z mobilizacji elektoratu oraz zdecydowanej niechęci wobec następcy Jaira Bolsonaro. W przeddzień drugiej tury Bolsonaro stał się też przedmiotem co

najmniej dwóch dochodzeń przed Federalnym Sądem Najwyższym, związanych z korupcją i praniem brudnych pieniędzy. Częściową rekompensatą dla prawicy za porażkę prezydencką były wyniki drugiej tury wyborów gubernatorskich w pięciu stanach i stołecznym Dystrykcie Federalnym, które również odbyły się w niedzielę. W czterech z sześciu rywalizacji zwyciężyli kandydaci popierający Bolsonaro. Także trzy tygodnie wcześniej dużo częściej wygrywali kandydaci prawicy.

Brazylia pozostanie czerwona

W pierwszym przemówieniu po ogłoszeniu wyników Lula powtórzył swoje zapewnienie, że Brazylia nie będzie „niczyim podwórkiem". To była aluzja do rosnących wpływów USA w Ameryce Łacińskiej i napiętych relacji pomiędzy Lulą a Donaldem Trumpem. Prezydent USA rzeczywiście nigdy nie ukrywał swoich sympatii. Już w 2025 roku jego administracja nałożyła na Brazylię dodatkowe cła, powołując się bezpośrednio na to, że władze republiki „prześladują Jaira Bolsonaro" (były prezydent, ojciec Flavia, skazany na więzienie). 26 maja Trump przyjął Bolsonaro juniora w Gabinecie Owalnym, a tydzień później napisał na Truth Social, że to „mądry młody człowiek, który bardzo kocha swój kraj". Wyniki pierwszej tury Trump skomentował tak: „Wielkie zwycięstwo – z niewielką przewagą, ale bardzo, bardzo wielkie zwycięstwo". Ale już 25 października, w odpowiedzi na pytanie dziennikarzy, kogo chciałby widzieć jako zwycięzcę, gospodarz Białego Domu odpowiedział ostrożnie: „Nie chcę się w to zagłębiać, ale obserwujemy sytuację". Natomiast po porażce Bolsonaro podał w wątpliwość uczciwość wyborów.

Strategia bezpieczeństwa narodowego USA, opublikowana w grudniu 2025 roku, przewiduje, że nie dopuści się, by „konkurenci spoza półkuli" kontrolowali na niej „aktywa o znaczeniu strategicznym". Chodzi przede wszystkim o Chiny. Jednak dla Brazylii gwałtowne zerwanie stosunków z Pekinem byłoby samobójstwem. W 2025 roku na Chiny przypadało 27 proc. obrotów handlu zagranicznego Brazylii. Lula zamierza utrzymać bliskie stosunki gospodarcze z tym największym partnerem handlowym mimo rywalizacji Pekinu z Waszyngtonem. Wraz ze zwycięstwem Luli również kwestia wystąpienia z grupy BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA) została wykluczona (rozważenie takiej możliwości obiecał Bolsonaro). To powód do radości na Kremlu, który widzi w prezydencie Brazylii ważnego partnera. Lula w maju 2022 roku mówił o prezydencie Ukrainy, że „ten facet jest tak samo odpowiedzialny" za wybuch wojny jak Putin. W maju 2025 roku brazylijski przywódca przyjechał do Moskwy na Paradę Zwycięstwa. Jest też aspekt gospodarczy, niemniej ważny niż w stosunkach brazylijsko-chińskich. W 2025 roku obroty handlowe między Moskwą a Brasilią wyniosły 10,9 mld dolarów, ale prawie cały przepływ odbywa się w jedną stronę: Brazylia sprzedała Rosji towary o wartości 1,5 mld, a kupiła (przede wszystkim nawozy i olej napędowy) za 9,4 mld.

Lula proponował utrzymanie obecnej polityki państwa, w tym systemu zapomóg społecznych i wielostronnej współpracy międzynarodowej. Bolsonaro zapowiadał twardą walkę z przestępczością, obniżanie podatków, cięcia budżetowe, reformy probiznesowe i zbliżenie w relacjach z USA.

Lula powstrzymał widoczny od prawie trzech lat trend zwrotów na prawo w Ameryce Łacińskiej, w ramach którego konserwatyści przejęli władzę w Argentynie, Peru, Kolumbii, Chile i Boliwii. Brazylia, największa gospodarka regionu, pozostała jednak poza grupą rządów popierających Trumpa. Reelekcja Luli jest znaczącym ciosem dla „doktryny Donroego" i dążeń Trumpa do regionalnej dominacji. Niewątpliwie w Ameryce Łacińskiej istnieje spora grupa liderów popierających MAGA. Jednak nie ma wśród nich przywódców dwóch największych krajów regionu: Brazylii i Meksyku, gdzie od 2024 roku rządzi lewicowa prezydentka Claudia Sheinbaum. Kiedy 5 stycznia Lula rozpocznie nową kadencję, będzie musiał zmierzyć się z prawicowym Kongresem i gubernatorami wybranymi w ramach szerszej fali konserwatywnej. To nie będzie łatwa kohabitacja. Jak kończy się utrata większości w Kongresie, Lula wie z doświadczenia swojej wieloletniej współpracowniczki: w 2014 roku Dilma Rousseff wygrała drugą turę wyborów prezydenckich, a w 2016 roku Senat odwołał ją ze stanowiska. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej" wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą **o wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłat można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336
DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.
Więcej informacji pod adresem:
www.parafiabarnabici.pl

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.



Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Wymierne korzyści Pewien mieszkaniec Czelabińska zaciągnął się na wojnę z Ukrainą jako operator drona, aby – jak sam stwierdził – „przynieść korzyść społeczeństwu". Zaginął po wysłaniu go na szturm, a za pomocą jego karty płatniczej ktoś kupił potem laptopy do gier. Czyli jednak komuś przyniósł korzyść…

Uczelnia dla szczęściarzy Moskiewska Wyższa Szkoła Ekonomiki obiecała bezpłatną naukę tym kandydatom na studia, którzy najpierw podpiszą kontrakt z Ministerstwem Obrony. Żeby jednak być uczciwym, należałoby mimo wszystko uściślić, że chodzi raczej tylko o tych, którzy po zakończeniu tego kontraktu wrócą na uczelnię żywi.

Matczyna troska „W Baszkirii matka porwała i więziła 18-letnią córkę, żeby odebrać jej tzw. zasiłek trumienny za poległego na wojnie byłego męża" – taką zawikłaną historię rodzinną opisują media z Ufy. Pewnie mamusia zrobiła to jedynie z troski – żeby nieodpowiedzialna młoda osoba nie przepuściła pieniędzy na głupoty.

Plan prawie doskonały Równie pomysłowy, co zdesperowany złodziej spod Moskwy, któremu nie udało się samodzielnie ukraść samochodu, wezwał w tym celu… lawetę. I pewnie plan by się powiódł, tylko akurat pojawiła się policja, która zainteresowała się dokumentami ładowanego na nią pojazdu. No jak niefart, to niefart.

Operacja „sobowtór" A już naprawdę koronkową operację przeprowadził inny mieszkaniec stolicy, który wynajął sobowtóra zmarłej sąsiadki, aby nielegalnie wejść w posiadanie jej mieszkania. Plan jednak nie wypalił – organizatora zatrzymano, a udawana właścicielka nieruchomości uciekła za granicę. Gdyby okazało się jeszcze, że na dokumentach zmarłej, to byłaby dopiero intryga… **GP**

NIE SEZON

Kamery monitoringu w mieście Wołżskoje nagrały kobietę, która ukradła… huśtawkę z placu zabaw – donoszą lokalne media. Oj tam, zaraz ukradła. Pewnie schowała, żeby dzieciaczki się nie przeziębiły w te jesienne chłody.

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Nie ma czego szukać

W wielu regionach Rosji wstrzymano poszukiwania osób zaginionych w lesie, zaś powodem tego jest... wzmożona aktywność niedźwiedzi. Widocznie słusznie uznano, że jak już kogoś znajdzie w lesie niedźwiedź, to naprawdę nie ma tam czego potem szukać.



Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

Czy pójdziemy się BIĆ ZA NARWĘ?



MIĘDZY EUROPĄ A ROSJĄ



Jakub **Maciejewski**

Nasz polski przesmyk suwalski był przez lata oczkiem w głowie strategów Paktu Północnoatlantyckiego jako miejsce szczególnie ważne dla potencjalnej rosyjskiej ofensywy i wyjątkowo trudne do obronienia. Ostatnio ta wąska przestrzeń między Białorusią a Kaliningradem została „zdetronizowana" przez estońską Narwę, która faktycznie w bliskim czasie może się stać obiektem agresji Kremla. Byliśmy na miejscu. Nie jest dobrze.

Do 50-tysięcznego miasta w północno-wschodniej Estonii wtulonego w rzekę Narwę, po drugiej stronie której jest już Federacja Rosyjska, przyjeżdżają dziennikarze z całego świata. Miejscowi politycy, historycy czy dziennikarze są wręcz zmęczeni tymi samymi pytaniami o to, czy mieszkańcy boją się wojny i jak się żyje w cieniu ostrzeżeń przed atakiem agresywnego sąsiada. Nic więc dziwnego, że kolejni lokalni liderzy odmawiają spotkań – mają już dość. Popularny tiktoker z Narwy wyjaśnia dlaczego. „Szczerze mówiąc, udzieliłem już dziesiątek wywia-



Granica estońsko-rosyjska na rzece Narwie – po lewej stronie widoczny fragment zamku Hermana, po prawej Twierdza Iwangorodzka.

dów i nie sądzę, bym miał coś nowego do opowiedzenia” – wyznaje Kirill z kanału Tak, to Narwa. Podobnie reaguje Michaił Stalnuhhin, który prowadzi własny kanał na Telegramie i na YT, ale już nie zajmuje się ciągłymi alarmami z Zachodu, że „Narwa może być kolejna”. Do postsowieckiego miasteczka, intensywnie aranżowanego na nowoczesną, choć prowincjonalną miejscowość, przyjeżdżają komentatorzy z całego świata. Ben Lewis z Australii twierdzi, że Narwianie pytają, „czy jesteśmy następni”, Jack Power z Irlandii, że „estońskie miasto jest następne na liście Putina”, Julia Pascual z Francji, że Estonia jest „słabym punktem NATO”… Dziennikarze przyjeżdżają, piszą, że jest źle, groźnie, że ludzie się boją, a potem media wyjeżdżają do kolejnych znikających tematów. Ugryźć Narwę od innej strony jest doprawdy trudno – a jednak coś pod płaszczem powtarzanych obaw udaje się zobaczyć.

Mówią po rosyjsku. I mają powody

Umożliwia to spotkanie z Denisem Larchenką, młodym radnym miasta Narwa. Mężczyzna o nordyckiej urodzie na pierwszy rzut oka nie pasuje do krajobrazu miejscowości, w której 80 proc. mieszkańców jest rosyjskojęzycznych i nie utożsamia się tak silnie się z Europą. Denis jednak, wychowując się w rosyjskojęzycznej rodzinie, obrał drogę politycznego liberała, euroentuzjasty, w pewnym sensie – obywatela świata, ale i estońskiego państwowca. Jednoznacznie krytyczny wobec państwa rosyjskiego i polityki Władimira Putina, znajduje wiele zrozumienia dla tutejszej ludności. Larchenko wyraźnie rozgranicza zbrodnicze imperium od rosyjskojęzycznej mniejszości, faktycznie zazwyczaj żyjącej tu w wyniku sowieckiego zasiedlenia po II wojnie światowej. W Polsce nie znamy tego problemu, ale wzdłuż rosyjskiej granicy żyje przecież znaczna diaspora Rosjan, znacznie zintegrowana nie ze swoją oficjalną stolicą, lecz z „ruskim mirem”. Niektórzy tylko wolą rosyjskie filmy i literaturę, ale w wielu przypadkach wybór pada na postawę separatysty i „żduna” (z ros. ktoś, kto czeka, „czekacz”), niesprzeciwiającego się przyłączeniu swojego terytorium do Federacji Rosyjskiej. Na Ukrainie istnieją całe rosyjskojęzyczne brygady walczące z najeźdźcami Putina, ale też w Donbasie, w ruinach zniszczonych miast, żyje ludność cywilna, która chce powitać agresora jak wyzwoliciela. Czy tak jest w Narwie?

Larchenko opowiada o długiej drodze państwa estońskiego do uczynienia z rosyjskojęzycznej mniejszości prawdziwych Estończyków. Zwraca jednak uwagę na niuanse i nieoczywiste trudności: – Jesteśmy za małym krajem, by na rynku filmowym opłacało się robić tutaj osobny dubbing po estońsku. Są więc małe napisy – mówi „Gazecie Polskiej” o niepozornym problemie. – Czy możemy się dziwić, że wielu widzów wybiera rosyjskojęzyczny dubbing? Do nauki języka estońskiego bardziej zachęca ich państwo niż autentyczna potrzeba – opowiada.

Sprawę języka Larchenko podkreśla w sposób szczególny. W swojej karierze zajmował się edukacją, zarządzał nią w jednej z dzielnic Tallina, jak szalony zaczyna i kończy kolejne fakultety i kursy. – O ryzyko konfrontacji z Rosją każdy martwi się po swojemu. Właściwie zależy to od tego, w którą bańkę informacyjną kto jest włączony, bo ci, którzy czytają estońską prasę, są tutaj bardziej ostrożni – ciągnie Denis. Na pytanie o „żdunów” dyplomatycznie odpowiada: – Jakaś część mieszkańców pewnie sprzyja Rosji, a twoi koledzy dziennikarze znajdują ich na ulicach miasta i nawet przeprowadzają z nimi wywiady – uśmiecha się samorządowiec i stwierdza: – Taka postawa w Narwie to jednak margines.

Nieudany separatyzm

Larchenko radzi zapytać lokalne autorytety o podobne kwestie. Przekazuje nam kontakty, sugeruje, kto będzie dobrym rozmówcą. Pytamy też, czy mógłby polecić jakiegoś uczestnika Bałtyckiego Łańcucha – wielkiego wydarzenia z 1989 roku, gdy 2 mln mieszkańców Litwy, Łotwy i Estonii stanęły w jednym łańcuchu ludzkim, demonstrując pragnienie wolności. Ale Larchenko kręci głową z uśmiechem. – Nie możesz kogoś polecić? – naciskamy. – Nie – odpowiada. – Dlaczego? Nie ma w Narwie nikogo, kto by walczył o odłączenie się od ZSRS? – dopytujemy. – Człowieku, jesteś w innym miejscu – życzliwie, ale z nutą politowania odpowiada Denis. – U nas w 1993 roku było nawet referendum separatystyczne. Chcieli nam tu zrobić drugie Naddniestrze [nieuznawane państwo we wschodniej Mołdawii – przyp. red.].

W miejscowej bibliotece zaglądamy do starej narewskiej prasy z tego okresu. Ani słowa po estońsku, wszystko jest w pełni rosyjskojęzyczne. Gazety w mieście biły na alarm, że „prawo o cudzoziemcach”

FOT. ARCH.

będzie dyskryminowało ludność rosyjskojęzyczną, pozbawiało ją statusu obywatela, uniemożliwiało znalezienie pracy. „Czy można być gościem u siebie w domu?" – pytała w dramatycznym apelu do mieszkańców rada miasta. „Ustawa uchwalona – gleba dla nowych konfliktów" – krzyczał nagłówek „Gazety Narewskiej" 26 czerwca 1993 roku.

De facto ustawa zmuszała do określenia się – albo przyjmujesz obywatelstwo estońskie, albo rosyjskie lub żadne, ale wtedy jesteś cudzoziemcem, który ma inne prawa. „Uwaga, Narwianie, pamiętajcie! Od tego, jak zagłosujecie w referendum, zależy, czy będziecie dyskryminowani" – czytamy napis na całą stronę gazety z połowy lipca. Referendum się odbyło, ale zawiodło organizatorów. Co prawda 97 proc. głosowało za odrębnym i autonomicznym statusem Narwy w ramach państwa estońskiego, ale frekwencja ledwo przekroczyła 50 proc. – i to wedle wyśrubowanych, kwestionowanych komunikatów władz miasta. Sprawa samoistnie zaczęła cichnąć i nie została uznana przez Tallin.

„W głębi duszy" Lenina

Znalezienie pojedynczych „ždunów", jawnie zadeklarowanych jako sympatycy Rosji, nie byłoby trudne – niektórzy są skupieni wokół Cerkwi, inni dbają o postsowieckie pomniki. Ale jak naprawdę myśli większość mieszkańców – do którego świata faktycznie należy? Tego nie usłyszy się w jednoznacznej deklaracji typu: „Chcę być w Rosji! Niech nas przyłączą". Rosyjska gra pojęć, „ruski mir", wbrew pozorom jest bardziej subtelna i w wypowiedziach ludzi od Karelii po Morze Kaspijskie przebiega inaczej. Kreml wstrzyknął rosyjskojęzycznym mniejszościom pakiet humanistycznie brzmiących sloganów, które zawsze pomagają usprawiedliwić Rosję. „Nie ma złych narodów, są tylko źli lub dobrzy ludzie" – to niweluje rosyjskie zbrodnie, to nie naród, to przypadkowi zwyrodnialcy gwałcą na Ukrainie. W kontekście przynależności narodowej, aby uniknąć dylematów określenia się jako Estończyk, Białorusin czy Mołdawianin, wystarczy powiedzieć, że „ważne jest, by pozostać człowiekiem". Praktykujących prawosławnych nie zniechęci się do Związku Sowieckiego nawet opowiadaniem o zbrodniach Lenina czy Stalina wobec Cerkwi. „W głębi duszy byli wierzący" – odpowiadają automatycznie. Pozornie brzmi to szlachetnie, a zawsze kończy się ślepotą na naturę rosyjskiego imperium. I właśnie tę ślepotę znajdujemy też w naszych narewskich rozmowach. Valentina, emerytowana nauczycielka rosyjskiego, która wychowała całe pokolenia mieszkańców, osoba wykształcona, oczytana, mieszkająca wśród książek po sam sufit, raczy nas wszystkimi tymi bajkami, dodając jeszcze coś o braterstwie słowiańskich narodów czy nadziei na pokój. Tyle że w praktyce to pragnienie pokoju eksploduje po zajęciu jakiegoś terytorium przez Rosję – sołdaci najpierw napadają, a potem propaganda wzywa do pokoju z uznaniem aneksji. I tacy ludzie wtedy preferują „pokój" – czyli zmianę granicy. Nie, nie mam wątpliwości. Znaczna część tutejszej ludności nie będzie oponować na wypadek rosyjskiego wtargnięcia. Na ile jest ono naprawdę możliwe.



Narva piiripunkt – przejście graniczne w Narwie. Codziennie Rosjanie podróżują tu w jedną i w drugą stronę. „Są naprawdę agresywni, gdy widzą media" – słyszymy.

W cieniu twierdzy Iwana

Wizualnie to naprawdę robi wrażenie. W centrum miasta, niczym igła z wenflonem, wbity jest naziemny, zadaszony korytarz, którym przechodzi się przez most na drugą stronę rzeki, do Iwanogrodu, do Rosji. Codziennie kolejki, codziennie Rosjanie podróżują w jedną i w drugą stronę. Od Denisa, przez tiktokerów, po straż graniczną słyszymy rady i zakazy zbliżania się do tych ludzi. „Są naprawdę agresywni, gdy widzą media" – słyszymy. Ale naprawdę przytłaczająca jest XV-wieczna Twierdza Iwanogrodzka, zbudowana przez księcia Iwana Srogiego – wielka, kamienna, nocą nieoświetlona, sprawiająca wrażenie dekoracji do ekranizacji powieści gotyckiej. Wtedy zbudowana przeciwko Zakonowi





Denis Larchenko, radny miasta Narwa.

Kawalerów Mieczowych, dziś straszy Estonię, Europę i NATO. Według Carlo Masali, autora książki „A jeśli Rosja wygra? Scenariusz", zajęcie przez Rosjan Narwy z Iwanogrodu trwałoby niecałą noc. Podobne obawy wyrażają Institute for the Study of War, Belfer Center z Harvardu czy duńska służba wywiadu obronnego. Ta ostatnia jest o tyle ważna, że w swojej obronności Estonia liczy na państwa skandynawskie oraz Wielką Brytanię, które ponadprzeciętnie interesują się Bałtykiem. „Nauczona historycznym doświadczeniem Estonia szuka potężnych sojuszników, gdyż wie, że sama się nie obroni" – pisał w „Estońskich lekcjach" Ross Allen, były ambasador Wielkiej Brytanii w Tallinie. Wszyscy jednak wiedzą, że ocalenie niepodległości Estonii – jak najbardziej konieczne – nie gwarantuje integralności terytorialnej przy takim położeniu rosyjskojęzycznego miasteczka, przed rozpadem ZSRS de facto będącego w symbiozie z Iwanogrodem po drugiej stronie rzeki.

Zwłaszcza gdy mieszkańcy pewnego dnia obudzą się jako część rosyjskiego imperium i nie będą szczególnie protestowali.

Pełzająca inwazja

W nocy z 22 na 23 maja 2024 roku z rzeki Narwy zniknęło 25 boi granicznych. Rosjanie ściągnęli je, demonstrując, że nie zgadzają się z takim przebiegiem granicy, gdy rzeka stopniowo zmienia swoje koryto. Ale też w ogóle traktat graniczny między Estonią a Rosją nie został ratyfikowany – pewne prowokacyjne ruchy ze strony Kremla są więc do przewidzenia. Tyle że jest to formalne naruszenie granicy, co w zestawieniu z wypowiedziami rosyjskich oficjeli na temat Narwy nie pozwala spać spokojnie. Władimir Putin podczas jednego z historycznych wykładów opowiadał, jak to car Piotr I wcale nie zdobywał tych terenów, „on je odzyskiwał (…). To samo dotyczy kierunku zachodniego, Narwy i jego pierwszych wypraw wojennych. Po co się tam pchał? Odzyskiwał i umacniał – oto, co robił". Jak już dawno wykazał w swoich artykułach prof. Andrzej Nowak, dla Władimira Władimirowicza historia nie jest dodatkiem do polityki, jest źródłem ideologii i wskazówką kierunków ekspansji. Także pretekst do interwencji się szybko znajdzie. Z końcem roku mija ultimatum estońskich władz dla miejscowej Cerkwi, która formalnie podlega patriarsze moskiewskiemu Cyrylowi. Estońska hierarchia prawosławna ma zerwać więzi z Moskwą, ale zwierzchnik Kościoła, metropolita Eugeniusz, już przebywa na terenie Rosji i zarządza swoją wspólnotą na odległość. Tallin nie zamierza ustąpić, Rosja na pewno zareaguje. Czy będzie to kolejna nadgraniczna prowokacja, czy jednak coś większego? **GP**

FOT. EEPO, ARCH.



Maciej
Pawlak
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

TEJ ZIMY „CZARNEGO ZŁOTA" MOŻE BRAKOWAĆ

RYZYKO BRAKU ODPOWIEDNIEJ ILOŚCI WĘGLA I BIERNOŚĆ RZĄDU

Na obecną sytuację na rynku węgla dla gospodarstw domowych i małych kotłowni istotny wpływ ma zaniechanie w ostatnich latach inwestycji w kopalnie węgla w naszym kraju i jego relatywnie niskie wydobycie w Polsce. Wynika to z podporządkowania się obecnego rządu wymogom unijnej zielonej polityki klimatycznej. A także z faktu, że rząd nie podejmuje praktycznie żadnych działań dla zapewnienia odpowiednich ilości węgla, zwłaszcza gospodarstwom domowym.

Na nic się zdały alarmujące doniesienia, że w razie powtórzenia się w najbliższym czasie równie surowej zimy jak ostatnia węgla może zabraknąć. Co robi w takiej sytuacji obecny rząd? Wiceminister klimatu Sławomir Ćwik podczas październikowej konferencji w Sopocie zatytułował swoją wypowiedź: „OZE fundamentem transformacji energetycznej i konkurencyjności gospodarki", po czym dodał: „Transformacja energetyczna stanowi dla Polski ogromną szansę rozwojową". Ani słowa o zaopatrzeniu mieszkań w węgiel.

Niskie wydobycie węgla. Musimy ratować się importem

Choć według różnych szacunków Państwowego Instytutu Geologicznego zasoby węgla (kamiennego i brunatnego) w naszym kraju liczone są w miliardach ton, jego faktyczne wydobycie pozostaje zbyt małe w stosunku do zapotrzebowania, zwłaszcza ze strony gospodarstw domowych w mniejszych ośrodkach, a także małych kotłowni. Aby więc je pokrywać, musimy ratować się importem. Niestety, już we wrześniowym komunikacie Prezydencka Rada ds. Energii i Zasobów Naturalnych sygnalizowała ryzyko braku wystarczającej ilości węgla opałowego w jego bilansie dla gospo-

FOT. ADOBESTOCK



„TANIE OGRZEWANIE”

To projekt ustawy prof. Przemysława Czarnka. Zakłada obniżenie stawki VAT na paliwa stałe, w tym węgiel, pellet i brykiet, do 8 proc., a także zastosowanie 5-proc. stawki VAT na energię elektryczną i ciepło.

darstw domowych i małych kotłowni. Rada oszacowała tę lukę na 1,68 mln ton. Wynika to z faktu, że obecnie krajowe wydobycie „czarnego złota” na potrzeby gospodarstw domowych wynosi 2,77 mln t, co wraz z istniejącym importem (1,8 mln ton) daje w sumie 4,57 mln ton. Tymczasem zapotrzebowanie sięga poziomu 6,25 mln ton.

Jednak we wrześniu br., jeszcze przed rozpoczęciem sezonu grzewczego, brakowało niemal 1,7 mln ton węgla dla zaspokojenia pełnego popytu. Jest to tym bardziej ważne, że – jak informował „Tygodnik Gospodarczy” Polskiego Instytutu Ekonomicznego – aż 94 proc. węgla kamiennego zużywanego przez wszystkie gospodarstwa domowe w całej UE wykorzystuje się właśnie w Polsce.

Propozycje prof. Czarnka – projekt ustawy „Tanie Ogrzewanie”

Nic dziwnego, że w sytuacji bierności rządu w odniesieniu do pomocy gospodarstwom domowym zużywającym węgiel kandydat na premiera PiS prof. Przemysław Czarnek zapowiedział działania legislacyjne mające ograniczyć koszty ogrzewania oraz odciążyć budżety polskich rodzin i przedsiębiorstw. Pod koniec października Czarnek przedstawił projekt ustawy „Tanie Ogrzewanie”, który zakłada obniżenie stawki VAT na paliwa stałe, w tym węgiel, pellet i brykiet, do 8 proc., a także zastosowanie 5-proc. stawki VAT na energię elektryczną i ciepło. Jednocześnie PiS podkreśliło konieczność przeprowadzenia głębszych zmian systemowych. Obejmowałyby one przede wszystkim ograniczenie kosztów wynikających z polityki klimatycznej UE, inwestycje w krajową energetykę, jak również stworzenie korzystniejszych warunków dla rozwoju przedsiębiorczości. „Państwo przede wszystkim musi doprowadzić do sytuacji, w której energia w Polsce, ciepło w Polsce będą tańsze o kilkadziesiąt procent” – zwrócił uwagę Przemysław Czarnek.

Sytuacja najbardziej napięta od czterech lat

Na pytania „GP” ws. prognoz co do dostępności węgla na polskim rynku w nadchodzących miesiącach zimowych wypowiedział się Łukasz Horbacz, prezes Polskiej Izby Gospodarczej Sprzedawców Węgla (PIGSW). Jego zdaniem sytuacja na rynku węgla w Polsce przed nadchodzącą zimą, zwłaszcza gdyby okazała się równie surowa jak ostatnia, jest najbardziej napięta od sezonu 2022/2023, przy czym napięcie dotyczy czasu realizacji dostaw i dostępności konkretnych sortymentów, a nie pustych składów w skali kraju. Od połowy 2024 roku segment węgla opałowego jest znów wolnym rynkiem, a wolny rynek niedobory niweluje importem. Ten mechanizm działa, ale z 2–3-miesięcznym opóźnieniem, i w tym opóźnieniu tkwi całe ryzyko tego sezonu. Ponadto, jak zaznaczył prezes, zapasy przy krajowych kopalniach wyniosły na koniec sierpnia około 2,9 mln ton wobec 5,5 mln ton rok wcześniej, w tym węgla energetycznego 1,6 mln ton; w absolutnej większości są to miały dla energetyki, a nie rezerwa dla gospodarstw domowych. – Co więcej, składy węgla są zatowarowane na relatywnie niskim poziomie: zwłaszcza małe, lokalne składy przy obecnych cenach zakupu nie budują zapasu, kupują po jednym samochodzie i kontraktują kolejną dostawę dopiero wtedy, gdy poprzednia jest prawie sprzedana. Po stronie popytu obecny rok jest inny niż rok 2025. Mroźny I kwartał opróżnił piwnice, więc gospodarstwa kupują pełny zapas, a nie uzupełnienie – dodaje Łukasz Horbacz.

Uratować sytuację może tylko łagodna zima

– Poprzedniej zimy zwały przy kopalniach zmalały z 5,39 mln ton w listopadzie do 2,69 mln ton w maju, czyli o 2,7 mln ton. Ten sezon zaczyna się z poziomu 2,9 mln ton, a prezes największego producenta zapowiedział publicznie, że zapasy spółki na koniec roku będą „praktycznie bliskie zeru”. Przy mroźnej zimie energetyka i ciepłownictwo będą dokupowały węgiel z importu i będą konkurowały z rynkiem opałowym o te same porty, węglarki i trasy. Przy zimie łagodnej bilans domknie import – dodaje prezes Horbacz.

Na pytanie „GP” o to, ile węgla zabraknie, prezes PIGSW odpowiedział, że w skali sezonu nie musi go zabraknąć, jeżeli logistyka importu będzie drożna; w skali tygodni przy mrozie może zabraknąć konkretnego sortymentu w konkretnym regionie. – Krajowe kopalnie pokrywają mniej niż połowę potrzeb gospodarstw domowych, a pozostałe 3–3,5 mln ton rocznie musi pochodzić z importu. Węgiel kazachski i kolumbijski spełnia normy jakości dla gospodarstw domowych z zapasem, czego część krajowego urobku nie spełnia, i w ocenie izby import stanowi w tym sezonie większą część oferty składów w segmencie opałowym. „Luka” jest więc wolumenem, który import musi dostarczyć ponad przyjęte przez prezydencką radę 1,8 mln ton, i import jest w stanie go dostarczyć – dodaje Horbacz. Przy czym ładunek kontraktowany za granicą dziś

dociera na skład za 2–3 miesiące, a październikowe ograniczenia na sieci rosyjskiej ten czas w przypadku Kazachstanu wydłużyły.

Najdroższa zima w ostatnich latach

W swojej wypowiedzi dla „GP" poseł Krzysztof Tchórzewski (PiS), były minister energii, zaznaczył, że czeka nas najdroższa zima w ostatnich latach. – W porównaniu z 2023 rokiem, ostatnim, kiedy rządziło PiS, kiedy staraliśmy się poprawiać byt gospodarstw domowych, obecnie cena węgla wzrosła o 30 proc. Trzeba przy tym dodać, że złotówka nadal trzyma się całkiem dobrze w systemie międzynarodowym dzięki prezesowi NBP Adamowi Glapińskiemu. Zatem ten 30-proc. wzrost cen węgla w ostatnich trzech latach oznacza ich realny wzrost. Przy czym na przykład pellet zdrożał nawet o 64 proc., a ponadto poszły w górę ceny paliw. Obecne władze mogłyby zadziałać w tej sytuacji tak jak my w czasie epidemii COVID, kiedy zrezygnowaliśmy z pobierania podatku VAT na paliwa i surowce. Według naszych szacunków ludziom zostałoby wówczas w kieszeniach 14,5 mld zł. Jednak obecny rząd w tej sytuacji rozkłada bezradnie ręce.

Podobnie uważa poseł Zbigniew Kuźmiuk (PiS). Jego zdaniem obecny rząd zajmuje się innymi sprawami, uznając, że skoro ludzie nie przygotowali się do zimy, są sobie sami winni. – Niewątpliwie w odniesieniu do węgla trzeba było wcześniej naciskać na kopalnie, aby bardziej zwiększyły wydobycie. Zaś w odniesieniu do wysokich cen pelletu stanowią one pochodną polityki wobec przemysłu drzewnego – i to prowadzonej nie od miesiąca czy dwóch. Bowiem ograniczenie jego podaży trwa już od co najmniej dwóch lat, kiedy wprowadzono ograniczenia w wyrębie lasów, co doprowadziło do tego, że o surowiec potrzebny do produkcji pelletu jest coraz trudniej, stąd jego ceny urosły do absurdalnych rozmiarów – mówi Kuźmiuk.

Brak inwestycji w górnictwie

Wojciech Dąbrowski, prezes Fundacji SET, były prezes PGE, w rozmowie z „GP" zwrócił uwagę m.in. na fakt, że w ostatnich latach zaniechano jakichkolwiek inwestycji w górnictwie i brakuje budowy nowych ścian wydobywczych w kopalniach. – Brakuje też wizji co do rozwoju tej branży. Mówi się tylko o zamykaniu kopalń, o likwidowaniu w nich miejsc pracy, a w konsekwencji dochodzi do sytuacji, że brakuje węgla z polskich kopalń – używanego w gospodarstwach domowych, małych ciepłowniach i elektrociepłowniach. Wobec tego pojawia się w tej dziedzinie sytuacja kryzysowa. A gdy pojawią się niedobory, węgiel musi być importowany. Wpłynie to z kolei negatywnie na odbiór społeczny tej sytuacji na Śląsku. Bo siłą rzeczy przemysł górniczy będzie reagował zdecydowanie negatywnie na zwiększenie importu węgla do Polski – mówi. – Tymczasem polski rynek węgla opałowego, zużywający 5–6 mln ton rocznie przy krajowej podaży sortymentów opałowych poniżej 3 mln ton, funkcjonuje w zależności od decyzji administracyjnych kolei rosyjskich, które nie są komunikowane rynkowi europejskiemu i nie podlegają żadnej kontroli z jego strony. Ryzyko powtórzenia ograniczeń w sezonie 2026/2027 oceniałem wtedy jako wysokie i to się potwierdza – dodaje na zakończenie prezes PIGSW. **GP**

Obecnie krajowe wydobycie „czarnego złota" na potrzeby gospodarstw domowych wynosi 2,77 mln t, co wraz z istniejącym importem (1,8 mln ton) daje w sumie 4,57 mln ton. Tymczasem zapotrzebowanie sięga poziomu 6,25 mln ton.



44. EUROPOWER & OZE POWER

44. edycja Konferencji Energetycznej EuroPOWER & OZE POWER odbywa się 5–6 listopada w Warszawie. Debaty podczas wydarzenia organizowanego przez MMC Polska mają skupić się wokół wyzwań nowej ery transformacji energetycznej. Oprócz zagadnień związanych ze stabilnością dostaw, nowoczesnymi źródłami energii, cyberbezpieczeństwem odbędzie się debata nt. „local content w praktyce" – jak zwiększać udział krajowych firm w strategicznych inwestycjach energetycznych i jak wykorzystywać planowane inwestycje do wzmacniania polskiego przemysłu i krajowych łańcuchów dostaw.



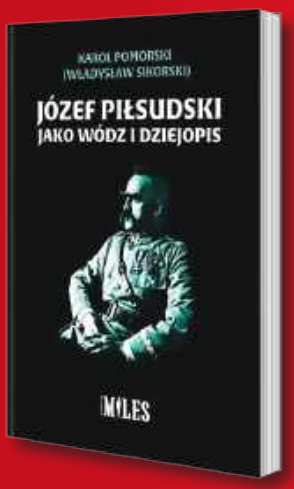
POLSKA BEZ USTAWY REPRYWATYZACYJNEJ

Polska jest jedynym krajem byłego bloku wschodniego, który po 1989 roku nie uchwalił ustawy reprywatyzacyjnej. Zamiast zadośćuczynienia i poszanowania prawa własności dokonywana jest dziś powtórna nacjonalizacja nieruchomości, co pozbawia majątku prawowitych sukcesorów. Jednym z przykładów jest kamienica przy ul. Nowogrodzkiej 10 w Warszawie. Jak poinformowała Fundacja im. XBW Krasickiego, sukcesorzy budynku podpisali wspólny apel do ministra Waldemara Żurka o przywrócenie praworządności i dotrzymanie obietnic przedwyborczych z 2023 roku dotyczących reprywatyzacji.

FOT. PIXABAY, MAT.PRAS.

www.prenumerata.swsmedia.pl

Sklep Gazety Polskiej POLECA



JÓZEF PIŁSUDSKI JAKO WÓDZ I DZIEJOPIS

KAROL POMORSKI (WŁADYSŁAW SIKORSKI)

Wyjątkowa publikacja ukazująca Józefa Piłsudskiego nie tylko jako wybitnego wodza i męża stanu, ale również uważnego obserwatora oraz interpretatora polskiej historii. Autor, ukrywający się pod pseudonimem Karol Pomorski generał Władysław Sikorski, przedstawia fascynującą analizę roli Marszałka w walce o niepodległość i kształtowaniu odrodzonego państwa. To cenna lektura dla wszystkich zainteresowanych historią II Rzeczypospolitej i losami twórców niepodległej Polski.

Format: 145x205 mm | **Liczba stron:** 120 | **Oprawa:** miękka



HISTORIA W OBRAZKACH. OPOWIEŚCI HISTORYCZNE DLA DZIECI

PAWEŁ KOŁODZIEJSKI, ROKSANA SZCZYPTA-SZCZĘCH, MICHAŁ GRUSZCZYŃSKI

Historia Polski przedstawiona w atrakcyjnej, pełnej ilustracji formie, która zachęca najmłodszych do odkrywania dziejów ojczyzny. Autorzy w przystępny i angażujący sposób przybliżają najważniejsze wydarzenia oraz bohaterów, którzy kształtowali losy naszego narodu. To doskonała propozycja dla rodzin pragnących rozwijać patriotyzm i historyczną ciekawość dzieci.

Format: 200x266 mm | **Liczba stron:** 116 | **Oprawa:** miękka



KOCHAM POLSKĘ. WIELKA PODRÓŻ PRZEZ DZIEJE

JOANNA WIELICZKA-SZARKOWA

Fascynująca podróż przez ponad tysiąc lat polskiej historii. Joanna Wieliczka-Szarkowa prowadzi czytelników przez najważniejsze wydarzenia, bitwy i momenty przełomowe, przypominając o bohaterach, którzy budowali siłę i tożsamość naszego kraju. Pięknie wydana książka inspiruje do poznawania narodowego dziedzictwa i stanowi wartościową lekturę szczególnie w okresie Święta Niepodległości.

Format: 195x290 mm | **Liczba stron:** 218 | **Oprawa:** twarda







Naszywka na rzep – Flaga Polski. Niewielki dodatek o wielkim znaczeniu. Naszywka z polską flagą doskonale podkreśli patriotyczny charakter odzieży, plecaka czy wyposażenia outdoorowego. Symbol dumy, pamięci i przywiązania do Polski.

Szalik dzianinowy „Polska – Symbol Dumy i Wolności". Pokaż swoje przywiązanie do Ojczyzny. Stylowy biało-czerwony szalik to doskonały dodatek podczas narodowych uroczystości, wydarzeń sportowych i codziennego noszenia. Noś polskie barwy z dumą!

Kubek 11 Listopada – Duma Niepodległej. Rozpocznij każdy dzień z dumą z biało-czerwonych barw. Wyjątkowy kubek patriotyczny przypomina o wartościach, które łączą Polaków i o odzyskanej niepodległości. Idealny na prezent lub do codziennego użytkowania.

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl | tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl
SKLEP GAZETY POLSKIEJ

SZPITALE WOJSKOWE, CZYLI PACJENT NA OIOM-IE



Konrad **Wysocki**

SYPIE SIĘ KLUCZOWY FILAR BEZPIECZEŃSTWA

W niecałe dwa lata długi wymagalne szpitali wojskowych wzrosły blisko 16-krotnie: z 11,5 mln w 2024 roku do ponad 180 mln zł w połowie bieżącego roku. Zadłużenie rośnie w zawrotnym tempie 60 mln zł co kwartał. Państwo zmusza placówki do utrzymywania gotowości obronnej na wypadek wojny w oparciu o kredyt bez pokrycia. W cieniu wielkiej polityki zbrojeniowej toczy się cicha walka o przetrwanie wojskowej służby zdrowia, bez której skapituluje nawet najpotężniejsza armia świata.

Żeby mieć kim i czym walczyć, trzeba mieć gdzie i jak leczyć. To trywializm, ale patrząc na najnowsze statystyki dotyczące zadłużenia szpitali wojskowych i tempa jego wzrostu, wydaje się, że rządzący całkowicie zapomnieli o kluczowym fakcie – zaplecze medyczne to równie ważny element bezpieczeństwa państwa jak uzbrojenie i liczna armia. Tymczasem w szalenie niebezpiecznych czasach system ratowania życia żołnierzy i rannych z pola walki mierzy się z gigantyczną zapaścią. Mijają kolejne miesiące, a z politycznych deklaracji nic nie wynika. W tym czasie długi drastycznie rosną, o czym w swojej najnowszej analizie ostrzega gen. Grzegorz Gielerak, dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego (WIM) w Warszawie.

20 mln zł długu co miesiąc

Analiza jednego z najwybitniejszych autorytetów w dziedzinie medycyny wojskowej i cywilnej, zamieszczona na Portalu Obronnym i oficjalnym portalu WIM, bije w oczy konkretnymi liczbami. „W 2024 r. zobowiązania wymagalne podmiotów szpitalnych MON wynosiły 11,5 mln zł, czyli 2,4 proc. ich zobowiązań ogółem. Był to najniższy poziom od początku pomiarów w 2010 r. Na koniec czerwca br. dług wymagalny sięgnął 180,3 mln zł, a jego udział w zobowiązaniach ogółem 19,4 proc., najwięcej od 2010 r. i więcej niż średnia krajowa, wynosząca 17,6 proc.” – czytamy. Jak wskazuje gen. Gielerak, „na przełomie września i października Ministerstwo Zdrowia opublikowało dane za drugi kwartał, z których wynika, że dług wymagalny szpitali wojskowych wzrósł [w tym czasie – przyp. red.] o ponad 49 proc.”. Przekładając to na konkretne sumy – na koniec pierwszego kwartału (czyli do marca 2026 roku) było to 120 mln zł długu. Na koniec czerwca – już ponad 180 mln zł. To o 60 mln zł więcej w ciągu trzech miesięcy! Zakładając, że tempo się utrzyma (i nie wzrośnie), do końca 2026 roku trzeba będzie dopisać kolejne 120 mln zł długu.

Wina? Jak najdalej od siebie

Choć szpitale wojskowe spełniają funkcję podmiotów biorących na siebie ciężar polityki obronnej kraju, to państwo… nie zamierza im za to bezpośrednio płacić. Placówka wojskowa ma narzucone od-

FOT. ADOBESTOCK



DZIAŁAĆ!
Wojskowa medycyna nie może być dłużej szufladą, do której dokłada się recepty bez pokrycia. Twarde systemowe finansowanie jest potrzebne natychmiast – w przeciwnym wypadku armia będzie skazana z góry na porażkę.

górnie zadania na czas wojny i kryzysu (na przykład utrzymywanie pustych łóżek i personelu w gotowości). Tę część gotowości, której resort obrony nie zlecił w odrębnej umowie i z góry nie opłacił, szpital musi finansować z własnych środków, zaciągając wirtualny kredyt, pod którym nikt z rządu się oficjalnie nie podpisał. To właśnie absurdalny „kredyt bez pokrycia". W tej chorej grze Ministerstwo Obrony Narodowej umywa ręce od bieżącego finansowania gotowości, stając się „żyrantem mimo woli". Prawo jest jednak bezlitosne: podmiotem tworzącym dla tych szpitali jest szef MON, działający w imieniu Skarbu Państwa. Jeśli szpital w mundurach w końcu zbankrutuje, państwo i tak będzie musiało uregulować jego gigantyczny dług, dodatkowo powiększony o odsetki.

Rządzący zdają się jednak bagatelizować problem, wpadając w kolejne systemowe pułapki. Pierwszą z nich jest zrzucanie winy na rzekomo złe zarządzanie placówkami. Tymczasem dyrektor WIM udowadnia, że nożyce między ustawowo rosnącymi kosztami pracy a dziurawymi wycenami z NFZ rozwarły się tak mocno, że żaden dyrektor wojskowego szpitala nie ma już na to wpływu. Drugim złudzeniem jest wiara, że zapaść uleczą inwestycje infrastrukturalne. W 2025 roku MON przekazał na inwestycje budowlane i sprzętowe blisko 350 mln zł. Teza jest prosta – pompuje się miliony w mury, ale nie daje się ani grosza na ich bieżącą obsługę. Widocznie tak trudno zrozumieć fakt, że nowe skrzydło szpitala nie leczy, tylko generuje koszty. Wreszcie trzecia pułapka to odtrąbiony politycznie sukces reaktywacji Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Uczelnia ta nie uratuje systemu tu i teraz, bo pierwszych pełnoprawnych absolwentów wypuści najwcześniej za siedem lat, w 2033 roku. Tymczasem fundusze na gotowość obronną muszą znaleźć się natychmiast, wprost z budżetu. To nie fanaberia, lecz twardy wymóg NATO, który nakazuje państwom członkowskim przeznaczać do 2035 roku do 1,5 proc. PKB na bezpieczeństwo i odporność, w tym na wydolność szpitali. „Dopóki państwo nie zapłaci za gotowość z góry, szpitale będą finansować jej koszt na kredyt" – podsumowuje generał.

Można poprawić sytuację

Generał Gielerak proponuje trzy konkretne kroki, by zahamować tempo finansowej gangreny trawiącej system. Po pierwsze, resort obrony musi niezwłocznie skorzystać z obowiązujących przepisów i przeciąć spiralę zadłużenia, pokrywając straty netto placówek na 2025 rok. Każdy kolejny miesiąc opieszałości to miliony złotych wyrzucane w błoto na obsługę odsetek, podczas gdy szpitale coraz częściej borykają się z opóźnieniami w wypłacaniu pensji medykom. Dalej konieczne jest stworzenie tytułu prawnego dla tej działalności. Wojskowa medycyna nie może dłużej żywić się finansowymi resztkami ze stołu cywilnego NFZ. Koszt pełnej gotowości na wypadek konfliktu powinien spoczywać na resorcie, który tę wojnę realnie planuje powstrzymać. W tym wypadku jest to MON. Wzorem Niemiec czy Francji gotowość obronna musi zyskać stałe, uregulowane prawnie źródło finansowania, pochodzące wprost z budżetu państwa. Wreszcie, jak wskazuje gen. Gielerak, należy uczciwie wycenić personel. Rządzącym wciąż wydaje się, że gotowość to głównie magazyny, łóżka i mury. Musi jednak ktoś przy nich stać i leczyć w godzinie „W". Dyrektor WIM postuluje wdrożenie natychmiastowego audytu, który realnie wyceni koszt utrzymania personelu w trybie dyżurowym i rezerwowych zasobów.

Zamiast rdzewieć – działać

Dla niektórych szpitali niewydolny system okazał się jednak zabójczy, pozbawiając je konkurencyjności na lokalnych rynkach medycznych. Nie ma kto w nich leczyć, sprzęt zbiera kurz, a długi paraliżują wszelkie ruchy. Tu gen. Gielerak rzuca na stół najbardziej kontrowersyjną, a zarazem najbardziej pragmatyczną propozycję, zwaną „czwartą drogą". Dla najsłabszych ośrodków wojskowych ratunkiem ma być... całkowite przeobrażenie i fuzja z cywilnymi uczelniami medycznymi. Zamiast wegetować, wojskowy szpital kliniczny mógłby stać się autonomiczną częścią potężnego uniwersyteckiego centrum. Model ten – z powodzeniem testowany m.in. przez armię USA – zakłada logiczny podział ról. Cywilni specjaliści biorą na siebie ostre przypadki z zakresu ratowania życia i wysoce specjalistyczne procedury, a wojskowi lekarze skupiają się na dziedzinach o krytycznym znaczeniu dla armii, czyli m.in. na chirurgii rekonstrukcyjnej, ortopedii zaplanowanej czy protetyce.

Miliardy pompowane w zbrojenia nie przykryją faktu, że bez wydolnej służby zdrowia wojsko to nic innego jak kolos na glinianych nogach. Wojskowa medycyna nie może być dłużej szufladą, do której dokłada się recepty bez pokrycia. Twarde systemowe finansowanie jest potrzebne natychmiast, gdyż w przeciwnym wypadku armia będzie skazana z góry na porażkę. **GP**

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

Kluby „GP” w obronie konstytucji, pamięci i polskiej historii

W Poznaniu i Lubomierzu dyskutowano o prawie i sytuacji konstytucyjnej państwa, we Wrocławiu pożegnano 49 ofiar komunistycznego terroru, a w Ostrowcu Świętokrzyskim uczczono 110. rocznicę urodzin gen. Antoniego Hedy „Szarego”. W Tomaszowie Mazowieckim klubowicze „GP” uczestniczyli w upamiętnieniu mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, a także pomogli odnaleźć i uporządkować miejsce jego pierwszego pochówku.

POZNAŃ | Bardzo dużym zainteresowaniem cieszyło się spotkanie zorganizowane przez Klub „Gazety Polskiej” w Poznaniu. Gośćmi wydarzenia byli sędziowie Kamila Borszowska-Moszowska i Piotr Schab oraz dr Oskar Kida. Rozmawiano o zagadnieniach prawnych i sytuacji wymiaru sprawiedliwości. Jak relacjonowali organizatorzy, sala była wypełniona po brzegi, co pokazało duże zainteresowanie uczestników tematyką spotkania.

LUBOMIERZ | W Lubomierskim Centrum Kultury odbyło się spotkanie z dr. Oskarem Kidą, doktorem nauk prawnych i konstytucjonalistą. Głównym tematem był spór o Trybunał Konstytucyjny oraz związane z nim zagadnienia dotyczące ustroju państwa i prawa konstytucyjnego. W wydarzeniu uczestniczyli również klubowicze z Jeleniej Góry. Prelegent przedstawił swoją książkę „Kompetencja Prezydenta RP do powoływania sędziów”, poświęconą konstytucyjnym uprawnieniom głowy państwa. Po wykładzie uczestnicy mogli porozmawiać z autorem i otrzymać autograf.

ALEKSANDRÓW ŁÓDZKI | Klub „Gazety Polskiej” w Aleksandrowie Łódzkim zorganizował spotkanie, podczas którego odbyło się wyjazdowe wydanie programu Telewizji Republika „Miłosz Kłeczek z półobrotu”. Gośćmi spotkania byli wicepremier Jacek Sasin i poseł Marek Jakubiak. Głównymi tematami rozmowy były sytuacja polityczna w Polsce oraz perspektywy współpracy ugrupowań prawicowych przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi. Jacek Sasin podkreślał potrzebę zjednoczenia prawicy i budowy wspólnej listy wyborczej, natomiast Marek Jakubiak zwracał uwagę na znaczenie zachowania odrębności poszczególnych ugrupowań. Obaj politycy mówili również o społecznym zaangażowaniu w kontrolę przebiegu wyborów.

DŁUGOŁĘKA | Gościem tamtejszego klubu „Gazety Polskiej” był Stanisław Srokowski, pisarz, poeta, dramaturg i publicysta, od lat zajmujący się historią Kresów Wschodnich oraz losami



Spotkanie Klubu „GP” Aleksandrów Łódzki.

polskiej ludności na tych terenach. Spotkanie stało się poruszającą lekcją historii, opartą również na osobistych doświadczeniach pisarza. Stanisław Srokowski wspominał dzieciństwo na ziemi tarnopolskiej, tragiczne wydarzenia związane ze zbrodniami popełnianymi na ludności polskiej oraz powojenne wysiedlenia. Opowiadał także o przedwojennej Polsce i znaczeniu Kresów Wschodnich dla polskiej kultury, nauki i życia społecznego. Przypominał wybitnych twórców i uczonych związanych z tymi ziemiami, wskazując na ich wkład w rozwój polskiego dziedzictwa narodowego. Wspomnienia pisarza wywołały żywą dyskusję. Swoją historią związaną z Kresami podzieliła się również Danuta Galiak. Jak podkreślali organizatorzy, rozmowy z gościem trwały jeszcze długo po zakończeniu oficjalnej części spotkania.

Klubowicze „Gazety Polskiej” z Długołęki uczestniczyli także w uroczystym pochówku 49 ofiar reżimu komunistycznego – żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego. Na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu zgromadzili się członkowie rodzin zamordowanych, przedstawiciele instytucji państwowych i liczni uczestnicy uroczystości. Po mszy świętej w kaplicy cmentarnej kondukt żałobny z 49 trumnami przeszedł do Kwatery Żołnierzy Niezłomnych. W uroczystości uczestniczyli prezydent RP Karol Nawrocki oraz prof. Krzysztof Szwagrzyk, od lat zaangażowany w poszukiwania i identyfikację ofiar komunistycznego terroru.

OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI | Klubowicze „Gazety Polskiej” w Ostrowcu Świętokrzyskim uczcili 110. rocznicę urodzin gen. Antoniego Hedy „Szarego”, żołnierza Armii Krajowej, legendarnego dowódcy i uczestnika walki o niepodległość Polski. Obchody obejmowały wykład Zbigniewa Tyczyńskiego pt. „Dowódca, który nie pozostawia swoich” oraz otwarcie wystawy poświęconej generałowi, przygotowanej przez Instytut Pamięci Narodowej. W Kolegiacie św. Michała Archanioła odprawiono mszę świętą w intencji generała. Następnie uczestnicy udali się pod pomnik Armii Krajowej, gdzie złożyli wieńce i zapalili znicze. Uroczystość była wyrazem pamięci o człowieku, który poświęcił życie walce o wolną Polskę, a także przypomnieniem o obowiązku przekazywania tej historii kolejnym pokoleniom.

FOT. ARCH.



TOMASZÓW MAZOWIECKI II | Członkowie tamtejszego klubu „Gazety Polskiej” uczestniczyli w uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy upamiętniającej mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala” oraz jego żołnierzy. Tablicę umieszczono przed wejściem do kościoła św. Jadwigi w Tomaszowie Mazowieckim. Organizatorem uroczystości było Stowarzyszenie „Hubalowa Rodzina”. Po apelu poległych odprawiono mszę świętą w intencji „Hubala” i jego żołnierzy, a następnie odbył się koncert patriotyczny w wykonaniu zespołu wokalnego Hubal z Hrubieszowa. Na szczególne podkreślenie zasługuje również zaangażowanie członków klubu „GP” w działania na rzecz zachowania pamięci o legendarnym majorze. We współpracy ze Stowarzyszeniem „Wizna 1939”, którego przewodniczącym jest Dariusz Szymanowski, autor książki „Tu spoczywa Hubal. Nowe ustalenia”, klubowicze odnaleźli, uporządkowali i upamiętnili miejsce pierwszego pochówku Henryka Dobrzańskiego. Historię tego miejsca przedstawili także ks. dziekanowi Zygmuntowi Niteckiemu, proboszczowi Parafii Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Tomaszowie Mazowieckim.

WĘGIERSKA GÓRKA | Przedstawiciele Klubu „Gazety Polskiej” Węgierska Górka wzięli udział w uroczystości upamiętniającej por. Stanisława Kopika, dowódcę oddziału VII Okręgu Śląsko-Cieszyńskiego Narodowych Sił Zbrojnych, zamordowanego przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa w Warszawie w 1948 roku. Uroczystość odbyła się przy obelisku na polanie Zapolanka, położonej przy żółtym szlaku prowadzącym z Rajczy-Nickuliny w kierunku Hali Lipowskiej i Rysianki. Pomnik upamiętnia również mieszkańców okolicznych miejscowości, którzy udzielali pomocy partyzantom. W programie znalazły się: polowa msza święta, apel pamięci, złożenie kwiatów, zapalenie zniczy oraz wspólny śpiew pieśni patriotycznych.

KIELCE-CENTRUM | Klubowicze „Gazety Polskiej” Kielce-Centrum po raz kolejny uczestniczyli w Zaduszkach Kajetanowskich, zorganizowanych dla upamiętnienia żołnierzy Wojska Polskiego poległych w walkach stoczonych w lasach kajetanowskich podczas kampanii wrześniowej 1939 roku. W wydarzeniu uczestniczyli zarówno mieszkańcy okolicznych miejscowości, jak i przyjezdni. Uczestnicy przemierzali leśną trasę od Kajetanowa do Barczy, zatrzymując się przy żołnierskich mogiłach. Odmawiano „Koronkę do miłosierdzia Bożego” i modlitwy za zmarłych, składano kwiaty oraz zapalano znicze.

GLIWICE | Klub „Gazety Polskiej” im. Marszałka Józefa Piłsudskiego uczcił 98. rocznicę śmierci gen. broni Tadeusza Jordana-Rozwadowskiego, wybitnego polskiego dowódcy wojskowego. Klubowicze przypomnieli postać generała i jego zasługi dla odzyskania oraz obrony niepodległości, podkreślając potrzebę pielęgnowania pamięci o wszystkich bohaterach polskiej historii, niezależnie od sporów, które dzieliły ich za życia.

TORUŃ | Członkowie tamtejszego klubu „Gazety Polskiej” oraz mieszkańcy Torunia przybyli do sądu okręgowego, aby okazać wsparcie Izabeli Majewskiej w związku z rozprawą apelacyjną w jej sprawie. Uczestnicy liczyli na możliwość obecności na sali rozpraw, jednak postępowanie odbyło się z wyłączeniem jawności i publiczność nie została wpuszczona.

Działalność Klubów „Gazety Polskiej” obejmuje zarówno uczestnictwo w bieżących wydarzeniach publicznych, jak i systematyczną pracę na rzecz lokalnych społeczności. Spotkania z ekspertami, troska o pamięć historyczną, inicjatywy obywatelskie i wzajemna pomoc pozostają ważnymi elementami tej aktywności. **GP**

NOWE KLUBY „GP”, ZMIANY I REAKTYWACJE

LĘBORK – nową przewodniczącą została Katarzyna Urban, tel.: 515 263 203, e-mail bez zmian: klubgp.lebork@gmail.com. Pan Piotr Wichert zostaje Honorowym Przewodniczącym, gratulujemy!

ZAPROSZENIA klubowe

BRANIEWO – spotkanie z prof. Sławomirem Cenckiewiczem, posłem Andrzejem Śliwką i red. Michałem Rachoniem. 4 listopada, godz. 18, Braniewskie Centrum Kultury, sala widowiskowo-kinowa, Braniewo.

WARSZAWA – Kluby „GP” zapraszają na Marsz Niepodległości 11 listopada.

CZĘSTOCHOWA – zapraszamy na pielgrzymkę na Jasną Górę 14 listopada o godz. 12. Podczas mszy św. nastąpi Akt Zawierzenia Klubów „Gazety Polskiej” Matce Bożej w Kaplicy Cudownego Obrazu. Nabożeństwo poprowadzi ks. prof. Jarosław Wąsowicz.

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP”

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP”

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP”

Biuro Klubów „GP”: ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

RADOŚĆ!

Wielu Polaków w Akcie 5 listopada witało zmartwychwstanie Polski: w kościołach śpiewano „Te Deum”, radowano się powrotem – zakazanych przez z górą 80 lat – barw biało-czerwonych.



Tomasz **Panfil**

„Wskrzeszenie i rozkwit”

110. ROCZNICA AKTU 5 LISTOPADA

Pod koniec 1916 roku tocząca się od dwóch lat wojna w pełni zasługiwała na miano wojny totalnej. Po pierwsze, brały w niej udział całe państwa i całe narody, nie tylko ich armie. Gospodarki zostały przestawione na produkcję wojenną, nie działał wolny rynek, rządy ustalały rodzaj i wielkość produkcji, wyznaczały płace i normy żywnościowe. Po drugie, im dłużej trwała wojna, im większy wysiłek wkładały w nią obie strony konfliktu, tym trudniej było o jej zakończenie na warunkach innych niż zwycięstwo absolutne: gigantyczne koszty i niezmierne ofiary domagały się godziwej zapłaty. Dla znacznej części Polaków jedynym sprawiedliwym wynagrodzeniem mogło być tylko wolne i własne państwo.

Od początku wojny niezwykle istotną pozycję w układzie sił na świecie zajmowały neutralne Stany Zjednoczone. Niemal od momentu swego powstania USA starały się trzymać z dala od spraw niedotyczących bezpośrednio ich interesów (doktryna Monroego). Jeszcze w 1914 roku prezydent Wilson przestrzegał swych rodaków, by pozostali „neutralni tak w myślach, jak i w czynach”. Stopniowo jednak Ameryka coraz wyraźniej brała stronę aliantów. Początkowo było to zaangażowanie ekonomiczne: walczące państwa nabywały w Stanach Zjednoczonych olbrzymie ilości broni, surowców i żywności. Początkowo kupowały za wierzytelności amerykańskie w europejskich bankach, potem same zaczęły zaciągać kredyty w bankach amerykańskich. Serca i portfele Amerykanów były coraz wyraźniej po stronie aliantów.

Plany, nadzieje i obawy

Latem 1916 roku obie strony, pewne zwycięstwa, sformułowały swoje oczekiwania co do przyszłego wyglądu świata. Dlatego też fiaskiem kończyły się inicjatywy prezydenta USA Woodrowa Wilsona kilkakrotnie proponującego zaprzestanie walk i zwołanie konferencji pokojowej. Alianci wprawdzie mówili o demokracji i sprawiedliwości, nie odżegnywali się jednak od korzyści terytorialnych: Anglia chciała wpływów w Zatoce Perskiej, Francja oprócz odzyskania Alzacji i Lotaryngii miała ochotę na Zagłębie Saary i Nadrenię, Rosja zaś na Prusy Wschodnie. Posiadłościami Turcji podzielić się mieli wszyscy. Pod koniec 1916 roku nie mówiło się jeszcze o żadnych zdobyczach kosztem Austro-Węgier. Alianci mieli nadzieję, że słabnące i coraz bardziej uzależniające się od Niemiec Austro-Węgry zechcą zakończyć niekorzystną dla siebie wojnę i zawrą separatystyczny pokój. Politycy austrowęgierscy coraz bardziej obawiali się rozpadu monarchii: politycy z mniejszości narodowych – Polacy, Czesi, południowi Słowianie – aktywnie działali na rzecz uzyskania niepodległości przez ich kraje. W 1916 roku po 68 latach rządów zmarł cesarz Franciszek Józef i nikt nie miał wątpliwości, że dawne imperium umarło wraz z nim. Nowy cesarz Karol I i nowy minister spraw zagranicznych, hrabia Czernin, skłonni byli do daleko idących kompromisów.

Mitteleuropa

W wizji niemieckiej Europa Środkowa – od Belgii po Ukrainę – miała być unią półsuwerennych państw połączonych w jeden organizm ekonomiczny, pod kuratelą wielkich Niemiec. Koncepcja ta zyskała miano Mitteleuropy. Już od 1914 roku Niemcy prowadzili rozmowy z politykami narodów zniewolonych przez Rosję: Polakami, Finami, Łotyszami, Estończykami, Ukraińcami, a nawet z Gruzinami. Niemcy chcieli osłabić Rosję oraz wzmocnić swe siły zbrojne oddziałami narodów imperium rosyjskiego. Najbardziej atrakcyjnym partnerem byli Polacy – największa nacja tej części Europy. Polskie Legiony walczyły z Rosjanami po stronie państw centralnych od początku wojny, a niechęć do Rosji była na tyle silna, by idea związku z Niemcami zyskała zwolenników. Jej największym minusem było utrzymanie podziału Polski, utrwalenie odepchnięcia od Bałtyku oraz – przed czym najmocniej przestrzegał Roman Dmowski – ryzyko wykorzenienia kulturowego, jako że to Niemcy, kraj o najwyższej w świecie kulturze (jak powszechnie oceniano), mogły realnie doprowadzić do depolonizacji.

Polskie zamiary, polska krew

Lato 1916 roku upłynęło pod znakiem zaostrzającego się konfliktu Piłsudskiego, polityków socjalistycznych i oficerów legionowych z Departamentem Wojskowym NKN, na którego czele stał Władysław Sikorski. Sikorski chciał szerokiej rekrutacji, Piłsudski, przewidując przegraną państw centralnych, wyczekiwał sposobnego momentu do porzucenia dotychczasowych sojuszników. Nastroje były złe, zwłaszcza w obliczu potężnej ofensywy rosyjskiej, którą przeprowadził generał Brusiłow. Legiony – pierwszy i jedyny raz walczące w pełnym składzie trzech brygad – biły się zacięcie i krwawo, zwłaszcza w trzydniowej bitwie pod Kostiuchnówką w początkach lipca, gdzie mimo czterokrotnej przewagi wroga nie pozwoliły się rozbić i utrzymały ciągłość linii frontu, ale kosztem straty blisko 2 tys. żołnierzy. Ogrom strat wywoływał przygnębienie, jednak ziarno zasiane przez bitnych, odważnych i zdyscyplinowanych polskich żołnierzy ochotników na polach

FOT. WIKIMEDIA

pod Kostiuchnówką, wrażenie, jakie Legiony zrobiły wtedy na politykach i generałach państw centralnych, miało przynieść plon jesienią. Już w sierpniu gen. Erich Ludendorff wysłał do Berlina memoriał, w którym przewidywał, że stworzenie polskiej armii może dać Niemcom końcowe zwycięstwo, i postulował, by obiecać Polakom jakąś formę własnego państwa.

Ignacy Daszyński tak podsumował sytuację z jesieni 1916 roku: „W roku 1914 wystarczała koncepcja Legionów, tj. wojska bez państwa; w dwa lata później już ten pomysł się wyczerpał. Kto chciał sięgnąć po rekruta polskiego, musiał obiecać bodaj formalnie państwo polskie".

Akt 5 listopada

Obietnica ta padła 5 listopada w manifeście dwóch cesarzy, ogłoszonym równocześnie w stolicach obu okupacji Królestwa: niemieckiej – w Warszawie przez Hansa von Beselera – i austriackiej – w Lublinie przez Karla Kuka.

„Przejęci niezłomną ufnością w ostateczne zwycięstwo ich broni i życzeniem powodowani, by ziemie polskie przez waleczne ich wojska ciężkimi ofiarami panowaniu rosyjskiemu wydarte do szczęśliwej przywieść przyszłości, Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki i Jego Cesarska i Królewska Mość Cesarz Austrii i Apostolski Król Węgier postanowili z ziem tych utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem. Dokładniejsze oznaczenie granic zastrzega się. Nowe królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię potrzebną do swobodnego sił swych rozwoju. We własnej armii nadal żyć będą pełne sławy tradycje wojsk polskich dawniejszych czasów i pamięć walecznych polskich towarzyszy broni we wielkiej obecnej wojnie. (…) Sprzymierzeni monarchowie, biorąc należny wzgląd na ogólne warunki polityczne Europy, jako też na dobro i bezpieczeństwo własnych krajów i ludów, żywią niezłomną nadzieję, że obecnie spełnią się życzenia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego".

Nikt oczywiście nie miał wątpliwości, że w Akcie 5 listopada chodziło głównie o wyciągnięcie z Królestwa kilku dywizji ochotników. Jednak istotne dla przyszłych działań niepodległościowych stało się przyznanie przez dwóch zaborców przed całym światem, że Polska ma prawo do niepodległości. Sprawa państwa polskiego stanęła wreszcie na arenie polityki międzynarodowej. Alianci, uważający dotychczas, że kwestia polska jest wewnętrzną sprawą Rosji, zaczęli wywierać naciski na cara, by i on obiecał Polakom państwo. Tak też się stało.

„Te Deum laudamus"

Wielu Polaków w Akcie 5 listopada witało zmartwychwstanie Polski: w kościołach śpiewano „Te Deum", radowano się powrotem – zakazanych przez z górą 80 lat – barw biało-czerwonych, poczęto mocno angażować się w budowę instytucji obywatelskich.

Niemieckie i austro-węgierskie władze okupacyjne Królestwa Polskiego pierwsze działania wynikające z zapowiedzi zawartych w Akcie 5 listopada podjęły już w grudniu 1916 roku, kiedy rozpoczęto tworzenie Tymczasowej Rady Stanu. TRS zaś w pierwszej kolejności zaczęła prace nad budową polskiego szkolnictwa oraz wymiaru sprawiedliwości. We wrześniu 1917 roku działalność zainaugurowały setki szkół polskich, a także Sąd Najwyższy, na czele którego stanął Stanisław Pomian-Srzednicki.

Również w grudniu 1916 roku utworzono Polską Krajową Kasę Pożyczkową. Wprawdzie de facto była ona kontrolowana przez Bank Rzeszy Niemieckiej, ale w kwietniu wyemitowała serię banknotów o nominałach od pół do 100 marek polskich. Ich dominującym motywem był orzeł biały w koronie otwartej w polu czerwonym, umieszczony na barokowym kartuszu.

Warszawskie Towarzystwo Artystyczne, na polecenie niemieckiej administracji Królestwa, ogłosiło konkurs na polskie znaczki pocztowe. Wprawdzie władze okupacyjne nie powołały Poczty Polskiej, ale usługi doręczania przesyłek i przekazów świadczyły poczty samorządowe. W konkursie udział wzięło 32 artystów, którzy nadesłali 148 projektów znaczków. Większość grafik zawierała motywy patriotyczne, choćby nieoczywiste. Cenzura niemiecka na przykład nie dopuściła do publikacji pokonkursowej znaczków z widokami Kruszwicy, Gniezna i Krakowa – traktując te miasta jako niemieckie i austriackie, a nie polskie. Trzynaście nagrodzonych projektów wprawdzie wydrukowano, ale do obiegu pocztowego weszły dopiero w wolnej Polsce.

Na początku 1918 roku Rada Regencyjna utworzyła Główny Urząd Statystyczny, najdłużej działającą centralną instytucję polską pod niezmienioną nazwą.

Wschodzi słońce zbawienia

Akt 5 listopada okazał się pierwszym wyłomem w murze oddzielającym Polskę od wolności i suwerenności. Upadek caratu, tego „zbutwiałego drzewa rosnącego na bagnie", oraz proklamacja rządu republikańskiej Rosji z 30 marca 1917 roku, przyznająca narodowi polskiemu prawo do posiadania własnego państwa, rozwiązywały ręce państwom zachodnim i otwierały drzwi do działań dyplomatycznych prowadzonych przez działaczy narodowych, z Romanem Dmowskim i Ignacym Paderewskim na czele. W kwietniu i maju 1917 roku niemal całkowicie załamała się koncepcja „austro-polska" – 16 maja przegłosowano rezolucję przygotowaną przez posłów PSL: „Polskie Koło Sejmowe stwierdza, że jedynym dążeniem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległej zjednoczonej Polski z dostępem do morza i uznaje się solidarnym z tym dążeniem. Polskie Koło Sejmowe stwierdza dalej międzynarodowy charakter tej sprawy i uznaje jej urzeczywistnienie za porękę trwałego pokoju".

W styczniu 1918 roku prezydent Wilson ogłosił deklarację amerykańskich celów wojny, której punkt 13 mówił: „Należy stworzyć niezawisłe państwo polskie, które powinno obejmować terytoria zamieszkane przez ludność bezsprzecznie polską, któremu należy zapewnić swobodny i bezpieczny dostęp do morza i którego niezawisłość polityczną i gospodarczą oraz integralność terytorialną należy zagwarantować paktem międzynarodowym". W lutym nawet uległa wobec Niemiec Rada Regencyjna ogłosiła, że działa w imieniu suwerena, którym jest naród polski. Już niedługo miała spełnić się wieszcza wizja Adama Mickiewicza: zapał tworzył cuda, pryskały „nieczułe lody i przesądy światło ćmiące;/ Witaj, jutrzenko swobody,/ Zbawienia za tobą słońce!". GP

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / REFLEKSJA, MODLITWA I TĘSKNOTA }



ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

Świętych **obcowanie**

W tych dniach w naszej wspólnocie szczególnie wybrzmiewa jeden z dogmatów naszej katolickiej wiary, obecny w „Składzie apostolskim", czyli „świętych obcowanie" (łac. communio sanctorum).

Oznacza on duchową łączność i wspólnotę między wszystkimi, którzy uwierzyli w Chrystusa, a więc członkami Kościoła walczącego (pielgrzymującego), który tworzą wszyscy żyjący na ziemi chrześcijanie, wciąż zmagający się z trudnościami codziennego życia, ze swoimi ograniczeniami i z grzechem; Kościoła oczyszczającego się, czyli duszami przebywającymi w czyśćcu, pokutującymi za swoje grzechy; Kościoła triumfującego, który tworzą zbawieni, święci i aniołowie przebywający w niebie. Żyjący modlą się za zmarłych, na przykład dusze w czyśćcu cierpiące, a ci z naszej wspólnoty, którzy są już w niebie, wstawiają się u Boga za żyjącymi. Wszyscy razem dzielimy się łaskami, modlitwą wstawienniczą, sakramentami, dobrymi uczynkami. Stąd w liturgii Kościoła, aby przypomnieć o tych łączących nas więzach, 1 listopada przeżywamy uroczystość Wszystkich Świętych, a dzień później, 2 listopada, Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych.

Wszystkich Świętych to radosna uroczystość ku czci zbawionych w niebie, zarówno świętych ogłoszonych przez Kościół, jak i anonimowych osób, których jest znacznie więcej niż oficjalnie wyniesieni na ołtarze błogosławieni i święci. Wywodzi się ona z wczesnochrześcijańskiego kultu męczenników i kształtowała się przez kilka stuleci, zanim przybrała obecną formę. Uroczystość Wszystkich Świętych przypomina nam właśnie tę prawdę, że każdy z nas został powołany do świętości i jest ona w naszym zasięgu. Dlatego warto się przypatrywać postaciom naszych braci i sióstr wyniesionych na ołtarze, studiować ich życiorysy. Osobiście robię to bardzo często – w zasadzie od dzieciństwa po dziś dzień – i wiele mi to daje. Pewnie każdy z nas ma swoich ulubionych świętych, bliskich nam z różnych względów. Kiedy pochylimy się nad ich historią i duchowym dziedzictwem, które po sobie pozostawili, przekonamy się wówczas, że niczym się od nas nie różnili. Przeszli tę samą drogę, którą my jeszcze kroczymy. Musieli o niebo walczyć, pokonując wiele trudności, które i my codziennie pokonujemy. Naprawdę wiele można się od nich nauczyć. Dzisiaj wspierają nas w niebie i warto o ich wstawiennictwo się modlić. Mamy tam potężnych patronów! Potrafią być skuteczni. Sam przekonałem się o tym wielokrotnie.

W czasach PRL-u władze komunistyczne próbowały zlaicyzować dzień Wszystkich Świętych, oficjalnie forsując neutralne nazwy „Święto Zmarłych" lub „Dzień Wszystkich Zmarłych", aby odciągnąć uwagę obywateli od religijnego charakteru uroczystości. Można się łatwo o tym przekonać, sięgając do starych kalendarzy. Tymczasem Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych obchodzimy dzień później, nie w uroczystość Wszystkich Świętych. Myślę jednak, że dla nas samych, a na pewno dla naszych zmarłych, nie ma chyba większego znaczenia, kiedy chodzimy na cmentarze, a naszą piękną tradycją jest to, że odwiedzamy je w tych dniach tłumnie. Spotykamy się na grobach naszych bliskich, aby się za nich pomodlić, zapalić znicz pamięci, spotkać się w rodzinnym gronie, przypomnieć sobie, jak wiele zawdzięczamy tym, których nie ma już pośród nas. Takie przeżywanie tego czasu jest najbardziej właściwe i warto zadbać o to, by nie popaść w tym względzie w płyciznę. A da się ją niestety zaobserwować, kiedy w tych dniach wielu dosłownie biega po cmentarzach, od jednego grobu do drugiego, z chryzantemami i reklamówką zniczy. Byleby jak najszybciej „obrobić" jak najwięcej grobów i mieć za sobą spełniony obowiązek. Tymczasem te dni, aby dobrze je przeżyć, wymagają zatrzymania, refleksji, modlitwy, tęsknoty za tymi, którzy odeszli. Grób jest tylko symbolem, podobnie jak kwiaty i światełka, które zapalamy, a zmarli żyją w nas, w naszej pamięci, dopóki ich wspominamy. Dajemy wówczas świadectwo o tym, że miłość do bliskich nie kończy się na cmentarzu, ona wciąż trwa w naszych sercach. **GP**

Pewnie każdy z nas ma swoich ulubionych świętych. Kiedy pochylimy się nad ich historią i duchowym dziedzictwem, przekonamy się wówczas, że niczym się od nas nie różnili.

WĘGIERSKA IRREDENTA '56

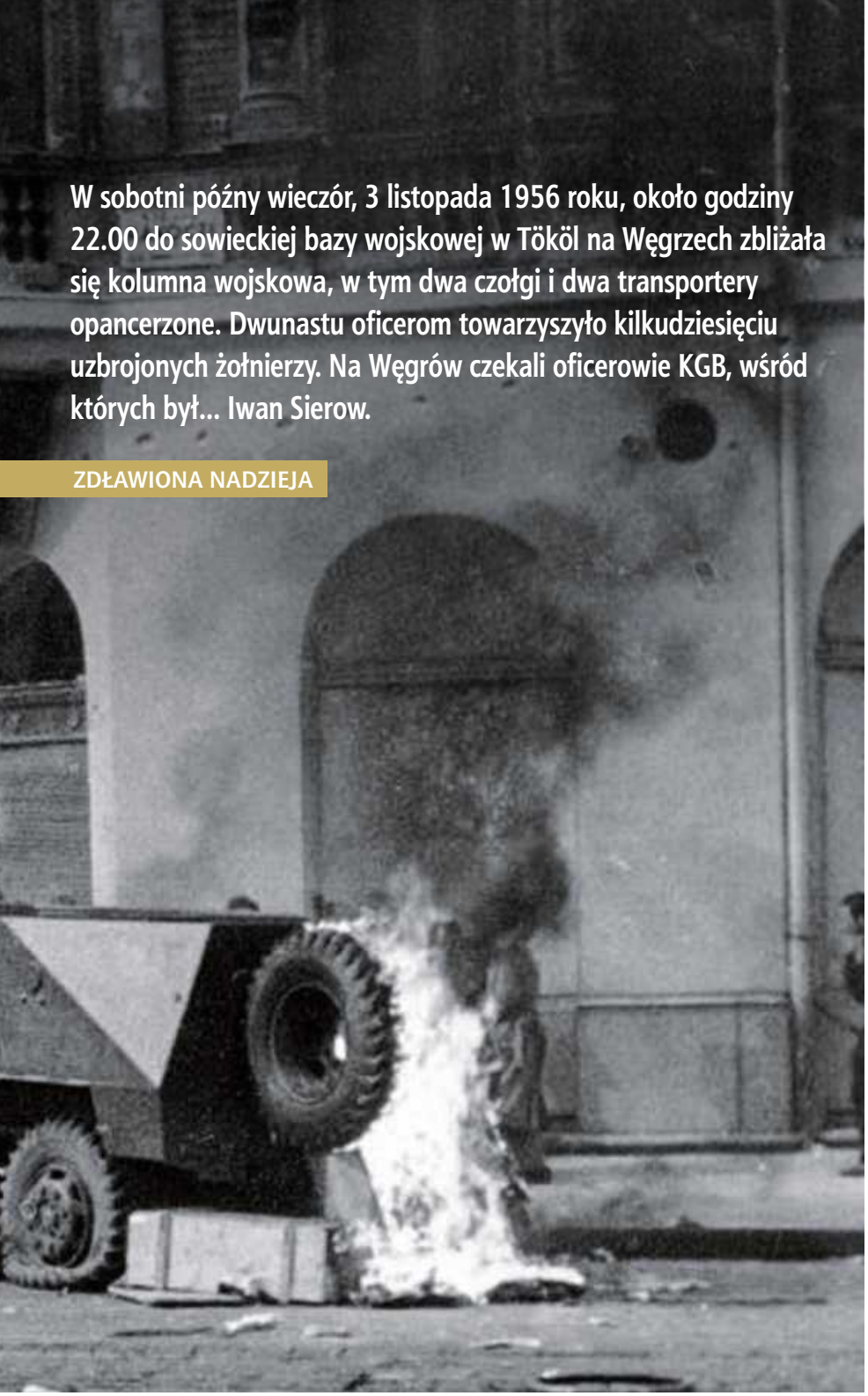


FOT. ARCH.

Sebastian **Reńca**

Dwa dni wcześniej – 1 listopada 1956 roku – zachodni dziennikarze relacjonujący węgierską rewolucję pojawili się w koszarach, by porozmawiać z oficerem, który przeszedł na stronę powstańców. „Ubiegłej środy na rozkaz ministra obrony udałem się wraz z pięcioma samochodami pancernymi do koszar Kiliana, które miałem uwolnić od ataku powstańców w 8. i 9. dzielnicy. Po przybyciu na miejsce przekonałem się, że walczący o wolność nie są bandytami, lecz wiernymi synami Węgier. Zawiadomiłem wtedy ministra o mojej decyzji przystąpienia do powstania. I od tej chwili walczymy ramię w ramię i nie przestaniemy walczyć tak długo, póki uzbrojeni obcy żołnierze znajdować się będą na naszej ziemi" – mówił pułkownik Pál Maléter.

Tymi obcymi żołnierzami byli Sowieci, dlatego amerykański dziennikarz Selfton Delmon zwrócił uwagę na coś, co go zdziwiło: Maléter na swojej mundurowej bluzie miał sowieckie odznaczenia. Delmon więc zapytał go o to. „Naturalnie, i jestem z tego dumny.



W sobotni późny wieczór, 3 listopada 1956 roku, około godziny 22.00 do sowieckiej bazy wojskowej w Tököl na Węgrzech zbliżała się kolumna wojskowa, w tym dwa czołgi i dwa transportery opancerzone. Dwunastu oficerom towarzyszyło kilkudziesięciu uzbrojonych żołnierzy. Na Węgrów czekali oficerowie KGB, wśród których był... Iwan Sierow.

ZDŁAWIONA NADZIEJA

Przede wszystkim niech pan nie myśli, że my nie jesteśmy socjalistami. Jesteśmy nimi. To powstanie nie jest powstaniem kapitalistów chcących nawrotu do starego systemu, jego celem jest uwolnienie Węgier i danie wolności narodowi węgierskiemu" – odpowiedział węgierski wojskowy.

Maléter był żołnierzem od 1940 roku. Na front wschodni został przerzucony w roku 1944 (Węgrzy byli sojusznikami Niemiec) i tam dostał się do sowieckiej niewoli. Wówczas zgłosił się na ochotnika, by walczyć przeciwko Niemcom. Został przeszkolony przez NKWD do walki partyzanckiej, przerzucono go do Siedmiogrodu. Wstąpił do Komunistycznej Partii Węgier, a po wojnie pozostał w armii.

Tego samego dnia, w którym Maléter rozmawiał z dziennikarzami, pułkownik dowiedział się, że został mianowany przez Radę Ministrów Węgierskiej Republiki Ludowej ministrem obrony narodowej.

Sierow do specjalnych poruczeń

Iwan Sierow w 1956 roku był już zasłużonym czekistą, przewodniczącym KGB. To on w czasie pierwszej sowieckiej okupacji rozpracowywał polskie podziemie we Lwowie, odpowiadał za deportacje tysięcy ludzi na wschód, a w roku 1945 aresztował 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

3 listopada 1956 roku Sierow rozkazał, by delegację Węgrów zaprowadzić do biura sztabu i tam przetrzymać przez 20 minut. Szeregowym żołnierzom węgierskim, którzy towarzyszyli swym oficerom, dał rosyjską obstawę z pistoletami maszynowymi, a także rozkazał, by ich nie wpuszczać do gabinetu, w którym toczyły się rozmowy.

Podporucznik Peter Gosztony, który znał Malétera, napisał, że „w sprawach zasadniczych osiągnięto porozumienie, jedynie pozostały do przedyskutowania sprawy drobne. O szczegółach rozmów delegacja rządowa informowała premiera Imre Nagya. Po północy jednakże połączenie telefoniczne pomiędzy Parlamentem, gdzie zasiadał rząd, a Tökölem zostało zerwane. Bezradny rząd węgierski niepokoił się, co mogło zajść w sowieckiej kwaterze głównej".

Sam Sierow wspominał, że nagle wstał, ponieważ znudziła go „drętwa i sztuczna atmosfera" panująca w gabinecie, i niespodziewanie oznajmił: „Wystarczy zajmować się pustą gadaniną o wyprowadzeniu sowieckich wojsk. Ludzie pracy Węgier nie po to odzyskali niepodległość, żebyście posadzili im na karku Paula Esterhazego i innych kapitalistów" – sowiecki generał zawiesił na kilka sekund głos, by podkreślić wagę następnego zdania. „Rozmowy skończone, wszyscy jesteście aresztowani przez armię sowiecką". „A więc tak?" – stwierdził Maléter, powoli wstając z krzesła.

Szeregowiec Sandor Horvath wspominał, że w tym momencie do gabinetu wpadli Rosjanie: „Krzyczeli, mierząc z pistoletów maszynowych w naszych delegatów". Horvath złapał za swój pistolet maszynowy, ale szybko został obezwładniony. Jego do-

wódca kazał mu się uspokoić, mówiąc: „Stój! Bezcelowy opór”.

Według Horvatha Sowieci w tym momencie urządzili przedstawienie. Gdy jeden z wyprowadzanych znikał z gabinetu, zaraz rozlegały się strzały. To wywoływało wśród aresztowanych przekonanie, że wszyscy będą rozstrzelani. Tak się jednak nie stało. Pułkownik Pál Maléter i inni kontrrewolucjoniści trafili przed sąd. Wyrok zapadł 15 czerwca 1958 roku. Maléter został stracony następnego dnia.

Totalitarna dyktatura upadła

Rewolucja węgierska roku 1956 rozpoczęła się 20 października, gdy na ulicach Budapesztu zaczęły gromadzić się tłumy Węgrów niezadowolonych z rządów. Już trzy dni później doszło do pierwszych starć z policją.

Na ulice węgierskiej stolicy wyszło od 200 do 300 tys. ludzi, którzy nie tylko manifestowali swe niezadowolenie z sytuacji w kraju, ale również demonstrowali poparcie dla Polski, w której wówczas następowały zmiany zwane październikowymi: 21 października 1956 roku funkcję I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR objął Władysław Gomułka.

„Kierownictwo Węgierskiej Partii Pracujących było niezdecydowane, reagowało niepewnie. Najpierw zakazało demonstracji, a ostatecznie, po kilkakrotnej zmianie opinii, wydało zgodę, ale nie było w stanie kontrolować ich przebiegu” – pisze węgierska historyk Réka Kiss i dodaje: „Tego samego wieczoru także w Budapeszcie, przed budynkiem Węgierskiego Radia, rozpoczęły się starcia zbrojne. W ciągu kilku godzin stalinowski system władzy na Węgrzech został sparaliżowany i przestał działać. Totalitarna dyktatura, która miała do dyspozycji cały aparat przemocy, praktycznie upadła”.

Rządzący poprosili o pomoc Związek Sowiecki. Imre Nagy – według Wojciecha Roszkowskiego „liberalny komunista” – ponownie został premierem (był nim już w latach 1953–1955), a sowieckie czołgi wjechały na ulice miasta.

Bratnia pomoc

W tym momencie wypadki potoczyły się lawinowo. 28 października Nagy w przemówieniu radiowym nazwał powstanie narodowym zrywem, następnie zażądał wycofania wojsk sowieckich do baz oraz utworzył rząd koalicyjny z udziałem niekomunistycznych polityków. 1 listopada premier ogłosił, że Węgry opuszczają Układ Warszawski, a w kraju będzie pełna demokracja parlamentarna. Już 4 listopada nastąpiła druga, decydująca inwazja armii sowieckiej, „która przy użyciu ogromnych sił zgniotła powstanie węgierskie. Tego dnia János Kádár ogłosił odezwę o powstaniu robotniczo-chłopskiego rządu Węgier, mającego bronić »zdobyczy socjalizmu« przed »elegantami kontrrewolucyjnymi«” – pisze historyk Wojciech Roszkowski.

W ramach operacji „Wicher” sowieckie dywizje rozlokowane wokół Budapesztu otrzymały rozkaz wkroczenia do miasta, co stało się około godz. 7.30. Sowieci szybko opanowali mosty na Dunaju, lotnisko, gmachy Komitetu Centralnego Węgierskiej Partii Pracujących, parlamentu oraz ministerstw spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych.

Najcięższe walki pomiędzy sowieckimi żołnierzami a węgierskimi powstańcami toczyły się m.in. w okolicy słynnego dworca Keleti, centrali telefonicznej, Zamku Królewskiego.

„W wyniku walk z użyciem ciężkiej artylerii Budapeszt ponownie legł w gruzach. Straty węgierskie szacuje się na ponad 2,5 tys. zabitych i 20 tys. rannych. Do emigracji zmuszono ok. 200 tys. Węgrów. Formacje KGB kierowane przez Sierowa zatrzymały ok. 5 tys. osób, z czego 860 uwięziono w sowieckich łagrach” – wylicza historyk Paweł Piotrowski.

Ponadto węgierskie sądy skazały około 15 tys. osób, na 229 osobach wykonano wyrok śmierci. Wśród nich był Péter Mansfeld…

Najmłodsza ofiara

Péter Mansfeld miał 16 lat, gdy w Budapeszcie wybuchła rewolucja. Młodzieńcza odwaga rzuciła go do grupy Jánosa Szabó zwanego „Wujkiem”, którego oddział działał przede wszystkim na Placu Széna. Mansfeld nie walczył z bronią w ręku: był łącznikiem, przenosił amunicję, meldunki i informacje oraz medykamenty. Gdy walki się skończyły, jak każdy nastolatek wrócił do szkoły. Nie potrafił jednak pogodzić się z tym, że rewolucja, w której brał udział, poszła w zapomnienie. Wraz z kolegami zdobył kilka pistoletów, karabin maszynowy oraz amunicję, po czym napadli na policjanta i zabrali mu broń. 19 lutego 1959 roku wszyscy zostali namierzeni i aresztowani.

Prokurator György Mátsik mówił na sali sądowej m.in.: „Zamiarem pozwanych było doprowadzenie do kontrrewolucji wymierzonej w ustrój państwa. (…) Ponadto chcieli rozwijać działalność swojej bandy, u której podstaw leżały przesłanki polityczne. (…) Oskarżeni, dążący do restauracji kapitalizmu, stanowią bardzo duże niebezpieczeństwo dla społeczeństwa. (…) W niniejszej sprawie należy inaczej traktować fakt, że wszyscy pozwani są dziećmi robotników – konieczne jest uznać ich za zdrajców klasowych. Nie mówimy o ludziach, którzy zbłądzili, ale o świadomych kontrrewolucjonistach. (…) Na płaszczyźnie politycznej wiek oskarżonych nie ma żadnego znaczenia, stąd (…) należy zastosować wobec nich najbardziej drakoński rygor!”.

Sąd skazał chłopców na dożywocie. W drugiej instancji Péter Mansfeld dostał karę śmierci. 18-latek został powieszony dwa dni po rozprawie – 21 marca 1959 roku.

W roku 1990 węgierski Sąd Najwyższy zrehabilitował Mansfelda, uznając wyrok komunistycznego Sądu Ludowego za nieważny. **GP**

{ Rewolucja węgierska roku 1956 rozpoczęła się 20 października, gdy na ulicach Budapesztu zaczęły gromadzić się tłumy Węgrów niezadowolonych z rządów. Już trzy dni później doszło do pierwszych starć z policją.

GAZETA POLSKA

MICKIEWICZ NA MIARĘ XXI WIEKU



PREMIERA „PANA TADEUSZA" W CSK W LUBLINIE

Epopeja narodowa na deskach teatru we współczesnym wydaniu i zgodnie z duchem oryginału. 14 i 15 listopada w Centrum Spotkania Kultur w Lublinie premiera „Pana Tadeusza". „W tych dwunastu księgach i epilogu jest zawarty rdzeń polskości i rdzeń naszej tożsamości" – mówił w programie „Wstajemy" w Republice dyrektor CSK Michał Chorosiński.



Sylwia **Krasnodębska**
SZEF DZIAŁU KULTURA

Soplicowo staje w ogniu, gdy ważą się losy Ojczyzny. Moskale atakują, Napoleon jest jeszcze daleko. Ksiądz Robak rusza ze straceńczą odsieczą, a przeszłość, którą próbował odkupić przez całe życie, powraca ze zdwojoną siłą" – tak artyści, którzy wystąpią w Lublinie, kondensują opowieść. Przed nami Adam Mickiewicz w nowoczesnym wydaniu, ale w tradycyjnej treści. Widowisko muzyczne wyreżyserowane przez Przemysława Stippę zgromadzi na scenie w sumie ponad stu artystów. W planach są potęga żywej orkiestry i chóru oraz innowacyjne wizualizacje AI. A to wszystko w służbie nieśmiertelnej polskiej epopei. Aby zamknąć ją w teatralnej formie, potrzebny był mądry skrót. „Skrót do trzech godzin, czyli mniej więcej do jednej trzeciej, przedstawi jednak całą fabułę. Jednocześnie staraliśmy się wybrać te najbardziej znane i najwspanialsze fragmenty tekstów z »Pana Tadeusza«. Wszystko to jest okraszone znakomitą muzyką, choreografią, scenami ruchowymi, no i wybitnym aktorstwem" – obiecywał w Republice Michał Chorosiński, dyrektor Centrum Spotkania Kultur w Lublinie. Muzykę stworzyło dwóch kompozytorów – Sebastian Wypych i Rafał Odrobina. Na scenie pojawi się olbrzymi aparat wykonawczy: chór, orkiestra, statyści, tancerze i aż trzydziestu aktorów z całej Polski (Sandra Naum – Zosia, Filip Gurłacz – Tadeusz, Szymon Kuśmider – Sędzia, Marek Nędza – Ksiądz Robak, Przemysław Stippa – Hrabia, Joanna Trzepiecińska – Telimena, Dariusz Biskupski – Gerwazy, Dariusz Kowalski – Podkomorzy, Sebastian Skoczeń – Kapitan Ryków). Za adaptację i dramaturgię odpowiada Antoni Winch.

14 i 15 listopada Lublin zamieni się w Soplicowo targane walką o wolność, a także walką z samym sobą. Twórcy informują, że na scenie ożyją bohaterowie epopei Adama Mickiewicza – pełnokrwiści, namiętni, niejednoznaczni. Kochają, nienawidzą, popełniają błędy, walczą o własną godność i o sprawy większe niż oni sami. Ich heroizm i szlachetność sąsiadują z pychą, próżnością i mściwością. Każdy z nich niesie własną historię, własne pragnienia i własne winy. „Mieliśmy swoje za uszami, ale ostatecznie w momencie próby potrafiliśmy się zjednoczyć i działać dla wspólnego dobra. Takie dzieła jak »Pan Tadeusz« pozwoliły nam przetrwać trudny czas zaborów i kształtowały nas jako Polaków" – mówił Chorosiński. Liczymy na piękno słowa i rozmach współczesnego widowiska muzycznego! GP

ZACISZE MELOMANA



★★★★★★

ZACZAROWANE OBRAZY I UKRYTY SMOK

Bajdy, MALARZ I KSIĘŻYC
Luna Music

O róży, której dotyk czaruje, smoku ukrytym w ruinach i malarzu, który zakochał się w samotności. Iza Lamik (związana m.in. z Teatrem Małego Widza i zespołem Happy Village Orchestra) oraz Ola Bilińska (m.in.: Babadag, Bye Bye Butterfly, Mitch and Mitch) przemieniają obrazy i baśnie Erny Rosenstein w ciekawą opowieść muzyczną. Album „Malarz i Księżyc" swoim klimatem nawiązuje do najlepszych słuchowisk dla dzieci wydawanych kiedyś przez Polskie Radio. Proszę mi jednak wierzyć, że urokowi muzyki duetu Bajdy ulegną również dorośli. Kto raz posłucha wyliczanki z „Piosenki kolorów i kształtów", prędko się od niej nie uwolni. Czary z pracowni malarza naprawdę działają.



★★★★★★

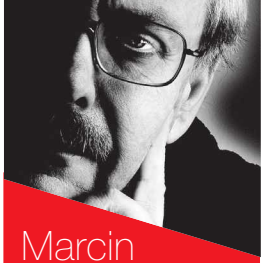
BACH DLA WYOBRAŹNI

Minsoo Sohn, BACH: THE WELL-TEMPERED CLAVIER BOOK I
Hyperion

Zbiór preludiów i fug Johanna Sebastiana Bacha do dziś spędza sen z powiek niejednemu uczniowi szkoły muzycznej. Pod palcami koreańskiego pianisty Minsoo Sohna, który sam zresztą jest nauczycielem, cykl nabiera jednak tak głęboko emocjonalnego i duchowego wymiaru, że szybko zapominamy o jego edukacyjno-akademickiej funkcji. Nie ma tu ani potrzeby nadmiernego pośpiechu, ani zabłyśnięcia chwytliwym technicznym popisem. Sohn stara się jak najuważniej oddać ukryte w partyturze głosy, zajrzeć pod kolejne warstwy, a jednocześnie utrzymać tajemnicę. Dla słuchaczy to doskonała okazja, by zatrzymać się na chwilę i pozwolić, by wyobraźnia sama podążyła za dźwiękami.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { REPORTAŻ }



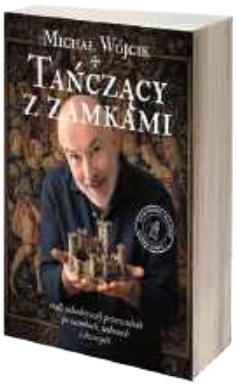
Marcin **Wolski** poleca

★★★★★★

O zamkach błyskawicznie

„Tańczący z zamkami"
Michał Wójcik
Rebis, Poznań 2026

Zamki w Polsce przetrwały lepiej dziejowe zawieruchy niż dziesiątki tysięcy dworów szlacheckich, po których pozostało niewiele. Być może to kwestia materiału, z jakiego zostały wykonane. „Tańczący z zamkami" Michała Wójcika to barwna opowieść o tych pomnikach przeszłości, jednak próżno tu szukać tych najczęściej odwiedzanych, takich jak Wawel, Pieskowa Skała, Malbork czy Krzyżtopór. Wójcik ma dar – łączący doświadczenie historyka i telewizyjnego reportażysty – znajdowania obiektów prawie nieznanych i odkrywania ich często mrocznych tajemnic. W dodatku opowieść o zamkach to nie tylko spotkanie z historią. To zbiór ekscytujących reportaży o współczesnych zapaleńcach, ryzykantach, a czasem wariatach, którzy postanawiają wejść w posiadanie zamku. Ryzykują własne pieniądze, pokonują wszelkie przeciwności i patrzą z zachwytem, jak w ich rękach i na ich oczach odżywa przeszłość – tak jak będący w trakcie remontu zamek Sarny w Ścinawce czy znajdujący się dopiero na początku odbudowy zamek Świny w Bolkowie.



Czasami zadanie rekultywacji wydaje się ponad siły, jak w wypadku zamku w Brodach, ale jego obecny właściciel, Maciej Jusiel, nie popada w zwątpienie. Czy w tych historiach można dopatrzyć się jakichś prawidłowości? Większość opisywanych obiektów leży na Ziemiach Odzyskanych i należą one do „ludzi nowych", bez arystokratycznego rodowodu. Rodzina Sobańskich, która odzyskała bajeczny pałac w Guzowie, jest tu wyjątkiem.

Nie wszyscy mieli takie szczęście – boje rodu Krasickich o zamek w Lesku ciągle nie mają happy endu. Znajdujemy tu też kilka opisów rezydencji pozostających w gestii samorządów borykających się z kłopotami finansowymi. Ale jest o co walczyć dla przyszłych pokoleń i dla współczesnych turystów, którzy odwiedzają te miejsca, by poznać miejscowe tajemnice. **GP**

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | infolinia: 22 232 37 70

MIX Kulturalny

czekaj

NA STOLICĘ

Miasta liczące niewięcej niż 500 tys. mieszkańców mogą powalczyć o tytuł Polskiej Stolicy Kultury 2030. Ministerialny program zakłada wsparcie wygranej miejscowości kwotą 10 mln zł. Niech kultura zmienia rzeczywistość.

poznaj



TĘ RZECZYWISTOŚĆ

„Unicestwianie. Czy Polska przetrwa epokę algorytmów?" to eseistyczna i dokumentalna książka Macieja Świrskiego poświęcona przemianom, jakie przyniosła epoka algorytmów. Publikację można zamówić na sklep.gazetapolska.pl.

www.prenumerata.swsmedia.pl

★★★★★★

Groza i naiwność

„Babylon Berlin”, sezon piąty

thriller polityczny, twórcy: Tom Tykwer, Achim von Borries, Henk Handloegten

NIEMCY 2026

Krzysztof **Wołodźko**

Ostatni sezon niemieckiego serialu „Babylon Berlin”, pokazywanego w Polsce przez HBO MAX, to mieszanina grozy i fabularnej naiwności. Ostatni sezon można czytać również jako popkulturową aluzję do współczesnej polityki.

Niemcy na początku 1933 roku, Adolf Hitler zostaje kanclerzem. Narodowi socjaliści są o krok od przejęcia pełni władzy nad państwem: lutowy pożar Reichstagu i marcowa Ustawa o pełnomocnictwach dobiją upadającą Republikę Weimarską. Akcja ostatniego sezonu „Babylon Berlin” toczy się w przededniu podpalenia niemieckiego parlamentu. Nazistowska przemoc narasta, resztki oporu społecznego są łamane, niemieccy przemysłowcy, arystokraci i bankowcy zawierają sojusz z Adolfem Hitlerem, którego są skłonni traktować jako parweniusza, którym uda się manipulować.

Fabuła ostatniego sezonu toczy się wokół największych tajemnic dotyczących zdrowia Adolfa Hitlera. Twórcy serialu podjęli historyczny, lecz mało znany wątek dotyczący jego pobytu w lazarecie pod Szczecinem, gdzie leczył się na szczególny rodzaj zespołu stresu pourazowego, czyli ślepotę psychogenną. W niejasnych okolicznościach giną kolejni towarzysze Hitlera z lazaretu, a berlińscy śledczy mają coraz bardziej związane ręce. Gdy w końcu łączą elementy ponurej układanki, jest już za późno.

Ostatni sezon „Babylon Berlin” to z jednej strony narastająca atmosfera brunatnej grozy, z drugiej – wątki niemal śmieszne i naiwne. Proszę wybaczyć spoiler, ale scena, w której spiskowcy usiłują odpalać bombę, wchodząc pod biesiadny stół na oczach samego Hitlera, Hermanna Göringa, przemysłowców i arystokratów, budzi niemal śmieszność. Podobnie karkołomne pomysły na „feministyczne próby pojednania” na przedwojennej niemieckiej lewicy. **GP**

„Babylon Berlin” to jeden z najlepszych seriali ostatniej dekady: rzecz, która zaczęła się jak mroczny kryminał, skończyła się jako ostrzeżenie przed demonami niemieckiej historii.



FOT. MATPRAS.



zrozum

HISTORIĘ

„Rozkaz mordować Polaków. Roman Szuchewycz – krwawy dyktator OUN-UPA” Marka Koprowskiego to historia ukraińskiego zbrodniarza odpowiedzialnego za ludobójstwo Polaków. Książka dostępna na sklep.gazetapolska.pl.



podziwiaj

KATOLICYZM

13 listopada w podziemiach Katedry św. Floriana w Warszawie odbędzie się wernisaż wystawy współczesnych obrazów przedstawiających scenę ofiarowania Jezusa w Świątyni. Autorzy to polscy malarze, uczestnicy projektu „Namalować katolicyzm od nowa”.



bój się

I PATRZ

Do kin trafił południowokoreański film „Witajcie w Hope” (reż. Hong-jin Na). Produkcja łączy elementy horroru, thrillera i science fiction. Czy odcięci od świata ludzie uchronią się przed tajemniczymi istotami?

POLSKIE ORŁY

Ptak z godła. Tysiąc lat historii

CIEKAWOSTKI O BIELIKACH

Jeszcze 100 lat temu bieliki były w Polsce na wymarciu. Jednak objęcie ich ochroną gatunkową spowodowało, że dzisiaj są one powszechnie spotykane.



OLBRZYMI PTAK

To największy ptak drapieżny lęgowy w Polsce i jeden z największych w Europie. Rozpiętość skrzydeł sięga 1,78–2,45 m, długość ciała 66–94 cm. Może ważyć nawet 6 kilogramów.



UDAWANY ORZEŁ

Biologicznie nie jest „prawdziwym orłem" z rodzaju Aquila, tylko orłanem. Genetycznie bliżej mu do kani niż do orła przedniego. Nie zmienia to jednak faktu, że w polskim godle jest orłem.

Jacek
Liziniewicz



Tego, że biały orzeł to jeden z polskich symboli narodowych, jest świadomy każdy przedszkolak w Polsce. Za tą wiedzą nie zawsze idą jednak bezwzględny szacunek i szczególna nostalgia. Mogliśmy się o tym przekonać ostatnio w siedzibie Rzecznika Praw Obywatelskich, gdzie wyrzucono na śmietnik polskie godło.

POLUB NAS
/GazetaPolskaPL

FOT. ADOBESTOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA

Nie ma konkretnej daty, od kiedy bielik stał się polskim narodowym symbolem. Część historyków doszukuje się go już na denarze pochodzącym z czasów Bolesława Chrobrego. Tutaj jednak rodzą się poważne wątpliwości, czy to, co widnieje na tej monecie, to na pewno orzeł. Niektórzy twierdzą bowiem, że może to być równie dobrze paw albo inny ptak. Nie da się tego wykluczyć, bo wiadomo, że już pierwsi polscy władcy mieli tendencje do posiadania menażerii. Dość przypomnieć, że Mieszko I podczas wielkanocnego zjazdu w Kwedlinburgu podarował młodemu Ottonowi III wielbłąda. Do tej pory nie wiadomo, w jaki sposób zwierzę trafiło do państwa Polan. Według niektórych przyjechało ono z terenów dzisiejszego Afganistanu, o czym mają świadczyć inne znaleziska na Ostrowie Tumskim, w tym pochodzące z tego regionu barwniki. W każdym razie denar Chrobrego najprawdopodobniej przedstawia pawia, gdyż poza wszystkim był to symbol św. Wojciecha, czyli patrona Polski i postaci ważnej dla naszego kraju.

Dużo pewniejsza niż denar jest data 26 czerwca 1295 roku. Właśnie wtedy w Gnieźnie koronowano Przemysła II na króla Polski. Na jego pieczęci majestatycznej pojawił się ukoronowany biały orzeł w tarczy. Od tego momentu orzeł przestał być tylko znakiem osobistym lub dynastycznym Piastów, a stał się herbem odrodzonego Królestwa Polskiego, symbolem suwerenności i jedności państwa po okresie rozbicia dzielnicowego. Od tamtego czasu już na stałe towarzyszy nam jako godło. Oficjalnie zostało ono wprowadzone ustawą uchwaloną przez Sejm 1 sierpnia 1919 roku. Pojawiające się później wokół niego kontrowersje dotyczą już właściwie tylko korony. Początkowo miała ona krzyż. W 1927 roku projekt ten zmieniono i nie było w nim odniesienia do chrześcijaństwa. Następnie komuniści w ogóle zdjęli bielikowi koronę, a rząd na uchodźstwie wrócił do wersji z krzyżem. Po 1989 roku przywrócono jednak wersję z 1927 roku. Taka obowiązuje do dzisiaj.

> 26 czerwca 1295 roku w Gnieźnie koronowano Przemysła II na króla Polski. Na jego pieczęci majestatycznej pojawił się ukoronowany biały orzeł w tarczy.

Sukces odbudowy

Wzrost znaczenia symbolicznego niezbyt przełożył się na stosunek ludzi do tych pięknych ptaków. Bieliki były systematycznie zwalczane na terenie Polski.



ALE GNIAZDA!

Gniazda należą do największych ptasich budowli. Rozbudowywane latami, mogą osiągać 2–4 m wysokości, 2–2,5 m średnicy i ważyć nawet blisko 1 tonę. Przechodzą z pokolenia na pokolenie.



DŁUGOWIECZNE

Średnia długość życia w naturze to 20–21 lat. Istnieją również rekordy dzikie – około 27–36 lat. W niewoli dożywają 40–42 lat, a nawet 50. Dojrzałość płciową osiągają w wieku 4–6 lat.



ŻARŁOCZNY

Dorosły bielik potrzebuje 500–600 g mięsa dziennie, co stanowi około 10 proc. jego masy ciała. Najchętniej je ryby, ale w jego bliskości nie mogą się też czuć bezpiecznie ptaki wodne.



Twierdzono bowiem, że łowią za dużo ryb, a nawet atakują jagnięta na polach. Taka nagonka i trzebienie populacji nie były wyłącznie polską specyfiką. Więcej, w niektórych krajach podchodzono do tego wręcz biurokratycznie. Za zabicie orłów dostawało się wynagrodzenie (na przykład w Norwegii). Dodatkowo można było zarobić na tłuszczu tego ptaka. Uznawano go bowiem za panaceum na wszystkie choroby. Zastosowanie znalazły również szpony i dzioby – traktowano je jako amulety. Dawniej przydawały się również pióra orłów. Ponoć w Anglii hodowano je po to, by opierzać strzały.



W WOJSKU

W 2021 roku wycofano ze służby polski okręt podwodny ORP „Bielik". Dziś Polska ma jeden okręt – ORP „Orzeł". W wojsku służą też Bieliki, czyli samoloty szkolno-treningowe M-346.



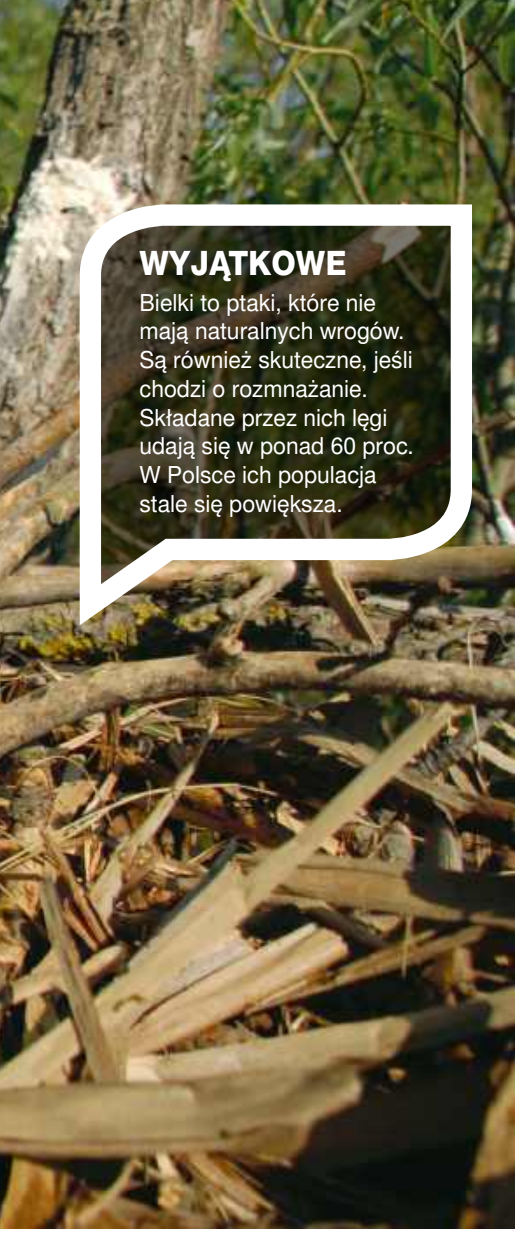
POD OCHRONĄ

Bieliki są objęte ścisłą ochroną od 1952 roku. Wówczas liczebność szacowano na 50 par. Dzisiaj jest ich 1500–2000. Wokół gniazd wyznacza się strefę ochrony wynoszącą 500 metrów.



POWSZECHNY

W Polsce bieliki podlegają ochronie. Natomiast w Europie, w międzynarodowej klasyfikacji, są gatunkiem najmniejszej troski. Duże populacje występują w Norwegii i Rosji.



WYJĄTKOWE

Bielki to ptaki, które nie mają naturalnych wrogów. Są również skuteczne, jeśli chodzi o rozmnażanie. Składane przez nich lęgi udają się w ponad 60 proc. W Polsce ich populacja stale się powiększa.

W naszym kraju z kolei pióra były elementem stroju husarii, stanowiąc jej najbardziej rozpoznawalny element.

W wyniku takiej działalności człowieka wobec bielików w wielu krajach gatunek ten po prostu zniknął. W Polsce był na krawędzi egzystencji. Szacowano, że w latach 50. liczebność bielików spadła do 50 par. Właśnie wtedy wzięto tego pięknego ptaka pod ochronę. W efekcie populacja stale się odbudowywała. Dzisiaj jej liczebność szacuje się na około 2 tys. par i według badaczy rocznie przybywa 5 proc. nowych. Bielki to bowiem ptaki, które nie mają naturalnych wrogów. Są również skuteczne, jeśli chodzi o rozmnażanie. Składane przez nich lęgi udają się w ponad 60 proc. Co więcej, bieliki to długowieczne zwierzęta. Mogą dożywać na wolności nawet do 30 lat.

Patrząc na godło

Dziś gatunek ten w naszym kraju występuje już powszechnie. A to znów nie wszystkim jest w smak. Raz na jakiś słyszymy o eliminacji tych ptaków – najczęściej bielikom podrzucana jest zatruta padlina. Zjawisko pojawia się co kilka lat, a służby przeważnie są bierne, jeśli chodzi o wykrywanie sprawców. Na szczęście na razie to tylko marginalne przypadki, a bielików w naszym kraju przybywa. I cieszą się one uznaniem społeczeństwa. W ewentualnym rankingu sympatii pewnie przegrałyby tylko z bocianem.

I dobrze. Jest to bowiem imponujące zwierzę. Musi to przyznać każdy, kto zobaczy kołującego orła na niebie. Wtedy można przestać się dziwić, że Lech u zarania państwa zachwycił się widokiem tego zwierzęcia. Warto mieć to z tyłu głowy, patrząc na polskie godło. **GP**



U MATEJKI

Jan Matejko wykorzystywał motyw orła. Znajdziemy go na jego najwybitniejszych dziełach, m.in. na „Polonii” (1864), gdzie symbolicznie przedstawiono skuwanie Polski w kajdany.



ODZNACZENIE

Jednym z najwyższych i najstarszych odznaczeń państwa polskiego jest Order Orła Białego, ustanowiony w 1705 roku przez Augusta Mocnego. Jest on przyznawany do dzisiaj.

FOT. ADOBESTOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA



PRZYRODNICZY FLASH

PLASTIK LEPSZY NIŻ PAPIER

Odejście od plastikowych słomek uznano za jeden z większych sukcesów ekologicznych ostatnich lat. Tymczasem Koreańczycy postanowili przyjrzeć się tej kwestii. Naukowcy na zlecenie rządu wzięli pod lupę wszystkie rodzaje dostępnych słomek i zbadali ich wpływ na 16 wybranych obszarów życia człowieka i środowisko. Jak się okazało, najlepiej wypadły… te plastikowe. I nawet nie chodzi o to, że pijąc przez papierową słomkę, połykamy rakotwórcze substancje. Okazało się, że plastik w tym badaniu miał najmniejszy wpływ na klimat, zakwaszenie gleb i trucie człowieka. Ogólnie wygrał w 10 z 16 kategorii.

ODNALEŹLI CMENTARZYSKO SPRZED 1,5 TYS. LAT

Na terenie Nadleśnictwa Krynki odkryto cmentarzysko kultury wielbarskiej datowane wstępnie na III–V wiek n.e. Znalezisko, na które natrafili poszukiwacze z Magna Silva – grupy eksploracyjnej przy Stowarzyszeniu Przyjaciół Puszczy Knyszyńskiej „Wielki Las” – może dostarczyć cennych informacji o mieszkańcach tych terenów sprzed półtora tysiąca lat – podały Lasy Państwowe. Odkrycia dokonano w ramach legalnych prac archeologicznych.



Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

PERŁA ADRIATYKU

Skrzyżowane świece Dubrownika

„Miasto siedmiu bram", „Miasto Świętego Błażeja", „Miasto bałkańskiego skarbu". O Dubrowniku zwykło się mówić bardzo różnie. I tylko miejscowi zdają się powoli mieć dość tworzenia kolejnych legend o swoim miejscu zamieszkania.

Oho, jest i następny… – brodaty Lovre nie przestaje polerować kieliszka. Za chwilę uzupełni zastawę nakrywanego stolika. Jego restauracja ma wyjątkową lokalizację. Ulokowana przy nabrzeżu Obala Ivana Pavla II, leży tuż obok maleńkiego portu. Widać stąd wszystko.

– To źle? – pytanie jednego z klientów pijących chorwackie wino o wpływający w tej chwili do portu wycieczkowiec wydaje się zasadne. Chorwacki właściciel restauracji ulokowanej w takim miejscu powinien się raczej cieszyć, że lada moment ze statku wysypie się kolejny grad turystów. A wraz z nimi ich wypełnione euro portfele.

– Dla mnie dobrze. Pewnie część z nich zajrzy, usiądzie, zje, napije się. Ale dla Dubrownika… – Chorwat poważnieje. – Dla przyjezdnego to może się wydawać dziwne, ale podczas wakacji miejscowi uciekają z miasta.

Dużo w tym prawdy. Codziennie cumuje tu kilka gigantycznych wycieczkowców. Są nawet takie, które przypływają z oddalonego o 200 kilometrów włoskiego Bari. Na skutek natłoku przyjezdnych władze miasta wprowadziły niedawno dzienny limit pasażerów przybywających do Dubrownika drogą morską. Wynosi on 8 tys. osób. Dziś do tutejszego portu mogą zawinąć maksymalnie dwa duże wycieczkowce na dobę. I każdy z nich musi cumować tu minimum 8 godzin. Wszystko po to, aby uniknąć skumulowania gigantycznych fal turystów w krótkim czasie.

– Nikt tego nie przestrzega – żalą się mieszkańcy. – Zwłaszcza w miesiącach letnich. Granica jest swobodnie przesuwana. Tysiąc osób w jedną czy tysiąc w drugą – liczy się pieniądz.

Ale akurat pieniędzy pasażerowie wycieczkowców nie zostawiają w byłej stolicy Republiki Raguzy za wiele. Szacuje się, że ponieważ nie nocują w mieście, ich udział w dziennych zyskach Dubrownika jest znacznie mniejszy niż pozostałych odwiedzających. Pewnie stąd tak śmiały ruch władz miasta dotyczący ograniczeń.

W sezonie letnim Dubrownik to niekończące się kolejki do obiektów, restauracji czy też samych toalet. To także względnie wysokie ceny. Zwłaszcza gdy porównamy je z Zadarem, Splitem czy Rijeką. Wstęp na najpopularniejszą atrakcję miasta, czyli mury miejskie, to dziś koszt 40 euro. Drogo. Ale ludzie i tak płacą. Wizyta na tutejszych murach to okazja do zobaczenia najlepiej zachowanych i najbardziej imponujących systemów fortyfikacyjnych w Europie, które w niemal nienaruszonym stanie przetrwały od czasów średniowiecza i potęgi Republiki Ragusy.

O ile same mury miejskie to autentyczna pamiątka po dawnych czasach, o tyle pozostała część miasta to wiekowa, ale jednak rekonstrukcja. Oryginalny średniowieczny układ ulic zaburzyło tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi z 1667 roku. Barokowa rekonstrukcja została dodatkowo uszkodzona w czasie oblężeń miasta w latach 1991–1992. Finalnie Dubrownik przeszedł zatem pewien lifting, co nie zmienia faktu, że wizyta w starym Dubrowniku to rarytas, jakich mało.

Jest tu bowiem dawny klasztor franciszkanów z działającą na jego terenie apteką – uznawaną za najdłużej funkcjonującą w Europie (!). Jest klasztor klarysek i Kościół Zbawiciela. Są też Pałac Sponza i najstarszy pomnik miasta, czyli Kolumna Rolanda, oraz Mała Studnia Onofria. To właśnie w tym miejscu ogłaszano przed laty najważniejsze uchwały rady miasta





Łacińska inskrypcja na fasadzie Pałacu Rektorów (Knežev dvor) sławi szlachetność obywateli Republiki Ragusy (Dubrownika) i wspomina patrona Dubrownika św. Błażeja.

DUBROWNIK – MIASTO ŚW. BŁAŻEJA

GENEZA Według jednej z najbardziej popularnych teorii nazwa „Dubrownik" wzięła się od celtyckich konotacji tego słowa. W tamtejszym języku „dubron" oznacza wodę, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego miasto otoczone z trzech stron seledynowogranatowymi wodami Morza Adriatyckiego zostało obdarzone akurat taką nazwą.

FONTANNA ONUFREGO Jedną z atrakcji miasta jest wybudowana w 1438 roku fontanna. Z obiektem związana jest ciekawa legenda, która głosi, że jeśli człowiek napije się wody ze wszystkich 16 kranów fontanny, spełni się wypowiedziane przez niego życzenie.

MIASTO 7 BRAM Jeszcze inna legenda opowiada o tym, jakoby Dubrownik był kiedyś chroniony przez siedem bram, z których każda była strzeżona przez potężnego strażnika. Według legendy, dopóki wszystkie siedem bram pozostanie nienaruszonych, miasto będzie bezpieczne.

„GRA O TRON" Charakterystyczna i malownicza sceneria Dubrownika sprawiła, że miasto stało się scenografią popularnego serialu telewizyjnego „Gra o tron".

FOT. STEFAN CZERNIECKI

i rektorów. Zaś miecz, który dzierży rycerz odwzorowany na pomniku, przez całe lata skierowany był w stronę... Turcji. Stamtąd bowiem spodziewano się największego niebezpieczeństwa. Dziś kierunek miecza zmieniono na bardziej pionowy, aby nie prowokować oddalonych o około 700 km byłych sąsiadów (obecnie między granicą Turcji i Chorwacji są terytoria Czarnogóry, Albanii, Macedonii oraz Grecji). Wreszcie jest również słynny Kościół św. Błażeja.

– Byliście już na błogosławieństwie świecami? – pyta Maria, przewodniczka polskich grup przybywających do Dubrownika. – Idźcie koniecznie, zwłaszcza jeśli pracujecie głosem.

Zwyczaj przykładania do szyi wiernych dwóch skrzyżowanych świec ma w Dubrowniku długą tradycję. Wziął się z żywota świętego. Podczas prześladowań za cesarza Licyniusza biskup Błażej został osadzony w więziennym lochu. Jak mówią podania, przyszły święty także tam umacniał swój lud w wierności Chrystusowi. To w więzieniu miał uzdrowić syna pewnej kobiety, któremu gardło przebiła ość, uniemożliwiając oddychanie. Na pamiątkę wydarzenia do dziś święci się małe świece nazywane „błażejkami", którymi następnie błogosławi się wiernych, dotykając nimi ich gardeł. Dziś, aby uzyskać podobne błogosławieństwo świecami, należy udać się właśnie do Kościoła św. Błażeja. Ceremonii dokonuje się tu przez cały rok, po niemal każdej mszy św., także po tych celebrowanych przez samych pielgrzymów. Tych samych, którzy po wizycie w Kościele św. Błażeja udają się zwykle do pobliskiej Katedry Wniebowzięcia NMP, aby odnaleźć tam złote i srebrne relikwiarze skrywające czaszkę, ręce i stopy świętego, dziś patrona całego Dubrownika. GP



Na skutek natłoku przyjezdnych władze miasta wprowadziły niedawno dzienny limit pasażerów przybywających do Dubrownika drogą morską. Wynosi on 8 tys. ludzi.



Kamienna dzwonnica przy klasztorze dominikanów. Cały kompleks klasztorny pochodzi z XIV wieku i stanowi jeden z najważniejszych zabytków tego miasta.

SPORT ZESZMACONY. ROSJA ORGANIZUJE MISTRZOSTWA

Szok, skandal, niedowierzanie... Te słowa najczęściej cisną się na usta po decyzji światowych władz podnoszenia ciężarów, które przyznały Rosji organizację mistrzostw świata w 2030 roku. Kilka miesięcy wcześniej MKOl otworzył już nie furtkę, lecz wrota do tego, aby rosyjscy sportowcy mogli startować w imprezach najwyższej rangi. Rodzi się pytanie, jaki jest powód coraz bardziej łagodnego stosunku MKOl-u i światowych federacji sportowych do rosyjskiego sportu.



NIEAKCEPTOWALNA DECYZJA ŚWIATOWEJ FEDERACJI PODNOSZENIA CIĘŻARÓW

Jednym z kluczy do zrozumienia decyzji światowej federacji podnoszenia ciężarów (IWF) jest przypomnienie ewolucji podejścia MKOl-u do rosyjskich sportowców. Tuż po wybuchu wojny w 2022 roku MKOl zajął zdecydowane stanowisko, wzywając światowe federacje sportowe do wykluczenia sportowców z Rosji i Białorusi z wszelkiej globalnej rywalizacji sportowej. Niestety dość szybko okazało się, że nie wszystkie federacje wzięły sobie do serca rekomendacje tej organizacji, ale rosyjscy sportowcy startowali (na specyficznych zasadach i w bardzo ograniczonej obsadzie) na najważniejszych imprezach globu. Na igrzyskach olimpijskich w Paryżu wystąpiło 15 sportowców z rosyjskim paszportem. Jedynie światowa federacja lekkoatletyczna postawiła im całkowitą blokadę. Inne, jak m.in. pływacka, tenisowa, judo czy zapaśnicza, niemal od początku i chętnie dopuszczały rosyjskich sportowców do startu. Z czasem MKOl zaczął łagodzić kurs, argumentując, że sportowcy nie powinni cierpieć za działania rządzących. Wprowadzono proces weryfikacji neutralności sportowców. Według nowego kryterium wykluczeni z rywalizacji mieli być ci, którzy albo aktywnie wspierają wojnę na Ukrainie, albo są związani formalnie z wojskiem lub organami bezpieczeństwa narodowego. 7 lipca 2026 roku MKOl zszokował światową opinię publiczną i zniósł zawieszenie Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego, co stało się sygnałem dla wielu światowych federacji sportowych, że można szerzej otworzyć drzwi dla



Leszek **Galarowicz**

Wielu analityków jest przekonanych, że powrót Rosji do światowego sportu jest nieunikniony. Co nie znaczy, że można przejść nad tym do porządku dziennego i udawać, że wszystko jest jak należy.

rosyjskich i białoruskich sportowców. I choć oficjalnie wciąż nie mają oni prawa do startów pod własną flagą, to coraz więcej federacji godzi się na udział reprezentacji Rosji w mistrzostwach świata.

Sytuacja bez precedensu

O ile starty rosyjskich sportowców na międzynarodowych arenach nie są dziś już zjawiskiem nadzwyczajnym, to przyznawanie Rosji przywileju organizowania wielkiej światowej imprezy sportowej to sytuacja bez precedensu, która przekracza granice moralne, i nie tylko. Od 2022 roku nie zdarzyło się, aby Rosja była gospodarzem globalnego wydarzenia sportowego, dlatego decyzja IWF budzi poruszenie i prowokuje do postawienia pytania, jak to możliwe, że w czasie trwającej wojny ktoś wpadł na tak absurdalny pomysł. Otóż Międzynarodowa Federacja Podnoszenia Ciężarów poszła zdecydowanie dalej niż późniejsze wytyczne MKOl-u i zniosła ograniczenie dla rosyjskich i białoruskich sportowców, pozwalając im na starty pod flagami narodowymi i z hymnami. Przyznanie turnieju Moskwie było tylko dokończeniem całego procesu ponownego włączenia sportowców tego kraju do struktur federacji. Sekretarz generalny federacji w oficjalnym stanowisku w ogóle nie mówił o kontekście politycznym decyzji, ale podkreślił, że oferta Moskwy była „znakomita", a wybór tego kraju świadczy o „globalnym rozwoju dyscypliny".

Polska straciła mistrzostwa Europy

Decyzja IWF wywołała natychmiastową reakcję na arenie międzynarodowej. Ukraiński Komitet Olimpijski zapowiedział oficjalne odwołanie od tej decyzji. Stanowczo potępiło ją polskie Ministerstwo Sportu i Turystyki jako ruch „krzywdzący ofiary wojny" i legitymizujący działania agresora. Głosy potępienia popłynęły też z federacji norweskiej.

O ile światowym władzom ciężarów nie przeszkadza rosyjska agresja, o tyle europejskim władzom tej dyscypliny nie podoba się, że do Polski nie zostaliby wpuszczeni sportowcy z Rosji i Białorusi. Polski MSZ i Ministerstwo Sportu odmówiły im wydania gwarancji wizowych, bowiem od samego początku obywatele tych krajów mają zakaz wjazdu na teren naszego kraju. Lublin miał zorganizować w 2026 roku mistrzostwa Europy juniorów w podnoszeniu ciężarów. Zarząd Europejskiej Federacji Podnoszenia Ciężarów postawił Polsce ultimatum, że w przypadku niewystawienia gwarancji wizowych turniej zostanie odebrany. A że strona polska nie zmieniła zdania, to faktycznie EWF oficjalnie anulowało organizację zawodów w Lublinie. Kuriozalne było uzasadnienie, w którym władze federacji podniosły argument o nieakceptowaniu „dyskryminacji ze względu na uwarunkowania polityczne lub geopolityczne".

Co dalej z rosyjskim sportem?

Polski mistrz olimpijski w podnoszeniu ciężarów Szymon Kołecki ostro i jednoznacznie potępił decyzję o przyznaniu Moskwie organizacji mistrzostw świata, jednocześnie stwierdził, że istnieje szansa, aby cofnąć tę decyzję, choć realnie patrząc, nie będzie to proste. Nawet jeśli udałoby się to zrobić, to jest oczywiste, że coraz trudniejsze będzie zatrzymanie procesu łagodzenia podejścia w stosunku do sportowców rosyjskich i przywracania przywilejów dla rosyjskiego sportu w postaci organizacji globalnych imprez. Coraz częściej będą zdarzały się sytuacje, w których rosyjscy sportowcy będą obecni na arenach międzynarodowych. Pytanie, jak w takich sytuacjach powinni się zachować polscy sportowcy. W przyszłorocznych mistrzostwach świata w piłce siatkowej, które odbędą się w naszym kraju, Rosjanie się nie pojawią, ale już w mistrzostwach świata kobiet Rosjanki będą uczestniczyć. Wiele mówi się o tym, że może się to wiązać z bojkotem kibiców, protestami na trybunach i problemami wizerunkowymi samej imprezy. Wielu analityków jest przekonanych, że powrót Rosji do światowego sportu jest nieunikniony. Co nie znaczy, że można przejść nad tym do porządku dziennego i udawać, że wszystko jest jak należy, a sport można całkowicie oddzielić od polityki, zwłaszcza jeśli ta polityka ma wymiar niszczący. **GP**

FOT. EVGENIA NOVOZHENINA / REUTERS / FORUM



Naturalna moc w jesienno-zimowej kuchni



Iwona **Balcerak**
TEKST I ZDJĘCIA

Czosnek w jesienno-zimowym menu to nie tylko gwarancja niezrównanego smaku, lecz przede wszystkim najprostsza, naturalna tarcza ochronna dla zdrowia. W każdej główce kryje się bogactwo związków siarki, które wzbogacają smak zup, sosów i dań jednogarnkowych, a jednocześnie uruchamiają naturalne mechanizmy obronne organizmu.

KURCZAK PIECZONY Z CYTRYNAMI I CZOSNKIEM

- 1 kg kawałków kurczaka (udka, podudzia, skrzydełka)
- 1 duża cytryna
- 2 duże główki czosnku
- 2 łyżki oleju
- 2 łyżki masła
- kilka gałązek świeżego tymianku
- sól
- świeżo zmielony pieprz

Rozgrzej piekarnik do 180°C. Cytrynę pokrój na grube plastry, a całe główki czosnku przekrój w poprzek na pół. Kawałki kurczaka dopraw solą oraz świeżo zmielonym pieprzem. Na patelni rozgrzej masło z olejem i krótko obsmaż na nim mięso ze wszystkich stron na złoty kolor. W wysmarowanym olejem naczyniu żaroodpornym rozłóż plastry cytryny oraz czosnek, a na nich ułóż obsmażone kawałki mięsa i dołóż gałązki świeżego tymianku. Wstaw całość do nagrzanego piekarnika i zapiekaj 40–45 minut, aż mięso stanie się miękkie i ładnie przyrumienione. **GP**

CZAS	**60 MINUT**
KOSZT	**OKOŁO 25 ZŁ**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWE**
PORCJI	**4–6**



CZY WIESZ, ŻE...

Czosnek to prawdziwa apteka w jednej główce. Za część jego właściwości odpowiada allicyna – związek powstający w wyniku reakcji enzymatycznej. Uwalnia się ona dopiero wtedy, gdy uszkodzimy ścianki komórkowe ząbka, czyli podczas siekania, rozgniatania lub miażdżenia. Allicyna działa jak naturalny antybiotyk o silnych właściwościach przeciwbakteryjnych, przeciwwirusowych i przeciwgrzybiczych.

Napar ratunkowy przy przeziębieniu: ząbek rozgniecionego czosnku zalej ciepłym (ale nie wrzącym) mlekiem lub wodą z dodatkiem łyżki miodu, soku z cytryny i plastra świeżego imbiru. Taki napar podnosi temperaturę ciała i działa napotnie.

Surowy ząbek potrafi zdominować każde danie. Jednak podczas powolnego pieczenia lub duszenia zachodzi proces karmelizacji zawartych w czosnku cukrów. Ostra nuta znika, a w jej miejscu pojawiają się aksamitna, niemal maślana konsystencja oraz łagodny, słodki, orzechowy smak.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA



Jan **Przemyłski**

POWRÓT CZŁOWIEKA NA KSIĘŻYC CORAZ BLIŻEJ

POZNALIŚMY KOLEJNE SZCZEGÓŁY MISJI ARTEMIS III

W połowie przyszłego roku w ciągu zaledwie tygodnia z Centrum Kosmicznego na Florydzie wystartują trzy potężne rakiety od różnych dostawców, których zadaniem będzie wyniesienie na orbitę statku załogowego oraz dwóch lądowników. Tam zostaną przeprowadzone ostateczne testy ich gotowości. Będzie to też ostatni krok przed wyczekiwanym od dekad powrotem człowieka na Księżyc.

W historii eksploracji kosmosu tylko sześć załogowych misji zakończyło się lądowaniem ludzi na Księżycu. Wszystkie zrealizowano w latach 1969–1972 w ramach amerykańskiego programu Apollo. Gigantyczne koszty wypraw i osiągnięcie przez Stany Zjednoczone tego etapu wyścigu kosmicznego sprawiły, że od tamtej pory agencje różnych krajów skupiły się na rozwoju sond bezzałogowych umożliwiających badanie coraz odleglejszych rejonów naszego Układu Słonecznego. Co prawda Srebrny Glob nie został całkowicie odsunięty na boczny tor, ale przez kolejne dziesięciolecia powrót człowieka na jego powierzchnię pozostawał raczej w sferze marzeń, a nie planów. Dopiero w ostatniej dekadzie powrócono do tej idei.

Program, którego zwieńczeniem ma być powrót człowieka na Księżyc, nazwano Artemis. Odpowiada za niego NASA, przy sporym udziale sektora prywatnego. W 2022 roku zrealizowano pierwszy etap programu – bezzałogową misję Artemis I zakładającą testowy lot rakiety SLS i statku Orion. W kwietniu 2026 roku świat przez 10 dni śledził misję Artemis II, w ramach której odbyto załogowy oblot Srebrnego Globu w celu sprawdzenia systemów podtrzymywania życia. Kolejnym krokiem jest Artemis III zaplanowana na połowę przyszłego roku. Pod koniec października NASA zdradziła kolejne szczegóły dotyczące tej operacji. Otóż z Centrum Kosmicznego im. Kennedy'ego na Florydzie najpierw wystartuje rakieta New Glenn (od firmy Blue Origin, której właścicielem jest Jeff Bezos, twórca Amazona), która na orbitę wyniesie testowy lądownik Blue Moon. Kilkadziesiąt godzin później również z Florydy wystrzelona zostanie rakieta SLS wraz ze statkiem Orion, na którego pokładzie znajdzie się czteroosobowa załoga. Kolejne kilkadziesiąt godzin później z tego samego regionu w podróż wyruszy rakieta Starship od SpaceX (właścicielem jest Elon Musk) z drugim testowym lądownikiem, także nazwanym Starship. Po dotarciu na orbitę Orion z załogą spróbuje połączyć się z lądownikiem Blue Moon. Astronauci wejdą na jego pokład i przez około dwie doby będą sprawdzać wszystkie systemy. Następnie statek odłączy się i przygotuje do dokowania z drugim z lądowników. Obecnie jednak nie jest planowane wejście astronautów na jego pokład. Ostatnim etapem będzie odłączenie Oriona od konstrukcji SpaceX i sprowadzenie załogi na Ziemię. Cała operacja ma potrwać około 14 dni. **GP**

FOT. BR.DE

Listy

Natasza i jej pomoc

Natasza Geldon chciała pomóc Trzaskowskiemu w wygraniu wyborów prezydenckich. Dziwne, że udała się jedynie do Onetu, a Onet nie skontaktował jej z premierem Tuskiem. Też byłaby wiarygodna dla niego jak człowiek znany – Murański. Trzaskowski nie wygrał, bo do wyborów poszli ci, którzy chcieli. A większość wówczas głosujących nie jest zapatrzona w LGTB. Teraz podczas rozprawy sądowej pani Natasza nie potrafi nawet udowodnić swoich pomówień.

Piotr K.

Bandyckie rządy

W latach „przemian ustrojowych" wszystkie grupy przestępcze nadzorowane były przez SB, WSI, czyli przez rzadzących. Pamiętają Państwo mafie VAT-owskie, paliwowe itd. Dziś mamy powrót takich metod sprawowania władzy. Złodzieje i bandyci w rządze Tuska są w ministerstwach obrony, sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Tak naprawdę cały rząd to zorganizowana grupa przestępcza.

Wojciech Z.

Prawo jak PR

Obiecywano obywatelom nowe, czyste standardy i odpolitycznienie instytucji, tymczasem za zamkniętymi drzwiami politycy partii rządzącej sami przyznają, że wysyłają do TK osobę niespełniającą kryteriów ustawowych. Ta sytuacja pokazuje, że dla obecnej władzy prawo jest tylko elastycznym narzędziem public relations, a nie sztywną granicą, której przekraczać nie wolno. Dobrze, że niezależne media i stowarzyszenia prawnicze pilnują tych faktów i dokumentów. Rzeczywistych braków w stażu radcowskim w wypadku pana Berka nie da się przypudrować żadnym partyjnym oświadczeniem.

Anna R.

Częstochowa mądrzeje

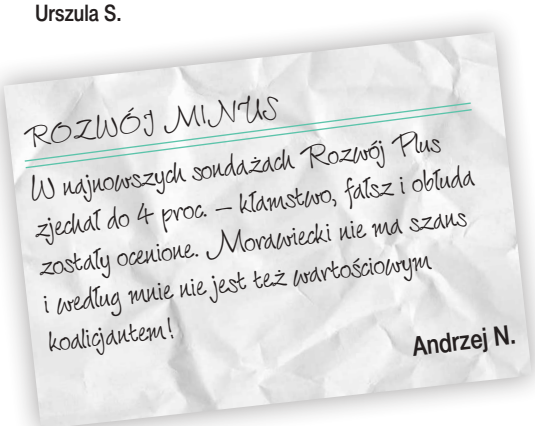
Prezydent Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk z Lewicy został odwołany w referendum. Ale to tak naprawdę mały kamyczek do ogródka. Szkoda, że musiało upłynąć dużo wody w Warcie i zadłużenie miasta wzrosnąć do ponad miliarda złotych, żeby przynajmniej część mieszkańców zmądrzała.

Piotr O.

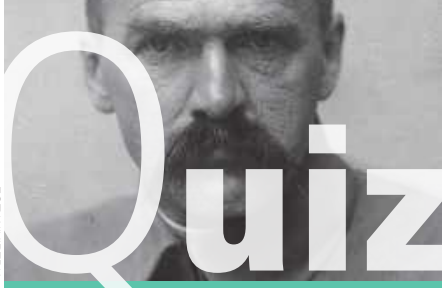
Wejście do TK

Czy Policja jest polska, czy ślepo wykonuje to, co jej nakazują? Rozumiem, że dowództwo policji boi się o własne stołki, ale czy wśród nich nie ma w ogóle uczciwych ludzi i Polaków? Czy dalej będzie jak za stanu wojennego?

Urszula S.



Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl


FOT. WIKIPEDIA

Quiz

GAZETA POLSKA

1. 11 listopada to nie tylko Święto Niepodległości w Polsce, to również dzień zakończenia I wojny światowej. To wtedy, w 1918 roku, państwa ententy i Cesarstwa Niemieckiego podpisały rozejm. Gdzie dokładnie miało to miejsce?
2. Kiedy Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Polski?
3. Jakie pierwsze miasto w Polsce odzyskało niepodległość?
4. „Chcemy Polski Niepodległej, abyśmy tam mogli urządzić życie lepsze i sprawiedliwsze dla wszystkich" – powiedział jeden z głównych architektów odzyskania niepodległości Polski w 1918 roku. Kto jest autorem tych słów?
5. Były okresy, gdy obchodzenie święta 11 listopada było w Polsce zakazane. Kiedy?
6. Kiedy odbył się pierwszy Marsz Niepodległości w Warszawie w znanej dziś formule?

ODPOWIEDZI:
1. W WAGONIE STOJĄCYM W LESIE POD COMPIÈGNE WE FRANCJI, 2. 7 PAŹDZIERNIKA 1918 ROKU, 3. TARNÓW, 4. JÓZEF PIŁSUDSKI, 5. W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ I W OKRESIE PRL, 6. 11 LISTOPADA 2010 ROKU

PRENUMERATA

Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej": rok – 460 zł, pół roku – 244 zł; kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW
IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Marcin Wolski, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 22 290 29 58 (wew. 1);
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA



Katarzyna
Gójska

OKONIEM

Trybunał przejęty

Gdy oddawaliśmy do druku to wydanie naszego tygodnika, rozpoczął się atak na Trybunał Konstytucyjny. Policjanci przygotowani do pacyfikacji weszli na teren sądu konstytucyjnego od strony kancelarii premiera. W ciągu dosłownie godziny wokół TK pojawiły się setki zamaskowanych funkcjonariuszy. Dziesiątki samochodów. Anna Korwin-Piotrowska, wybrana przez Sejm na funkcję sędziego Trybunału, ale do tej pory niezaprzysiężona przez prezydenta, poinformowała opinię publiczną, iż odsunęła od obowiązków prezesa Święczkowskiego. Jej działanie trudno oceniać inaczej niż jako udział w zamachu na niezależną instytucję konstytucyjną. Na naszych oczach Polska przechodzi brutalną transformację – nastąpił dramatyczny odwrót od demokratycznego państwa prawa. To już pewne – zaczynają się brutalne czasy, w których swobody obywatelskie, szacunek wobec legalnych instytucji stają się przeszłością, i trzeba się na to przygotować. Nie można ulec pokusie cichej akceptacji kolejnych etapów zabijania demokracji z nadzieją, że Tusk nie posunie się dalej. Otóż posunie się znacznie dalej, niż dziś jesteśmy sobie w stanie to wyobrazić. Teraz wszystko zależy od mobilizacji obywateli i aktywności prezydenta Karola Nawrockiego. Jeśli zabraknie determinacji, Rzeczpospolita stoczy się w mrok wschodnich reżimów. To wielki test dla nas wszystkich, ale również dla partii opozycyjnych. Warto obserwować, którzy politycy są gotowi przeciwstawić się bezprawiu, a którzy chowają się za gładkimi słówkami i unikają konfrontacji z władzą. Jeśli w takim momencie uciekają od odpowiedzialności, to znaczy, że nie będą zdolni do prawdziwej walki o demokrację i później rozliczenia politycznych agresorów. **GP**

To już pewne – zaczynają się brutalne czasy, w których swobody obywatelskie, szacunek wobec legalnych instytucji stają się przeszłością, i trzeba się na to przygotować.

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu

MIŁOSZ KŁECZEK

W RUCHU

SEZON 2









PREMIERA
NIEDZIELA
17:45
w Republice

PONIEDZIAŁEK
OD **9:00**

@Telewizja_Republika

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA